



POLSKI NAFCIARZ
ZBIJA FORTUNĘ
NA DZIKIM
WSCHODZIE

KIEDY KIBICE
KRZYCZELI:
KA-GA-PY
DO DO-MU!

RYCERZE
W OBRONIE
WROT
EUROPY

Nr 05-06 (108-109)
MAJ-CZERWIEC 2022
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

W SIECI

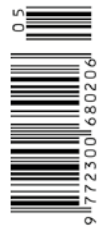
HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

Z KOZAKAMI PRZECIW MOSKWIE

NIEZNANE FAKTY Z RELACJI POLSKO-UKRAIŃSKICH

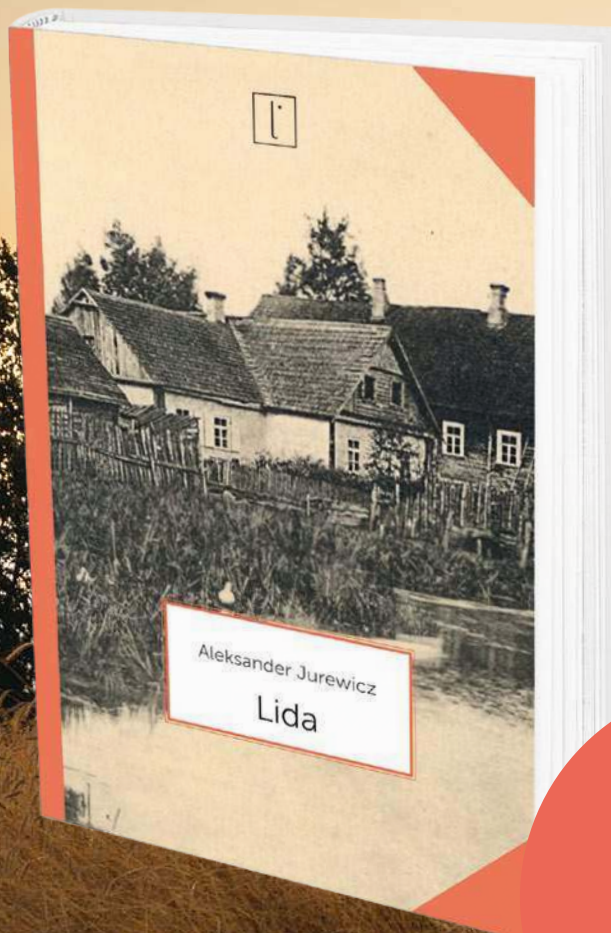
INDKS 297127 ISSN: 2300-6803



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100
książek
w prezencie

Książkę „**Lida**” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

W 10. ROCZNICĘ ŚMIERCI WIESŁAWA CHRZANOWSKIEGO

Swego czasu marszałek Sejmu I kadencji mówił: „W zdrowym społeczeństwie podstawową rolę odgrywa środowiskowa opinia publiczna, która narzuca normy przyzwoitego zachowania”. Te słowa rzadko przywoływane, wydają się nie tylko aktualne, ale i w narodzie polskim żywe. Trzeba było jednak dopiero doświadczenia wojny, by ujawniła się ta prawda. Obrazem przyzwoitego zachowania się Polaków stał się nasz stosunek do uchodźców, jednoczący zwaśnione strony. Ta waśń, od wielu lat trwająca, jak się wydawało nie znajdowała już żadnej bariery, tamy ani wstydu. A jednak!

Nie jest to jedyna myśl profesora i narodowca, którą warto dziś przywołać. Jego dewizą była działalność czynna, czy to polityczna, czy społeczno-związkowa. Wychowany był w domu narodowca, swego ojca, także Wiesława, ministra w pierwszych rządach odrodzonej Polski z ramienia Narodowej Demokracji, długoletniego profesora Politechniki Warszawskiej, w tym rektora uczelni. Ideałem organizacji dla Wiesława syna, jak sam mówił w wywiadzie rzece, była Liga Narodowa (1893–1928) założona przez Romana Dmowskiego. Oparta w swej praktycznej działalności Liga Narodowa na wszechstanowości i wszechpolskości stanowiła dla profesora punkt odniesienia do zrozumięcia fenomenu Solidarności z sierpnia 1980 r. W obu bowiem przypadkach warstwy oświecone i ludowe, w tym drugim przypadku inteligencja i robotnicy, stanęli na wysokości zadania, uznając, że są wartości najwyższe, którym należy się pokłonić, by Polska mogła się stać niepodległą. Tymi wartościami były i są wolność i solidarność, wówczas pod koniec XIX w. nazywana solidaryzmem społecznym.

Jako narodowiec profesor był posłuszny nauce Kościoła katolickiego, dlatego po 1989 r. krytykował liberalne metody wychodzenia z kryzysu gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Krytykował patologie i rażące niesprawiedliwości. Jak twierdził, zasadniczym założeniem nauki społecznej Kościoła jest umiejscowienie człowieka w centrum myślenia o gospodarce. To zachowanie jego godności, w tym prawa do pracy i godziwego rozwoju rodziny, stanowić winno warunek sine qua non decyzji politycznych, dla ochotników stosowania jedynie skuteczności jako miary rozwoju.

Żyjemy dziś na granicy, między przeszłością, która wydawała się pełna bezpieczeństwa i wygody życia, a niepewną przyszłością, być może tragiczniejszą, niż sięgamy wyobraźnią. W scenariuszu bardziej optymistycznym będziemy żyć w czasach postępującego kryzysu gospodarczego, który od Polaków będzie wymagać poświęcenia i solidarności oraz zgody na wyrzeczenia, w imię solidarności, a więc wszechstanowości i wszechpolskości. Nie damy sobie wyrwać ani osłabić żadnej części narodu ani żadnego fragmentu jego terytorium. Zależać to będzie nie tylko od kierownictwa państwowego, ale także od decyzji każdego z nas – czy chcemy prowadzić politykę czynną na rzecz wspólnoty, czy wolimy się

zaszyć we własnym egoizmie. Powtarzał Wiesław Chrzanowski za swym mistrzem, Romanem Dmowskim: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka”.

Tych wyższych typów człowieka będzie nam potrzeba, szczególnie w najbliższym czasie! Wiesław Chrzanowski zmarł 29 kwietnia 2012 r. Dziesiąta rocznica jego śmierci to dobry moment, by przypomnieć sobie postać i dorobek marszałka Sejmu RP. IDMN im. R. Dmowskiego i I.J. Paderewskiego oraz Muzeum Historii Polski przygotowały wydarzenia, które w tym pomogą (zob. www.idmn.pl).

JAN ŻARYN



HISTO

12

STANOWISKO PATRIARCHY MOSKWY I WSZECHRUSI WOBEC WOJNY NA UKRAINIE JEST JASNE. ROSYJSKA CERKIEW PRAWOSŁAWNA ODGRYWA OBECNIE ROLĘ MINISTERSTWA DS. PROPAGANDY RELIGIJNEJ WŁADIMIRA PUTINA – **PISZE TOMASZ TERLIKOWSKI**

70

PREZENTOWANIE PRZEZ POLSKICH KIBICÓW ANTYROSYJSKIEJ POSTAWY PRZY OKAZJI ROZGRYWEK SPORTOWYCH TO NIC NOWEGO. NIE INACZEJ BYŁO W OKRESIE PRL – **PRZYPOMINA GRZEGORZ MAJCHRAK**

3

GŁOS NACZELNEGO

JAN ŻARYN

6

CO BYŁO, CO BĘDZIE

PIOTR MAZUREK

9

PATRIOTYZM NA WSPÓŁCZESNIE

MIROŚLAW BIEŁASZKO

RZECZPOSPOLITA PODZIEMNA... MNIEJ ZNANA

10

„ZBROJENIÓWKA” POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12

INTELEKTUALNE DNA ROSYJSKIEJ CERKWI PRAWOSŁAWNEJ

TOMASZ TERLIKOWSKI

16

ROSJA – „INNY ŚWIAT” WIDZIANY Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY

KS. WALDEMAR GLIŃSKI

20

UKRAIŃSKIE PRAWOSŁAWIE: OD PODZIAŁÓW KU JEDNOŚCI?

GRZEGORZ GÓRNY

FELIETONY

23

NIESPEŁNIONA UNIA

GRZEGORZ GÓRNY

73

1960 – ROK AFRYKI

PAWEŁ SKIBIŃSKI

80

OPOWIEŚĆ, KTÓRA POTWIERDZA ŻYCIE

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

81

NOWOHUCKI KRZYŻ

ANTONI DUDEK

81

LIST DO SYNÓW

RYSZARD CZARNECKI

86

O MEŻU STANU, KTÓRY DOKONAŁ ZJEDNOCZENIA CHRZESCIJANSKO-NARODOWEGO

MAREK JUREK

96

SILVA RERUM

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

PREZYDENT LECH KACZYŃSKI

24

POLITYKA HISTORYCZNA JAKO NARZĘDZIE REALIZACJI POLSKIEJ RACJI STANU

Z WICEPREMIEREM JACKIEM SASINEM
ROZMAWIA BARTOSZ ŻYCIŃSKI

ZIEMIAŃSTWO

27

„ZAMEK W MIROWIE” – SIEDZIBA PIERWSZEJ ORDYNACJI RODU MYSZKOWSKICH

MARTA KONOPKA

WEHIKUŁ CZASU

30

MAJ, CZERWIEC

MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

34

LWOWSKIE POLONIKA

JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

36

KOZIENICKIE STRUKTURY AK PRZECIWKO RAKIETOM V2

RAFAŁ KIERZKOWSKI



DUSZA KONTUSZA

38

ALEKSANDER ZBOROWSKI – SYN BANITY

HENRYK LITWIN



DAWNO TEMU

41

EPIZOD LESZNEŃSKI W CZASIE POTOPU SZWEDZKIEGO I JEGO KONSEKWENCJE

BARTOSZ STARĘGOWSKI

ZDARZYŁO SIĘ

44

GEN. STANISŁAW BRZOSKA

PIOTR ŚWIĄTECKI



46

SPRAWA POLSKA W LISTACH ŻOŁNIERZY CHŁOPÓW PODCZAS I WOJNY ŚWIATOWEJ

PAWEŁ BRUDEK

50

POLSKI NAFCIARZ NA DZIKIM WSCHODZIE

MIECZYSLAW T. STARKOWSKI

54

U GROBU CHRYSYTA W JEROZOLIMIE

FRANCISZEK PITEK

56

PPOR. „MARIUSZ” – PROF. JAN ŁOPUSKI HERBU ŚLEPOWRON

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI





FOT. SHUTTERSTOCK: EAST NEWS, KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/Muzeum Narodowe w Warszawie

www.wsieci.pl

Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek,
Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Michał
Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal,
Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Grzegorz
Majchrzak, Jerzy Miziołek, Mariusz Olczak, Joanna
Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński,
Andrzej Skwarczyński, Przemysław Wajngertner,
Krzysztof Żaryn oraz AAN, AGAD, IDMN, IPN, MPW i NAC

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczyński@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
lidia.slowikowska@fratria.pl
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoredakcja: Anna Łabecka, ania.labecka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00

www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty
na stronie www.wsieci.pl
Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać
na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane
adresowe oraz wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji
papierowej oraz na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na
adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem
Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7⁰⁰-18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biurowo Reklamowe:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania tekstów.
Copyright © Fratria Sp. z o.o.
Wszystkie prawa zastrzeżone
(włącznie z tłumaczeniem na języki obce).
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią
materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.



OKŁADKA:
Opieką artystyczną: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor;
Charakterystyka: Joanna Wasilewska;
Rekonstruktorzy: Marcin Lutomski (Walhalla),
Stefan Strutyński;

Podziękowania dla Muzeum Pyry za pomoc
przy realizacji sesji fotograficznej.

76

**PRZEZ STULECIA RZECZPOSPOLITA POWSTRZYMYWAŁA MOSKWĘ
PRZED ZAKUSAMI NA PODBICIE ZACHODNIH OBSZARÓW EUROPY.
W TYCH DNIACH UKRAINA, WIELOKROTNIŃ DOŚWIADCZANA
PRZEZ ROSYJSKI IMPERIALIZM, STAŁA SIĘ PRAWDZIWYM
PRZEDMURZEM EUROPY – WSKAZUJE JERZY MIZIOŁEK**

59

**HELENA KURCZYŃSKA
Z DOMU SŁOMIŃSKA**

ARTUR KUBAJ

62

**FARBA ZAMIAST ŚLIWEK.
Z ZIEMI FRANCUSKIEJ
DO POLSKI**

PAWEŁ BŁAŻEWICZ

82

W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

84

ŁATKI NA KLIO

ROZMOWA Z PROF.
PATRYKIEM PLESKOTEM

85

**RYSZARD WITKOWSKI
„ORLIŃSKI” (1926-2022)**

MICHAŁ KOMUDA

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88

PANI ZOFIA

JOANNA PUCHAŁSKA

SZLACHTNE ZDROWIE

90

TRUJĄCE UKOJENIE

KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

92

**PANCERNIKI, CZYLI
ORYGINALNOŚĆ
PO FRANCUSKU**

KACPER GROCHOCKI

Z FOTOTEKI IPN

93

**OPERACJA
KRYPTONIM „URAN”**

JACEK SŁOMA

94

HISTORIA OKŁADKI

MICHAŁ KORSUN

NAC PREZENTUJE

98

„GOTUJECIE NA GAZIE!”

ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

74

**GAWLIŃSKA ŻYWI
IN AETERNAM**

JACEK ŻUREK

76

**W OBRONIE WRÓT
DO EUROPY**

JERZY MIZIOŁEK

99

**OBRACZKI Z ŁUSKI
PO NĄBOJU**

KATARZYNA UTRACKA

eprasa.pl 0da0de9254



**INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ**

64

**STANISŁAW
CYWIŃSKI – WIELKI
UCZONY OFIARĄ
SANACYJNYCH
SIEPACZY**

MARTA CYWIŃSKA

WŁADCZYŃNIE

67

**KATARZYNA
Z OPALIŃSKICH
LESZCZYŃSKA**

MAREK BARAŃSKI



DEBATY

68

**SOLIDARNOŚĆ
JAKO MARKA**

Z ŁUKASZEM OFIARĄ
ROZMAWIA AGATA MADAJ



PRASPORT

70

KA-CA-PY DO DO-MU!

GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA





FOT. IDMN

Otwarcie Centrum Edukacyjnego IDMN w Warszawie

16 marca wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński oraz dyrektor Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego prof. Jan Żaryn dokonali uroczystego otwarcia Centrum Edukacyjnego IDMN, które znalazło swoją siedzibę przy ul. Andersa 20 w Warszawie. Centrum będzie miejscem skupiającym miłośników historii Polski. Wnętrze lokalu nawiązuje architektonicznie do dwudziestolecia międzywojennego. Składa się z dwóch sal: głównej, w której będą organizowane spotkania i wystawy, oraz warsztatowej, przeznaczonej do pracy w mniejszych grupach. Całość dopełnia niewielka biblioteka. W Centrum na stałe będą gościć pracownicy IDMN, wolontariusze i studenci warszawskich uczelni. Głównym celem powołania do życia tego miejsca jest chęć zaprezentowania oferty edukacyjnej i kulturalnej Instytutu war-

szawiakom i wszystkim odwiedzającym stolicę. Dzięki doskonałej lokalizacji Centrum będą mogli odwiedzać indywidualni turyści, ale także wycieczki szkolne. Oferta będzie skierowana głównie do młodzieży – w interesujący sposób ma przybliżyć historię Polski za pomocą warsztatów, wykładów, dostępnej czytelnicy czy spotkań ze świadkami historii. W Centrum będą się odbywać również promocje książek, wystawy czy premierowe projekcje filmów. Będzie ono także miejscem przeznaczonym do prowadzenia różnego rodzaju szkoleń – głównie skierowanych do nauczycieli i edukatorów. Na stałe do kalendarza wydarzeń wpiszą się warsztaty źródłoznawcze dla studentów kierunków humanistycznych. Pierwsze ruszają już pod koniec marca. Przygotowywana jest również oferta edukacyjna dla uchodźców wojennych z Ukrainy, która pomoże im w adaptacji do nowych warunków. ■

Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce otwarte dla zwiedzających

1 marca, w dniu narodowego święta upamiętniającego bohaterów powstania antykomunistycznego, w Ostrołęce otwarte zostało dla zwiedzających Muzeum Żołnierzy Wyklętych. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele życia publicznego, kombatan ci i bliscy żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego. Wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, który jest organem prowadzącym placówkę, w swoim przemówieniu podkreślał: „Bez pamięci nie jest w stanie istnieć żadna wspólnota polityczna czy kulturowa. Zwłaszcza bez pamięci o tych, którzy odpowiedzialność za tę wspólnotę traktowali do końca, do krwi ostatniej [...] Niech to piękne, mądre i ważne miejsce, ta wspierała instytucja edukacji i refleksji nad polskim losem, dobrze służy Polsce”. Muzeum mieści się na terenie byłego aresztu śledczego w Ostrołęce. Jest pierwszą w Polsce placówką w całości poświęconą podziemiu antykomunistycznemu i jedną z ponad 200 inwestycji muzealnych realizowanych przez MKiDN w ciągu ostatnich sześciu lat. Pomysł powstania muzeum zgłosił ostrołęcki poseł Arkadiusz Czartoryski we współpracy z senatorem Robertem Mamątowem i ostrołęckim samorządem. W 2014 r. miasto Ostrołęka zwróciło

się do ówczesnego ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego (PO) o wsparcie przebudowy budynków na potrzeby inwestycji. Wtedy jednak resort odrzucił ten wniosek, przyznając mu zero punktów m.in. w kategorii „ważność projektu z punktu widzenia polityki kulturalnej państwa”. Współprowadzenie Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce i współfinansowanie budowy jego siedziby były pierwszymi decyzjami podjętymi przez prof. Piotra Glińskiego jako ministra kultury w 2015 r. W 2019 r. został oddany do użytku budynek, a od początku 2021 r. muzeum zostało państwową instytucją kultury prowadzoną wyłącznie przez MKiDN. ■



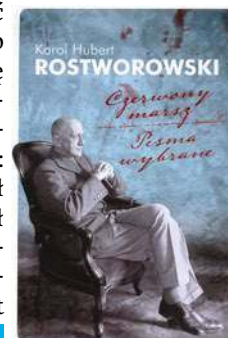
FOT. DANUTA MATYLOCH/GOV.PL

„Aktualność myśli narodowej i chrześcijańsko-społecznej” – konferencja prasowa KAI i IDMN

31 marca w Domu Arcybiskupów Warszawskich odbyła się konferencja prasowa „Aktualność myśli narodowej i chrześcijańsko-społecznej” organizowana przez Katolicką Agencję Informacyjną oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej. Podczas wydarzenia zaprezentowane zostały dorobek IDMN oraz jego przyszłe inicjatywy. W konferencji wzięli udział: dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn, zastępca dyrektora prof. Paweł Skibiński oraz pracownicy działu naukowego: dr hab. Rafał Łatka i dr Krzysztof Kawęcki. Wydarzenie poprowadził prezes KAI Marcin Przeciszewski. Jednym z głównych tematów były trzecie tomy słowników biograficznych, które niedawno ukazały się nakładem IDMN we współpracy z wydawnictwem Neriton: „Słownik biograficzny polskiego katolicyzmu społecznego” pod redakcją dr. hab. Rafała Łatki oraz „Słownik biograficzny polskiego obozu narodowego” pod redakcją dr. Krzysztofa Kawęckiego. Stanowią one kompendium wiedzy na temat wybitnych postaci XIX i XX w. działających w szeroko pojętym obozie narodowym i katolicko-społecznym. Uczestnicy konferencji podkreślali niezwykłą aktualność myśli oraz palącą potrzebę poznawania dorobku obozu narodowego i katolicko-społecznego. Każdy tom słowników to kilkadziesiąt obszernych biogramów ludzi często nieznanymi, lecz niezwykle zasłużonymi dla polskiej historii. Wystąpienia dotyczyły nie tylko miejsca, jakie zajmuje obecnie dziedzictwo myśli narodowej i chrześcijańsko-społecznej w Polsce, ale także tego, jakie znaczenie w zakresie tego dziedzictwa ma dorobek IDMN. „Pokolenie narodowców i katolików społecznych na przełomie XIX i XX w. potrafiło wytworzyć szkołę myślenia na temat polskości i udziału w polskości. Ten fenomen odkryło również nasze pokolenie, kiedy przyszedł na to czas w roku 1980” – powiedział podczas konferencji dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn. ■

Spotkanie promocyjne zbioru dramatów Karola Huberta Rostworowskiego

31 marca w Centrum Edukacyjnym IDMN w Warszawie odbyło się zorganizowane przez Instytut wraz z Wydawnictwem Dębogóra spotkanie promocyjne wokół książki „Czerwony marsz. Pisma wybrane” Karola Huberta Rostworowskiego. Autor był aktywnym działaczem politycznym, członkiem Ligi Narodowej, radnym Krakowa z ramienia Stronnictwa Narodowego. Zbiór dramatów opublikowany przez Wydawnictwo Dębogóra zawiera dzieła: „Judas z Kariothu”, „Kajus Cezar Kaligula”, „Miłosierdzie”, „Niespodzianka”, „Don Kiszot za kulisami”, „Czerwony Marsz”. Autor przedmowy, prof. dr hab. Jacek Bartyzel, tak ocenił dorobek dramaturga: „Twórczość Karola Huberta Rostworowskiego jest nadal zapomniana i przemilczana ze względu na wrogi stosunek do tych zasad i wartości, które reprezentował: ortodoksyjnego katolicyzmu, ascetycznej moralności, patriotyzmu, idei narodowej, postawy kontrrewolucyjnej. W gruncie rzeczy milczący »zapis« na Rostworowskiego wynika z powodu tych samych »grzechów«, które obciążały jego hipotekę za czasów komunizmu, a które wyliczała Maria Czanerle: »arystokrata i polityk najbardziej wstecznego obozu, aktywny szermierz chrześcijańsko-narodowej ideologii«. Pozostaje mieć nadzieję, że niniejsze wydanie obszernego wyboru dramatów przełamie tę złą passę i przywróci dzieło »brata Huberta« współczesnej polskiej kulturze”. W panelu dyskusyjnym wokół publikacji uczestniczyli: prof. Bartyzel, Paweł Milcarek oraz Rafał Węgrzyniak, a spotkanie poprowadził dr Mateusz Werner. Wydanie książki dofinansowano ze środków programu Fundusz Patriotyczny, którego operatorem jest IDMN. ■



CO BĘDZIE



IDMN zaprasza na dwa cykle seminariów naukowych

Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej zaprasza studentów, doktorantów, nauczycieli oraz osoby zainteresowane do udziału w seminariach naukowych. Instytut przygotował

dwa cykle interdyscyplinarnych seminariów. Pierwszy będzie poświęcony akulturacji nacjonalizmu na gruncie polskim, drugi – wartościom chrześcijańskim w dobie totalitaryzmów i ponowoczesności. Seminaria będą miały formę transmisji online na profilu Instytutu na Facebooku. Uczestnicy będą mogli zadawać pytania prowadzącym poprzez komentarze pod transmisją. Harmonogram seminariów wygląda następująco:

- 1. Akulturacja nacjonalizmu na gruncie polskim – dziedzictwo Dmowskiego na tle europejskim**
 - 20 kwietnia (środa), godz. 18.00** – prof. Paweł Skibiński – „Katolickie przebudzenie polskiego nacjonalizmu”
 - 11 maja (środa), godz. 18.00** – prof. Jarosław Tomasiewicz – „Fascynacja faszyzmem”

- 25 maja (środa), godz. 18.00** – prof. Maciej Urbanowski – „Idee narodowo-demokratyczne w literaturze”
- 8 czerwca (środa), godz. 18.00** – prof. Olgierd Grott – „Nazizm w myśli endecji – endecja wobec nazizmu”
- 2. Chadeccy wobec wyzwań XX w. – o wartości chrześcijańskie w dobie totalitaryzmów i ponowoczesności**
 - 13 kwietnia (środa), godz. 18.00** – prof. Paweł Skibiński – „Chadecja wobec nazizmu i odbudowa niemieckiej chadecji po II wojnie”
 - 4 maja (środa), godz. 18.00** – dr Paweł Milcarek – „Chrześcijaństwo i demokracja – podstawy doktryny chadeckiej”
 - 18 maja (środa), godz. 18.00** – dr Przemysław Pazik – „Miejsce ruchów chrześcijańsko-demokratycznych w rzeczywistości politycznej i społecznej komunistycznej Europy”
 - 1 czerwca (środa), godz. 18.00** – ks. prof. Piotr Mazurkiewicz – „Chadecja wobec rewolucji kulturowej lat 60.”
 - 15 czerwca (środa), godz. 18.00** – prof. Michał Gierycz – „Chadecja u progu XXI w. – wobec kryzysu Kościoła i ponowoczesności”

Czy patriotyzm może dziś łączyć? – projekt CMJP II

Centrum Myśli Jana Pawła II zaprasza przedstawicieli życia publicznego, środowisk akademickich, działaczy społecznych, nauczycieli i wszystkich zainteresowanych współczesnym rozumieniem patriotyzmu na cykl debat w ramach rozpoczynającego się projektu „Dwa kolory – między buntem a posłuszeństwem” (szerzej o projekcie piszemy na s. 68). Pierwsze spotkanie „Za, a nawet przeciw” odbędzie się już 27 kwietnia o godz. 17.00 na Zamku Królewskim w Warszawie. Sąsiedztwo rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja będzie punktem wyjścia do rozmowy na temat stosunku Polaków do władzy – w historii i dzisiaj. Uczestnicy zebrani na miejscu oraz online będą mieli okazję włączyć się w dyskusję panelistów: prof. Joanny Kurczewskiej, prof. Wojciecha Fałkowskiego, dr. Marcina Kędzierskiego i dr. Jarosława Kuisza. Spotkanie poprowadzi Michał Szuldrzyński, redaktor naczelny „Plusa Minusa”, dodatku do dziennika „Rzeczpospolita”. Druga debata, zatytułowana „Jedni drugich...”, poświęcona szeroko rozumianej solidarności, zaplanowana jest na 9 czerwca w Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego. Nauczyciele, uczestnicy debat, zostaną dodatkowo zaproszeni do udziału w badaniach fokusowych związanych z postrzeganiem patriotyzmu przez młodych ludzi. Celem jest stworzenie angażujących materiałów edukacyjnych dla uczniów, które staną się alternatywą dla tradycyjnych szkolnych akademii i włączą

młodzież w rozważania o byciu patriotą dzisiaj. Efektem pracy będzie także wystawa „Dwa kolory – między buntem a posłuszeństwem” przygotowana do samodzielnego wydruku i szeroko udostępniona szkołom i instytucjom. Uczestnicy debat będą mieli także możliwość bezpłatnego zwiedzenia Zamku Królewskiego oraz Mt 5, 12 – Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego. Wstęp na wszystkie wydarzenia jest wolny po wcześniejszej rejestracji na stronie www.centrumjp2.pl



FOT. RYSZARD HOLUBOWICZ/WIKIPEDIA

Wokół 10. rocznicy śmierci prof. Wiesława Chrzanowskiego

9 kwietnia przypadała 10. rocznica śmierci prof. Wiesława Chrzanowskiego – profesora prawa, wykładowcy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, członka Młodzieży Wszechpolskiej, żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej, Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, powstańca warszawskiego, więźnia stalinowskiego, współpracownika Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego, doradcy NSZZ „Solidarność”, współtwórcy i pierwszego prezesa Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, ministra sprawiedliwości w 1991 r., marszałka pierwszego po II wojnie światowej Sejmu RP pochodzącego z demokratycznych wyborów, kawalera Orderu Orła Białego i członka jego Kapituły. Z tej okazji Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej oraz Muzeum Historii Polski organizują 28–29 kwietnia okolicznościowe obchody. W programie m.in. otwarcie wystawy w Sejmie RP „Marszałek Wiesław Chrzanowski (1923–2012) – polityk, prawnik, mistrz”, wieczór wspomnień oraz konferencja naukowa w Centrum Edukacyjnym IDMN przy ul. Andersa 20 w Warszawie. Dokładny program uroczystości będzie dostępny na portalu internetowym www.idmn.pl.

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

23 kwietnia i 21 maja (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



...w Radiu Warszawa...

9 maja (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 11:05 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

POD PATRONATEM „WSIECI HISTORII”

Patriotyzm na współcześnie



MIROSŁAW
BIEŁASZKO

IPN

Wchodząc do Europy, nasze elity chciały się pozbyć bagażu historycznego, by budować przyszłość. Ale na jakim fundamencie? Przecież to, czego doświadczały narody, państwa w swoich dziejach, stanowi podstawę ich funkcjonowania we współczesnym świecie.

Przez kilka lat obserwowałem mniej czy bardziej udane próby odkrywania historii. Dziś chciałbym państwu przedstawić kilka refleksji dotyczących Festiwalu Piosenki Niezłomnej i Niepodległej im. Henryka Rasiewicza „KIMA”. Patron był żołnierzem 3. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej oraz autorem pieśni partyzanckich śpiewanych w oddziałach AK.

Festiwal organizuje od kilku lat grupa młodych ludzi ze Stowarzyszenia Passionart w Krakowie, m.in. Natalia Tokarczyk-Jarocka, główny koordynator we współpracy z oddziałami IPN w całym kraju oraz w kilku miejscach za granicą. Celem festiwalu jest utrwalenie znajomości naszej historii poprzez muzykę i piosenki z lat 1939–1956.

Festiwal składa się z dwóch etapów: przesłuchań wojewódzkich, eliminacji

RUSZA FESTIWAL PIOSENKI NIEZŁOMNEJ I NIEPODLEGŁEJ IM. HENRYKA RASIEWICZA „KIMA”. PATRON BYŁ ŻOŁNIERZEM 3. WILEŃSKIEJ BRYGADY ARMII KRAJOWEJ ORAZ AUTOREM PIEŚNI PARTYZANCKICH ŚPIEWANYCH W ODDZIAŁACH AK

na szczeblu ogólnopolskim i wreszcie finału w gmachu Filharmonii Krakowskiej. W kilku kategoriach wiekowych rywalizują dzieci, młodzież, solo i w zespołach. Coraz częściej pojawiają się zespoły rockowe.

Z moich obserwacji wynika, że zainteresowanie muzyką, piosenką odnoszącą się do historii rośnie. Wpłynęło na to zaangażowanie wielu instytucji, mediów i ludzi, m.in. nauczycieli, instruktorów muzyki. Podziwiam związaną z festiwalem od lat Virę Kamińską ze szkoły podstawowej w Ząbkach. Co roku przygotowuje ona nowe piosenki, nowych artystów solistów, zespoły, m.in. Magia Strun, i sama występuje w kategorii open. Koncertom towarzyszą spotkania z bohaterami wydarzeń historycznych.

Interesujące są motywacje uczestników, część osób zapewne uczestniczy ze względu na możliwość udziału w konkursie, walory wokalne, inni – ponieważ szkoła kazała wystąpić w przesłuchaniach. Mnie interesowały motywacje np. rodzinne; wiele osób mówiło, że piosenki te śpiewali ich pradziadkowie, dziadowie,

rzadko rodzice. Niektórzy wspominali o traumie rodzinnej czasów wojny i powojennych lat. Bywały też informacje o wrzeniach, jakie na nich wywarły wizyty w Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum II Wojny Światowej czy spotkania z osobami, które przeżyły tamte czasy.

Coraz ciekawszym zjawiskiem jest współczesne postrzeganie patriotyzmu, np. Anastazja Lech z Lublina śpiewała piosenki o swoim mieście: „Tu, w Lublinie” oraz „Mięta i czekolada – Moje miasto”.

Niesamowitym zjawiskiem jest także dbałość opiekunów, rodziców o stroje młodych wykonawców oddające klimat śpiewanej piosenki. Fotografie są dostępne na stronie internetowej festiwalu.

Finał w Filharmonii Krakowskiej jest wydarzeniem artystycznym, młodzi wykonawcy mają możliwość wystąpić na scenie z orkiestrą i przed dużym audytorium. Uczestnicy zamiast Wykonawcy otrzymują nagrody i wyróżnienia.

Zapraszam państwa do udziału w kolejnej edycji Festiwalu Piosenki Niezłomnej i Niepodległej wiosną br.



„ZBROJENIÓWKA” POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Utworzyli ją jeszcze w 1933 r. inżynierowie i technicy związani z Politechniką Warszawską i elitarną Wyższą Szkołą Budowy Maszyn im. Wawelberga i Rotwanda. W latach II Rzeczypospolitej Grupa była prężnie rozwijającą się spółdzielnią, montującą instalacje elektryczne, uczestniczącą w pracach nad obwałowaniem Wisły i w eksploatacji złóż ropy naftowej na Podkarpaciu. W drugiej połowie lat 30. jej członkowie, zachęceni sukcesem, wyszli nawet z inicjatywą powołania Spółdzielczego Banku Technicznego. Jednym z założycieli i mentorów Grupy był Stanisław Gierat – prezes Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej „Siew” i Centralnego Związku Młodej Wsi, w latach II wojny światowej oficer w II Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa. W 1939 r. członkowie Grupy Technicznej wzięli udział w wojennych przygotowaniach w stolicy – w czerwcu w podziemiach Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego przy ul. Nowogrodzkiej zainstalowali urządzenia łączności, które były wykorzystywane podczas wrześniowej obrony Warszawy. Pracownicy GT (dysponujący własnymi środkami transportu i sprzętem specjalistycznym) zorganizowali też zespoły mające usuwać zniszczenia wynikające z działań wojennych. Równocześnie z części załogi ewakuowanej do Lublina utworzono kilkanaście patroli, które

W latach II wojny światowej obok organizacji polskiego Podziemia, których celem była orężna walka o niepodległość, funkcjonowały struktury odpowiedzialne za wyposażenie żołnierzy konspiracji w broń, sprzęt służący łączności oraz dokumenty. Spośród nich do najważniejszych należała Grupa Techniczna

miały utrzymywać telefoniczną łączność z Warszawą. W połowie września członkowie Grupy zostali przesunięci do Chełma, a następnie podporządkowali się dowódcy Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszkowi Kleebergowi, otrzymując rozkaz zorganizowania łączności zgrupowania. W działaniach frontowych uczestniczyli aż do 6 października 1939 r.

Inżynierowie konspiratorzy

Po przegranej kampanii wrześniowej i wprowadzeniu niemiecko-sowieckiej okupacji pierwsi pracownicy Grupy Technicznej pojawili się w centrali spółdzielni przy warszawskim pl. Trzech Krzyży w połowie października. „Wojenny” prezes zarządu GT i jej dyrektor naczelny inż. Bronisław Budkiewicz dążył za wszelką cenę do utrzymania zarówno sprawdzonego, doświadczonego zespołu, jak i materiałów technicznych, którymi dysponowała Grupa. Jednak tylko na krótko udało się zespołowi – prowadzącemu wówczas prace szklar-

skie i naprawcze w stolicy, a zarazem zaangażowanemu w... zorganizowany przemysł żywności do wygłodzonego miasta – uniknąć wykorzystania jego potencjału przez Niemców. Pod presją władz okupacyjnych, groźbą przejęcia przez nie majątku i likwidacji Grupy zdecydowano się podjąć zlecenie przez nie w okręgu warszawskim zadania – układanie i montaż torów oraz roboty melioracyjne i budowlane. Jednak ta oficjalna aktywność GT była jedynie parasolem i przykrywką dla wzmożonej działalności konspiracyjnej. W przedsiębiorstwie zatrudniano zatem fikcyjnie żołnierzy Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej oraz cywilnych pracowników aparatu Polskiego Państwa Podziemnego, skutecznie ukrywając przed Niemcami ich właściwą działalność. Waga niemieckich zamówień dawała przy tym Grupie możliwość zdobywania mocnych papierów chroniących ich właścicieli przed wywózkami, a nawet ułatwiających zwalnianie z więzień. Pozwalały one również na względną swobodę przemieszczania się po terenie Generalnego Gubernatorstwa. W ten sposób zalegalizowani zostali m.in. komendanci główni ZWZ i AK – generałowie Stefan Rowecki „Grot” i Tadeusz Komorowski „Bór” oraz liczna grupa zrzuconych przez Brytyjczyków nad Polską cichociemnych stanowiących później część oficerskiej kadry zbrojnego Podziemia. Równocześnie zarówno funkcjonujące oficjalnie, jak i tajne laboratoria oraz warsztaty Grupy stały się swoistą zbrojeniówką Polskiego Państwa Podziemnego. Ruszyła w nich produkcja min do wysadzania torów kolejowych i części do krótkiej i długiej broni palnej oraz prace nad technologią wytwarzania granatów ręcznych. Naprawiano w nich

także aparaturę radiową wykorzystywaną później przez Podziemie. Zbigniew Gawrak „Czeczot” – uczestnik powstania warszawskiego, a po wojnie wykładowca uniwersytecki – tak wspominał swoją pracę w tym szczególnym przedsiębiorstwie: „Pracę podjąłem w Grupie Technicznej, mieszczącej się na placu Trzech Krzyży; sekretariat prowadziła Basia Wolska, wspaniała konspiratorka, która trzymała w ręku wiele nici (zginęła później w powstaniu). Grupa Techniczna wykonywała m.in. roboty dla Niemców (kable, wózki akumulatorowe itp.), dawała więc mocne dokumenty pracy. Stanowiła ośrodek niezwykle gęstej sieci konspiracyjnej. Stawała się coraz silniejszym filarem Podziemia”.

Podziemna sieć

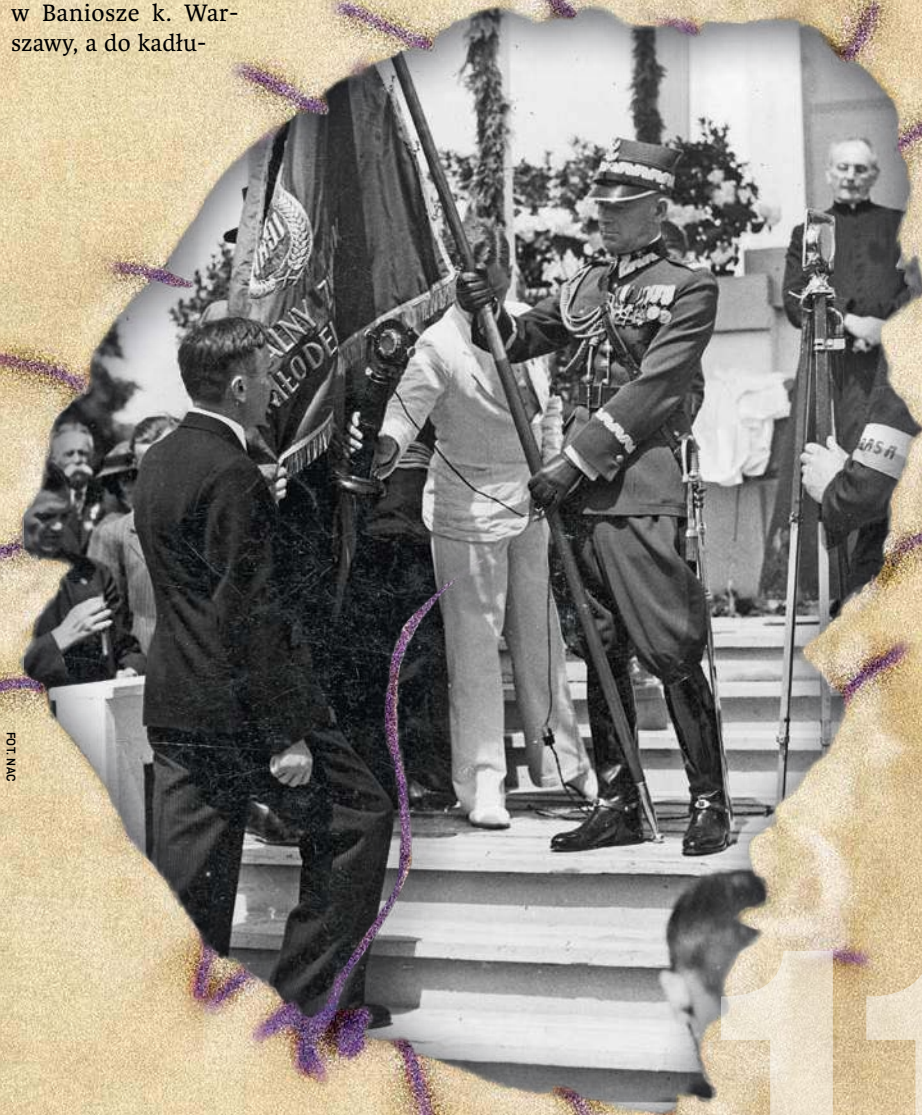
Równocześnie kierownicy i pracownicy Grupy byli liderami i członkami organizacji podziemnych. Taką podwójną rolę odgrywali np. Edward Czarnowski, Władysław Zakrzewski, Mieczysław Drozdowicz, Zygmunt Piątkowski i Henryk Grodzicki, którzy stanowili grono przywódców konspiracyjnego Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Sam prezes i dyrektor spółdzielni Budkiewicz już od jesieni 1939 r. pełnił funkcję przewodniczącego tzw. trójki kierującej pracami Komendy Głównej i okręgami ZOR. Następnie, gdy ZOR został scalony z AK, został mianowany zastępcą szefa Wydziału Przemysłu Wojennego Komendy Głównej AK. Był także pracownikiem podziemnej Delegatury Rządu na Kraj. Aresztowany przez Niemców, został zamordowany w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen w 1944 r. Po uwięzieniu Budkiewicza stanowiska prezesa i dyrektora Grupy objął Stanisław Michałowski, łącząc je ze służbą w Komendzie Głównej AK. Spośród wspomnianych już pracowników Grupy Gawrak „Czeczot” pracował w podziemiu w sekcji Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu, natomiast Drozdowicz prowadził początkowo punkt kontaktowy dla oddziału partyzanckiego słynnego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, a później wraz z profesorem Politechniki Warszawskiej Januszem Tymowskim (kierownikiem komórki Przemysłu Zbrojeniowego Komendy Głównej AK) opracowywał zagadnienia organizacji przemysłu po zakończeniu wojny. Zespół Grupy Technicznej pomimo permanentnego

zagrożenia dekonspiracją, a także bolesnych strat – wielu członków GT poległo w powstaniu warszawskim lub zostało zamęczonych podczas śledztw na Gestapo i zamordowanych w obozach koncentracyjnych – przetrwał lata okupacji i doczekał zakończenia wojny.

W powojennej Polsce Ludowej spółdzielnia uległa początkowo niemal całkowitej likwidacji – to, czego nie udało się osiągnąć Niemcom, sprawiły absurdy komunistycznego zarządzania gospodarką oraz stalinowskie represje. Mimo że GT usiłowała się włączyć w odbudowę kraju, rozszerzając nawet działalność i otwierając oddziały terenowe w Łodzi, Gdańsku, Olsztynie, Katowicach i we Wrocławiu, komunistyczne władze zadecydowały o przesunięciu przedsiębiorstwa do sektora państwowego. Ten okres ubezwłasnowolnienia spółdzielni przetrwała jedynie Wytwórnia Maszyn Elektrycznych w Baniosze k. Warszawy, a do kadłu-

bowej pozostałości Grupy Technicznej została włączona stołeczna spółdzielnia Urania. Dopiero po latach władze PRL dały zielone światło dla odbudowy spółdzielni. U schyłku lat 70. załoga dawnej Grupy Technicznej liczyła blisko pół tysiąca pracowników, wypracowując – i to w okresie narastania kryzysu gospodarczego, mającego zadecydować niebawem o końcu gierkowskiej dekady – niebagatelny zysk kilkunastu milionów złotych.

Marszałek Edward Rydz-Śmigły wręcza sztandar prezesowi Związku Młodej Wsi Stanisławowi Gieratowi. Czerwiec 1937 r., Warszawa



INTELEKTUALNE DNA ROSYJSKIEJ CERKWI PRAWOSŁAWNEJ

**BYŁOBY BŁĘDEM UZNANIE, ŻE POWODÓW USYTUOWANIA ROSYJSKIEGO
PRAWOSŁAWIA TRZEBA SZUKAĆ TYLKO W JEGO UZALEŻNIENIU OD
ZWIĄZKU SOWIECKIEGO I AGENTURALNYCH POWIĄZAŃ HIERARCHÓW**



FOT. PAPARAZZA / SHUTTERSTOCK.COM

Patriarcha Cyryl i prezydent Rosji
Władimir Putin w Kijowie w trakcie
obchodów 1 025. rocznicy chrztu
Rusi, 27 lipca 2013 r.



**TOMASZ P.
TERLIKOWSKI**

To, że Rosyjska Cerkiew Prawosławna odgrywa obecnie rolę ministerstwa ds. propagandy religijnej Władimira Putina, nie ulega wątpliwości. Stanowisko patriarchy Moskwy i Wszechrusi wobec wojny Rosji z Ukrainą jest całkowicie jasne. Już w przededniu ataku podczas uroczystości upamiętniających rosyjskich i sowieckich żołnierzy Cyryl podkreślał, że wojskowi nie powinni mieć żadnych wątpliwości w kwestii wykonywania rozkazów swoich przełożonych. „Żyjemy w okresie pokoju, ale zdajemy sobie sprawę, że również w czasach pokoju powstają zagrożenia. Niestety i w obecnym momencie istnieją zagrożenia. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, co dzieje się na rubieżach naszej ojczyzny. Dlatego myślę, że nasi wojskowi nie mogą mieć żadnych wątpliwości co do tego, że dokonali oni jedynie słusznego i prawidłowego wyboru w swoim życiu” – mówił, składając wieniec od Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego przy Wiecznym Ogniu na Mogile Nieznanego Żołnierza w Aleksandrowskim Sadzie przy murach Kremla. A dzień później – już w trakcie działań wojennych – zaznaczał, że jedyną drogą do trwałego pokoju jest „darrowana przez Boga wspólnota” narodu/ów rosyjskiego i ukraińskiego. W kolejnych dniach było już tylko ostrzej. „Niech Pan chroni naszą ruską ziemię” – mówił patriarcha w trakcie liturgii w pierwszą niedzielę wojny i dodawał, że pod terminem „ruska” rozumie ziemię Rosji, Ukrainy i Białorusi. „Nie daj Boże, aby obecna sytuacja polityczna na bratniej Ukrainie, która jest nam bliska, umożliwiła zapewnienie zwycięstwa siłom zła, które zawsze walczyły przeciwko jedności Rosji i rosyjskiej Cerkwi” – uzupełniał patriarcha i wskazywał, że gwarancją takiej jedności jest zachowanie ukraińskiego prawosławia pod władzą Rosji. „Nie można pozwolić, aby śmiały się z nas mroczne i wrogie siły zewnętrzne, musimy zrobić wszystko, aby zachować pokój między naszymi narodami i jednocześnie chronić naszą wspólną historyczną ojczyznę przed wszystkimi działaniami z zewnątrz, które mogą tę

jedność zniszczyć” – mówił patriarcha. Od tego momentu jego stanowisko co najwyżej się zaostrzyło. I myliłby się ten, kto sądziłby, że jest to stanowisko w Rosyjskiej Cerkwi odosobnione. Identyczne zajmuje, choćby uchodzący za intelektualistę, metropolita Hilarion, który wprost zaznacza, że każdy, kto występuje przeciwko jedności Rosji i Ukrainy, w istocie „działa przeciwko Kościołowi i przeciwko Bogu”.

Wspólna ideologia „ruskiego świata”

Już tylko te (naprawdę wybrane spośród wielu innych) wypowiedzi nie pozostawiają wątpliwości, że Rosyjska Cerkiew Prawosławna idzie w sprawie wojny ramię w ramię z Władimirem Putinem. On sam zresztą, by usprawiedliwić swoje poczynania, także posługuje się argumentami religijnymi. Już w wystąpieniu zapowiadającym „specjalną akcję militarną” podkreślał, że jednym z jej powodów jest obrona praw prawosławnych należących

lityczną Putina i Cyryla było widać jeszcze lepiej. Obaj bowiem odwoływali się wówczas dla usprawiedliwienia agresji do ideologii „ruskiego świata” i Świętej Rusi, którą – w wymiarze zarówno politycznym, jak i religijnym – zobowiązani byli utrzymywać. Na czym polega owa polityczno-duchowa koncepcja? Odpowiedź jest prosta. „Russkij mir” (ruski świat/pokój) to koncepcja geopolityczna mająca swoje głębokie korzenie w koncepcji Moskwy jako Trzeciego Rzymu, Świętej Rusi, ale także słowianofilstwie i euroazjatyzmie. Zgodnie z nią istnieje odrębna przestrzeń cywilizacyjna „ruska” obejmująca wszystkie tereny, na których pisze się cyrylicą, używa języka rosyjskiego (według niej ukraiński nie jest odrębnym językiem) i wyznaje prawosławie. Świat ten ma podlegać centrali w Moskwie, którą zarządzają symfonicznie patriarcha i władca (w tym przypadku Putin), i być zasadniczo lepszy od zgniłego Zachodu. Celem zaś „symfonicznej” (bo jednoczącej władzę duchową patriarchy i świecką Putina) władzy ma być

I CHOĆ ZARZUT TEN NIE ODNOSI SIĘ DO WSZYSTKICH KATOLIKÓW, TO DLA DOSTOJEWSKIEGO ZŁO WSPÓŁCZESNOŚCI, OŚWIECENIA, SOCJALIZMU I USTROJÓW TOTALITARNYCH MA SVOJE KORZENIE W KATOLICYZMIE

do Patriarchatu Moskiewskiego. Kilkanaście dni później cytował Ewangelię („Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” J 15,13), żeby uzasadnić rosyjską agresję i działania rosyjskich żołnierzy, którzy rzekomo oddają swoje życie za prześladowanych w Donbasie prawosławnych Rosjan. I choć używanie Ewangelii, aby usprawiedliwiać działania zbrodnicze, niewątpliwie jest herezją, to... z ust patriarchy czy któregośkolwiek z rosyjskich biskupów prawosławnych (uczciwie trzeba powiedzieć, że katolickich też nie) nie padło ani słowo oceny takich działań.

Osiem lat wcześniej, gdy wojska rosyjskie (udające secesjonistów) anektowały Krym, część Donbasu i Ługańska, tę motywowaną religijnie wspólnotę po-

zdobycie dla Świętej Rusi przynajmniej tych ziem, które Rosja uznaje za kanonicznie swoje. Trzeba mieć świadomość, że z ich perspektywy oznacza to nie tylko Ukrainę, ale także państwa nadbałtyckie, Kazachstan i, przy pewnej interpretacji, będące zdrajcami wspólnej słowiańskiej sprawy ziemie polskie.

Ojcem politycznej – podszytej ewolucyjnym nihilizmem – koncepcji „ruskiego świata” pozostaje Aleksandr Dugin, ale trzeba mieć świadomość, że ślady tego myślenia znajdziemy już w o wiele od niego starszej idei „Moskwy – Trzeciego Rzymu”. „Dwa Rzymy upadły, trzeci stoi, a czwartego nie będzie” – miał zapisać mnich Filoteusz na przełomie XV i XVI w. Tyle że w jego ustach – to, co później stało się oficjalną ideologią carską, a także >>


Fiodor Dostojewski

Iwan Kiriejewski

Mikołaj Danilewski

» elementem rosyjskiej prawosławnej tożsamości – miało wymiar głównie apokaliptyczny. „Jeśli Moskwa jest trzecim Rzymem, to jest ostatnim, a to oznacza, że nadeszła ostatnia epoka, że koniec jest coraz bliższy” – wyjaśnia o. Georgij Florovskij w fundamentalnych „Drogach ruskiej teologii” (1937). I dodaje, że wynika z tego raczej obowiązek jak najciślej pilnowania wiary prawosławnej oraz wezwanie do ascezy. Apokaliptyka jednak, o czym też nie wolno zapominać, nie tylko na Rusi łączy się z polityką. Tak się stało i z tą ideą. Mistyczne, mesjanistyczne i apokaliptyczne rozważania mnicha Filoteusza, przeniknięte niechęcią czy wręcz wrogością do łaćnińskiego Zachodu, stawiały przed władcą Moskwy obowiązek umacniania i rozszerzania wiary prawdziwej. Idea ta, podjęta przez wielkich książąt moskiewskich i później carów, stała się jednym z fundamentów nie tylko polityki, ale i religijności rosyjskiej, a zawarte w niej elementy antyłaćnińskie i antyrzymskie na trwałe weszły do myślenia rosyjskiego prawosławia. Dugin, a za nim Putin czy Cyryl tylko owe elementy rozgrywają.

Wielki Inkwizytor...

Wrogość wobec Zachodu, uznanie go za istotowo niższy od prawosławnej Rusi/Rosji – świadomość, która leży u podstaw zarówno putinowskiej, dość niekiedy ordynarnej propagandy, jak i jej prawosławnej wersji, też w myśleniu rosyjskim nie jest niczym nowym. Już jeden z czoło-

wych rosyjskich słowianofilów Iwan Kiriejewski (1806–1856) ostro i jednoznacznie krytykował Zachód (w tym zachodnie chrześcijaństwo) za to, że jest on przeniknięty duchową pustką, „niszczącą analizą rozumową”; „...człowiek zachodni za sprawą jednostronnego rozwoju swojego rozumu abstrakcyjnego utracił wiarę we wszystkie swoje przekonania pochodzące spoza jego rozumu, a w rezultacie rozwoju tegoż rozumu stracił również wiarę w jego wszechmoc” – wskazuje Kiriejewski.

Katolicyzm – o czym nie należy zapominać – także uznawany był za źródło fałszu kultury zachodniej. Dlaczego? Bo zdaniem choćby Aleksieja Chomiakowa (1804–1860) katolicyzm opiera się na przemocy i zasadzie władzy, a nie na zasadzie wolności. Idee i myśli Chomiakowa podejmuje jeden z epigonów słowianofilstwa Mikołaj Danilewski (1822–1895). Jego zdaniem powodem rozłamu między Kościołem Wschodnim a Zachodnim wcale nie były kwestie dogmatyczne, ale zmanifestowanie władzy przez Rzym, który do wyznania wiary wprowadził filioque. Przemoc w kwestiach wiary ma zresztą charakteryzować zachodnie chrześcijaństwo także później. „Gdyby nie wspólny narodom germańsko-romańskim duch przemocy, skąd wzięłyby się obcy chrześcijaństwu duch prozelityzmu [...]. Skąd wzięłyby się zakony rycerskie? Skąd wzięłyby papież środki, by krwawo stłumić herezje albigensów i waldensów?” – przekonuje Danilewski. I dodaje, że przemoc z życia

religijnego Zachodu zniknęła dopiero, gdy ostygł on religijnie.

Istotę zarzutów słowianofilskich wobec papieża najdoskonalej wyraził Fiodor Dostojewski, który w swoim „Dzienniku pisarza” wprost sugeruje, że katolicyzm „sprzedał Chrystusa za ziemskie władztwo”. „Ogłosiwszy za dogmat, że chrześcijaństwo na ziemi nie może się utrzymać bez ziemskiej władzy papieża, proklamował tym samym Chrystusa nowego, odmiennego niż dawniej, Chrystusa, który się skusił na trzecie kuszenie szatana, na królestwa ziemskie [...]. W dodatku Rzym dopiero niedawno oznajmił swoją zgodę na trzecie kuszenie szatana w postaci dogmatu” – przekonywał genialny pisarz. Jak powiązał on dogmat o nieomyślności papieskiej z pragnieniem władzy? Odpowiedź jest prosta, właśnie za sprawą pragmatyzmu politycznego. Papież ma możliwość przerzucania poparcia politycznego na dowolne siły, które mogą mu zagwarantować dalsze sprawowanie władzy – i to zarówno świeckiej, jak i duchowej. Jeśli wcześniej wspierał monarchię, to teraz może spokojnie wspierać demokrację, a nawet rewolucję. „Dowiedzcie się zatem, że papież ma klucze świętego Piotra i że wiara w Boga jest tylko wiarą w papieża, którego sam Bóg postawił nad nami na ziemi zamiast siebie. Papież jest nieomylny, ma boską władzę i jest władcą czasów; orzekł teraz, że nadszedł już wasz czas. Przedtem główna siła wiary polegała na pokorze, ale teraz pokorze nadszedł kres i papież ma władzę odwołania jej, bo ma wszelką władzę” – pisał Dostojewski.

W „Braciach Karamazow” te same idee wyrażone są językiem profetycznym. Co jest istotą katolicyzmu? Ograniczenie wolności, nie tylko ludzi, ale i samego Boga, przez władzę jednego człowieka. „Wszystko przekazałeś papieżowi, a więc wszystko jest teraz w mocy papieża, a Ty [mowa o Chrystusie – dop. T.P.T.] lepiej wcale nie przychodź, nie przeszkadzaj przynajmniej do czasu” – wyjaśnia Iwan Karamazow. Wielki Inkwizytor – a to on w umyśle Dostojewskiego pozostaje obrazem katolickiego myślenia – dla dobra ludzkości, dla jej spokoju, dla jej dobrobytu chce odebrać jej wolność, co oznacza w istocie uleganie trzeciej pokusie szatańskiej. Jezus nie chciał zniewalać człowieka cudem. Katolicyzm zaś, by uporządkować świat, by dać ludziom święty spokój, ale i poczucie bezpieczeństwa, odebrał im wolność, opierając swoje nauczanie na „na cudzie, tajemnicy i autorytecie”. „I ludzie ucieszyli się, że prowadzono ich znowu, jak trzodę i że z ich serc zdjęto wreszcie tak straszliwy dar, który im tyle udręk przysporzył” – rysuje obraz ucieczki od wolności w auto-

rytet, który miał się dokonać w Kościele, Iwan Karamazow. Obraz szczęścia, jaki ma ofiarować ludziom władza Inkwizytora, bardziej przypomina utopię komunistyczną niż obraz życia katolickiego, ale zawiera w sobie ostrzeżenie przed ślepym – nieograniczonym prawdą – posłuszeństwem i przed budowaniem społeczności pozbawionych wolności. Ten obraz – i jest on być może najmocniejszy – kończy się wnioskiem, że w istocie Inkwizytor (istota katolicyzmu) jest niewierzący. I choć zarzut ten nie odnosi się do wszystkich katolików, to... dla Dostojewskiego zło współczesności, oświecenia, socjalizmu i ustrojów totalitarnych ma swoje korzenie w katolicyzmie. Święta Ruś, „ruski świat” ma się sprzeciwiać temu, co złe w Zachodzie.

...i jego prawosławni uczniowie

Paradoksem historycznym i intelektualnym jest zresztą to, że obecnie przywódca Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej są uczniami postaci, która Kościołem katolickim była autentycznie zafascy-

nowana. Mowa o metropolicie Nikodemie (tym, który umrzeć miał – według pięknego mitu – na rękach Pawła VI). Ten wybitny intelektualnie hierarcha – rzucony na odcinek ekumeniczny przez sowieckie służby specjalne – był szczególnie zachwycony Kościołem, choć pojmował go tak jak Dostojewski. Inaczej jednak niż rosyjski pisarz, uważał, że to jest właśnie cel, do jakiego trzeba dążyć. Uporządkowany przez jasne kryteria świat, który ofiarowuje ludziom święty spokój za cenę bezpieczeństwa, stał się ideałem, do którego zmierzać powinna także Rosyjska Cerkiew Prawosławna.

I to na naszych oczach – rękoma jego uczniów (a Cyryl, tak jak najważniejsi obecnie biskupi prawosławni w Rosji są od wczesnej młodości jego bezpośrednim uczniem) jest realizowane. Do spółki z Putinem.

Jest to zaś dla Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej tym łatwiejsze, że od pokoleń, a nie od dziesięcioleci, jest ona całkowicie zależna od państwa. Opisanie tej zależności jest już jednak materiałem na osobny artykuł.



LICZEBNOŚĆ POLAKÓW MIESZKAJĄCYCH OBECNIE NA TERYTORIUM FEDERACJI ROSYJSKIEJ NIE JEST TAK WIELKA JAK W INNYCH PAŃSTWACH EUROPY ORAZ OBU AMERYK. WEDŁUG OFICJALNEGO ROSYJSKIEGO SPISU POWSZECHNEGO Z 2002 r. OBEJMOWAŁA ONA ZALEDWIE 73 TYS. OSÓB



ROSJA – „INNY ŚWIAT”

WIDZIANY Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY



**KS. WALDEMAR
GLIŃSKI**

Dane te należy jednak uznać za zaniżone: w literaturze przedmiotu wskazuje się liczbę wielokrotnie większą – ok. 400 tys. w 2003 r. (według „Encyklopedii polskiej emigracji i Polonii”, pod red. K. Dopierały, t. 4). Stała obecność Polaków w tym kraju nie jest tylko następstwem trudnych często stosunków polsko-rosyjskich. Towarzyszyły im bowiem trwające przez stulecia usiłowania zmierzające do

zrozumienia hermetycznej dla świata zachodniego rzeczywistości identyfikowanej z rosyjskością. Państwowość rosyjska pozostaje bowiem jednym z najbardziej intrygujących motywów historiozofii i geopolityki europejskiej, związanych z obszarem euroazjatyckim w jego dziejach od początków nowożytności po czasy współczesne. Decyduje o tym intensywne nagromadzenie paradoksów obecnych w relacjach między Europą Środkowo-Wschodnią, a nawet szerzej – między Europą a jej wschodnim sąsiadem. Obejmują one skrajne doświadczenia: od fascynacji bogatą odmiennością, aż po grozę i przerażenie przed metafizycznym złem uobecnionym w katastroficznych wizjach Mariana Zdziechowskiego i Aleksandra Wata. Rosja jawiła

się jako bezkresny obszar zróżnicowanej eksploracji oraz ekonomicznych więzi, ale także złowróżbny cień międzykontynentalny kładący się na mapie narodów i krajów europejskich.

Bezkresna groza

W sposób szczególny doświadczenia te wraz z całym splotem swych sprzeczności, ale także wspólnoty losów historycznych, obecne są w relacjach polsko-rosyjskich, odkąd oba te porządki kulturowe spotkały się na ścieżkach dziejowego rozwoju. Początków tego spotkania doszukiwać się można w zwasalizowaniu w 1471 r. przez Iwana III Republiki Nowogrodzkiej, będącej dotychczas lennem Wielkiego Księstwa Litewskiego.

FOT. POLONA.PL

Zainicjowało ono rywalizację pomiędzy państwem polsko-litewskim a Księstwem Moskiewskim, a później Cesarstwem Rosyjskim. Od tego momentu Polacy coraz głębiej i z większą intensywnością wchodzili w przestrzeń „rosyjskiej idei”, jak Bierdiajew określał tajemniczy dla pozostałego świata obszar kulturowy. Nasilenie tego procesu nastąpiło w XVII stuleciu. Poddani Zygmunta III zapuszczali się coraz głębiej na Wschód, szczególnie w burzliwych czasach Samozwańców. Trafiali tam w ramach oddziałów werbowanych przez litewskich możnowładców, wspomagających Dymitra Samozwańca I, czy też wojsk Zygmunta III. Oprócz najgłośniejszej misji hetmana Żółkiewskiego obecność polskiego oddziału dowodzonego przez Jakuba Rognowskiego odnotowano w 1612 r. w Tule. Pojmani podczas tych wojen jeńcy polscy pozostawali w bezkresnej obcej ziemi niejednokrotnie aż do swojej śmierci. Jedną z barwniejszych postaci tego okresu był Paweł Chmielewski – uczestnik wyprawy hetmana Żółkiewskiego. Po przejściu na stronę moskiewską, a później nieudanej próbie nawiązania kontaktów z polską załogą w Smoleńsku został aresztowany, a następnie po uwolnieniu powierzono mu stanowisko wojewody w Jenisejsku, jednym z najstarszych miast Syberii, skąd rozciągała się kontrola nad faktorią w Mangazei, ważnym ośrodkiem na

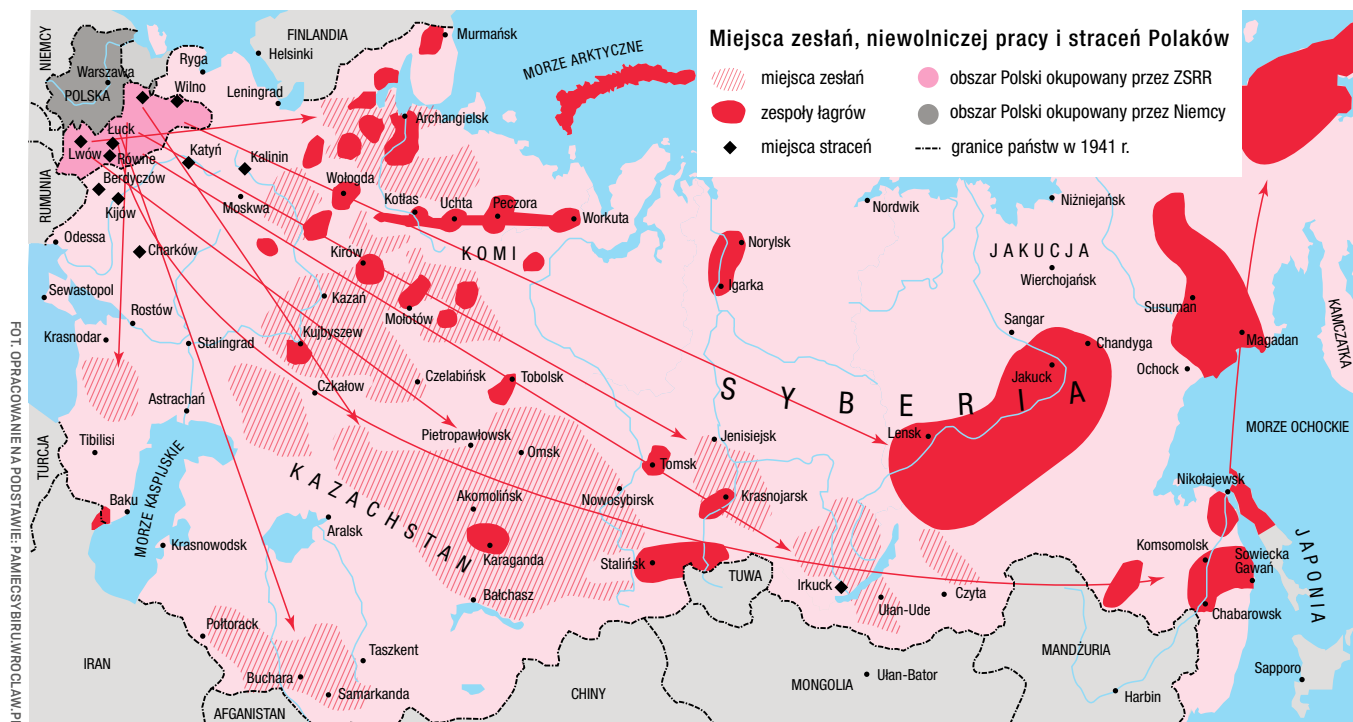
szlaku kupieckim prowadzącym do ujścia Północnej Dźwiny. Wśród słynnych jeńców pojmanych dziewięć lat później znajdował się Samson Nowacki, lisowczyk skierowany wraz z żoną i pięćoosobową służbą do Tobolska, skąd prowadził misje kolonizacyjne w okolicach Dolnej Tunguzki. Według ustaleń historyków rosyjskich w okresie 1614–1624 zesłano na Sybir 560 osób. Połowę z nich stanowili jeńcy wojenni, głównie z obszaru Rzeczypospolitej. Rosja coraz częściej utożsamiana była przez Polaków z jej wschodnim bezkresem, z azjatycką, syberyjską czeluścią, „wielkim więzieniem bez dachu”, jak ją określił Aleksander Salomon, „innym światem” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy też „domem żywcem pogrzebanych ludzi, jakiego nigdzie znaleźć nie można”, jak go nazwał Fiodor Dostojewski.

Syberyjskim szlakiem

Planowe, systematyczne i masowe deportacje Polaków do syberyjskiej cześci rozpoczęły się w XVIII stuleciu wraz z represjami podjętymi wobec uczestników konfederacji barskiej. Na mocy ukazu Katarzyny II z 22 listopada 1768 r. oficerowie i szlachta uprowadzeni zostali do Kazania, prości żołnierze zasilili natomiast rosyjskie garnizony miast wielkoruskich, kazańskich lub syberyjskich. Liczebność

zesłańców ustala się na poziom ok. 10 tys. osób. Imienna lista dostarczona w 1774 r. przez Franciszka Augusta Thesby de Belcour Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu obejmowała 5 445 nazwisk zesłańców z Kazania, głównie oficerów i przedstawicieli szlachty.

Kolejne fale zesłań wiązały się z polskimi insurekcjami i działalnością spiskową. W 1795 r. po śledztwie komisji smoleńskiej w głąb północnych rejonów Rosji wysiedlono 22 osoby, natomiast 10–12 tys. żołnierzy powstańczych wcielono do rosyjskich jednostek wojskowych stacjonujących na obszarach syberyjskich. W latach 20. XIX w. wywieziono na Wschód uczestników młodzieżowych organizacji patriotycznych i spiskowych: Filomatów i Filaretów, polskich współpracowników spisku dekabrystów (Piotra Moszyńskiego i Seweryna Krzyżanowskiego) i tajnych stowarzyszeń z Orenburga, Permu i Włodzimierza. Dołączyli do nich zesłańcy represjonowani po powstaniu listopadowym, wcieleni do garnizonów kaukaskich lub wywiezieni w inne rejony imperium, których liczebność szacuje się na 20–30 tys. osób. W okresie międzypowstaniowym na Sybir skazani zostali partyzanci Józefa Zaliwskiego, uczestnicy spisku Szymona Konarskiego, Stowarzyszenia Ludu Polskiego Gustawa Ehrenberga i Aleksandra Wężyka, członkowie >>



>> Woli Ludu i Związku Wołyńskiego Kaspra Maszkowskiego, Związku Narodu Polskiego Gerwazego Gzowskiego, Związku Chłopskiego ks. Piotra Ściegiennego, Związku Młodzieży Litewskiej Aleksandra i Franciszka Dalewskich. Szacunkowe ustalenia historyków określają liczebność zesłanych w latach 1832–1850 na poziomie ok. 50 tys. osób. Dodać należy do tej liczby ok. 200 tys. polskich rekrutów wcielonych w ciągu tych 20 lat do armii rosyjskiej. Kolejna fala deportacji nastąpiła po powstaniu styczniowym (36,5–37,5 tys. osób). Największą jednak skalę przybrały XX-wieczne zsyłki z lat 30. – z Dzierżyńszczyzny na Białorusi i Marchlewszczyzny na Ukrainie oraz w latach 1940–1941, przeprowadzone w czterech etapach: 10 lutego, 13–14 kwietnia, na przełomie maja i czerwca 1940 r. oraz w maju i czerwcu 1941 r. Wobec masowości tego zjawiska historycy bezradnie rozkładają jego skalę na poziomie od 1,5 mln osób (wg Władysława Wielhorskiego) do 307–327 tys. (wg Wojciecha Materskiego i Andrzeja Paczkowskiego). Do tej liczby dodać należy 30–50 tys. ofiar represjonowanych na Kresach Wschodnich w latach 1944–1947 oraz 45–50 tys. deportowanych na Wschód z poljańskiej Polski. Masowość zjawiska przybrała postać monstrualnej, apokaliptycznej zagłady, reprodukującej cierpienie i śmierć w statystycznych, trudno uchwytnych, wręcz niepoliczalnych ciągach cyfrowych.

Uciec jak najdalej

Polacy skonfrontowani z rosyjskim „innym światem” niekiedy reagowali desperacko, podejmując próby ucieczki. Jedną z pierwszych takich inicjatyw był zawiązany w 1634 r. spisek tomski, na którego czele stanęli Jan Bieliłowicz, Jan Krasnopolski i Michał Grabowiecki. Uczestniczyło w nim ok. 50 osób.

Z powodu zdrady sprzysiężenie zostało zdekonspirowane, a 12 jego przywódców powieszono tuż przed zawarciem pokoju w Polanowie, przewidującym powrót jeńców do Polski.

Najbardziej barwną, a nawet zaważającą ucieczkę powziął konfederat barski, Maurycy August Beniowski. Po



Maurycy August Beniowski

aresztowaniu został uprowadzony zrazu do Kazania, skąd bezskutecznie usiłował zbiec, a po ponownym jego ujęciu wysłano go do Bolszerecka na Kamczatce, gdzie zawiązał spisek. Opanował galeotę „Święty Paweł i Piotr”, na której z ponad 90-osobową załogą dotarł przez Okinawę do Makau, a stąd już na pokładzie francuskiego okrętu przez Port Luis na Wyspie Francuskiej oraz Port Dauphin na Madagaskarze dopłynął do wybrzeży francuskich, docierając w lipcu 1772 r. do Paryża, gdzie na dworze Ludwika XV dzielił się opowieściami z doznanych przygód.

Równie barwną ucieczkę z Syberii przedsięwziął powstaniec listopadowy, a później emisariusz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego – Rufin Piotrowski, prowadzący działalność agitacyjną i spiskową w Kamieńcu Podolskim, gdzie po aresztowaniu w 1843 r. skazany został 29 lipca 1844 r. na karę śmierci przez rozstrzelanie, zastąpioną na dożywotnie zesłanie. Piotrowskiego przewieziono do obwodu omskiego. Swoją ucieczkę przygotowywał skrupulatnie i metodycznie, studiując geografię Syberii, etnografię oraz systemy prawno-administracyjny i gospodarczy. W 1846 r. zbiegł przez Solikamsk w Kraju Perskim i Wielki Ustiug w obwodzie wołogodz-

kim do Archangielska, skąd planował na statku przedostać się do Francji. W porcie nad Dwiną musiał jednak skorygować swoje plany: przez Petersburg dotarł do Rygi, a następnie przez Królewiec i Gdańsk po 10 miesiącach tułaczki przybył 22 października 1846 r. do Paryża.

Wielu Polaków usiłowało zmienić swoje położenie i odzyskać wolność, angażując się w działalność spiskową, przyłączając się do zbrojnych powstań lub samemu je organizując. Część konfederatów barskich podjęła walkę po stronie Jemieliana Pugaczowa (m.in. Jan Choniewski, Piotr Moczyński, Piotr Szczeciński, Szymon Tuszyński), a jeszcze więcej spośród nich, co ujawniło tragiczny paradoks ich

losów – walczyło po przeciwnej stronie – m.in. Antoni Pułaski, brat Kazimierza, który wraz z grupą polskich jeńców dobrowolnie włączył się w Kazaniu do walk po stronie wojsk rosyjskich, nie będąc formalnie wcielonym do tych jednostek. W bitwie o Orenburg w armii dowodzonej przez gen. Golicina zginęło ok. 400

Polaków służących pod jego komendą. Gdy Pugaczow zdobył Trocką Twierdzę, wyróżnął w pień całą załogę, w tym także licznych barzan przymusowo włączonych do wojska rosyjskiego. Po upadku powstania przebywający w Tobolsku konfederaci poprosili o odesłanie ich do Polski i odmówili dalszej służby. Potraktowani zostali jak

buntownicy: inicjatorów wybitożono, szubienice im na czoło powypalano, skuto w kajdany i skazano na zesłanie, a pozostałych uwięziono, wywożąc do prowincji surguckiej.



Rufin Piotrowski

Powstanie zabajkalskie

Najbardziej spektakularnym zrywem wolnościowym podjętym w „wielkim więzieniu bez dachu” było powstanie zabajkalskie. Zorganizowane zostało przez uczestników powstania styczniowego, którzy już na etapowym szlaku zawiązali spisek i rozwinęli dyskretną agitację. Plany zakładały ucieczkę przez Chiny do środkowej Azji. Po dekonspiracji dokonanej w więzieniu krasnojarskim sprzysiężenie skoncentrowało swoją działalność w Irkucku, a do grona jego przywódców należeli: Kazimierz Arcimowicz, Narcyz Celiński, Leopold Eliaszewicz, Władysław Kotkowski, Karol Nowakowski, Jakub Rejner i Gustaw Szaramowicz. Wybuch insurekcji pierwotnie zaplanowano w rocznicę Konstytucji 3 maja 1866 r., ale ze względu na amnestię ogłoszoną po nieudanym zamachu na Aleksandra II przez Dymitra Karakazowa do rozpoczęcia zrywu doszło 24 czerwca: grupa 48 zesłańców dowodzonych przez Kazimierza Arcimowicza, zatrudnionych przy budowie drogi w miejscowości Kułtuk, rozbroiła konwojentów, a następnie formując 150-osobowy oddział, zdemobilizowano carski posterunek i przerwano łączność telegraficzną z Irkuckiem oraz dołączono

w Murynie do zawiązanego w tym samym czasie oddziału Gustawa Szaramowicza. Powstańcy sformowali Syberyjski Legion Wolnych Polaków. Do największej potyczki doszło pod miejscowością Miśszicha 28 czerwca 1866 r. Poległo w niej 38 powstańców, wielu zostało rannych i dostało się do niewoli. Działania militarne na mniejszą skalę trwały do 18 sierpnia. Przed sądem wojennym generał gubernatora Michała Korsakowa stanęło 683 powstańców. Wyrok ogłoszono 19 listopada 1866 r.: siedmiu przywódców skazano na karę śmierci, wobec czterech z nich wyrok wykonano, rozstrzelując 27 listopada Narcyza Celińskiego, Gustawa Szaramowicza, Władysława Kotkowskiego i Jakuba Reinera.

Odkrywcy Syberii

Większość Polaków przebywających w Rosji usiłowała zachować tożsamość narodową, religijną i cywilizacyjną, organizując w jej ramach swoje życie osobiste i rodzinne, realizując pasję i zaspokajając własne zainteresowania w warunkach ograniczonej wolności. W ten sposób wydatnie przyczynili się oni do okcydentalizacji Rosji i przeszczepienia na podłoże cywilizacyjne „rosyjskiej idei” wzorców zachodnich, opierających się na dyskursie racjonalistycznym i naukowym. Wielu z nich było pionierami w zakresie studiów etnograficznych i antropologicznych nad kulturami plemion zamieszkujących rozległe obszary syberyjskie. Najbardziej znanym spośród nich jest Bronisław Piłsudski, którego badania i dorobek naukowy stawiają go w czołówce specjalistów zajmujących się kulturą Ajnów. O ich znaczeniu świadczy działalność powołanego w 1981 r. pod auspicjami Narodowego Muzeum Etnografii w Osace Międzynarodowego Komitetu dla Ocalenia i Oceny Spuścizny Naukowej Bronisława Piłsudskiego.

Polscy zesłańcy – Edward Piekarski i Wacław Sieroszewski – podłożyli podwaliny do jakutologii. Pierwszy przebywał w Jakucji w latach 1881–1905 i opracował „Słownik jakotskiego języka”, będący w zasadzie encyklopedią kultury jakuckiej. Wacław Sieroszewski dotarł na ten obszar w 1880 r. i przez 12 lat prowadził swoje obserwacje, których wyniki zaprezentował w monografii zatytułowanej „Dwanaście lat w kraju Jakutów”, która zaliczana jest obecnie do klasyki dzieł w zakresie jakutologii.

Badania etnograficzne wśród Buriatów i Ewenków prowadził w południowej Syberii Benedykt Dybowski, komisarz Rządu Narodowego na Litwę, skazany na 12 lat zesłania. Przez kilka miesięcy przebywał w Irkucku, gdzie na-



Benedykt Dybowski



Wacław Sieroszewski

wiązał kontakt z miejscowym oddziałem Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Po przeniesieniu do Darasunia n. Turą rozpoczął badania ornitologiczne oraz ichtiologiczne, które przyniosły mu rozgłos i uznanie rosyjskich środowisk naukowych. Pozwolono mu zamieszkać w miejscowości Kułtuk na południowo-zachodnim brzegu Bajkału. Stworzył tam stację meteorologiczną i badawczą w celu eksploracji jeziora, odkrywając bogactwo flory i fauny, obalając domi-

nujące wówczas przekonania o niemożliwości rozwoju form życia na głębokich poziomach Bajkału. Jego dorobek naukowy tłumaczony na języki obce wszedł na trwałe do światowego obiegu naukowego, przynosząc mu międzynarodowe uznanie.

Domy polskie

Polscy uczeni, inżynierowie, duchowni, lekarze, pedagodzy, artyści, przyczyniając się do okcydentalizacji Rosji, starali się jednocześnie zachować własną tożsamość narodową, organizując – na tyle, na ile było to możliwe w systemie samodzierżawia carskiego, a później totalitarnego – polską infrastrukturę organizacyjną. Najbardziej znaną jego formułą były domy polskie. Pierwszy powstał w 1906 r. w Odessie, następnie w innych ośrodkach: Moskwie, Tyflisie, Charkowie, Chersoniu, Baku, Astrachaniu, Łucku, Mohylewie, Władywostoku. Prowadzą one szeroką działalność kulturalno-oświatową w ramach zakładanych czytelni, bibliotek, biur informacyjnych, księgarni, szkół, poradni, wydawanych broszur, czasopism, książek. Obecnie w Moskiewskim Okręgu Konsularnym funkcjonuje 31 tego rodzaju organizacji i stowarzyszeń (w Briańsku, Czelabińsku, Jarosławiu, Jekaterynburgu, Kazaniu, Kirowie, Kopiejsku, Krasnodarze, Kursku, Mineralnych Wodach, Moskwie, Orenburgu, Permie, Piatigorsku, Rostowie n. Donem, Samarze, Saratowie, Tiumeniu, Ufie, Władykaukazie, Włodzimierzem, Wołgogradzie i Żeleznowodsku). Nie do przecenienia jest ich rola integrująca wspólnotę polską oraz popularyzująca w środowisku rosyjskim nasz dorobek kulturowy.

Rosja ciągle pozostaje dla nas „innym światem”, niezrozumiałym i nieprzeniknionym. Doskonale wyraził to Gustaw Herling-Grudziński w epilogu swoich autobiograficznych zapisków sowieckich: po zakończeniu wojny poproszony we Florencji przez swojego byłego współwięźnia z Workuty o to, żeby wyraził akt zrozumienia dla traumatycznych przeżyć w Sowietach w jednym tylko słowie „rozumieć”, pomyślał jedynie: „Nie, nie mogłem wymówić tego słowa”. Irracjonalnej rzeczywistości, jaką w całym swoim bogactwie reprezentuje „rosyjska idea”, nie sposób zrozumieć, przeniknąć w naszym, logicznym, racjonalnym dyskursie świata zachodniego.

Autor jest profesorem UKSW

UKRAIŃSKIE PRAWOSŁAWIE: OD PODZIAŁÓW KU JEDNOŚCI?

W ŚWIECIE PRAWOSŁAWNYM NIE MA TAKIEJ INSTYTUCJI JAK PAPIESTWO, KTÓRE SWĄ JURYSDYKCJĄ OBEJMOWAŁOBY WSZYSTKICH WIERNYCH NA KULI ZIEMSKIEJ. ISTNIEJĄ TAM NATOMIAST POSZCZEGÓLNE KOŚCIOŁY LOKALNE, KTÓRE CIESZĄ SIĘ NIEZALEŻNOŚCIĄ. NAJCZĘŚCIEJ ZWIĄZANE SĄ ONE Z KONKRETNymi NARODAMI I MAJĄ WŁASNE TERYTORIA KANONICZNE

Przez ostatnie stulecia za największą potęgę prawosławia uchodziła Rosja. Dominacja Patriarchatu Moskiewskiego wynikała głównie z dwóch faktów: tradycji historycznej oraz największej liczby wiernych na świecie. W rzeczywistości oba te czyniki przemawiają nie za Moskwą, lecz za Kijowem.



**GRZEGORZ
GÓRNY**

Historia i teraźniejszość

Pierwszym władcą chrześcijańskim na ziemiach ruskich był książę kijowski św. Włodzimierz Wielki, który przyjął chrzest w roku 988. Data ta jest uznawana w historiografii za datę chrztu Rusi. Osiem lat później w Kijowie zaczęto budowę pierwszej wschodniosłowiańskiej świątyni: cerkwi Najświętszej Bogarodzicy. Sercem ruskiego prawosławia stała się kijowska Ławra Peczerska – wybudowany na naddnieprzańskich skałach średniowieczny kompleks cerkiewno-monastyczny. Żywoty mieszkających tam mnichów, zebrane w „Pateryku Kijewo-Peczerskim”, stały się podstawową

lekturą formacji duchowej dla całych pokoleń prawosławnych Słowian.

W tym czasie Moskwy jeszcze nie było na mapie. Powstała dopiero w 1147 r. – ponad siedem wieków po założeniu Kijowa. Nic więc dziwnego, że to właśnie Ukraina ma większe prawo odwoływać się do tego dziedzictwa.

Drugi aspekt – liczebny – również przemawia za Ukrainą, która jest najbardziej rozbudowanym religijnie krajem powstałym na gruzach ZSRS. Choć na początku XXI w. Rosja liczyła ponad 140 mln mieszkańców, a Ukraina – 48 mln, to jednak w tej ostatniej zarejestrowanych było prawie o 25 proc. więcej gmin wyznaniowych niż w Federacji Rosyjskiej. Istniało tam więcej parafii nie tylko greckokatolickich czy rzymskokatolickich, lecz także prawosławnych. O ile w całej Rosji działało ponad 9 tys.

FOT. SHUTTERSTOCK

Klasztor Ławra
Peczerska w Kijowie

parafii prawosławnych, o tyle na Ukrainie było ich ponad 12 tys. W dorzeczu Dniepru i Dniestru więcej jest również powołań kapłańskich. Ostatnie dane pokazują też, że w Rosji praktykuje ok. 5 mln prawosławnych, podczas gdy na Ukrainie prawie dwa razy więcej (plus 3 mln grekokatolików).

Ukraińcy w Rosji

Problemem prawosławia na Ukrainie po odzyskaniu przez ten kraj niepodległości w 1991 r. był brak kościelnej niezależności oraz wewnętrzne podziały. Inne narody posiadające większość mieszkańców wyznających prawosławie oraz własną państwowość mogły się poszczycić swoimi narodowymi, niezależnymi Kościołami, np. Grecy, Serbowie, Rumuni czy Gruzini. Taki autokefaliczny Kościół mają nawet Polacy. Natomiast nie mogą powiedzieć tego o sobie Ukraińcy, mimo że stanowią olbrzymią siłę w prawosławiu. Dlaczego? Ponieważ w 1686 r. metropolia kijowska podporządkowana została patriarchatowi w Moskwie i ten stan zależności trwa do naszych czasów.

Warto dodać, że w tamtym okresie ukraińskie duchowieństwo stało na wyższym poziomie intelektualnym niż kler rosyjski. Dlatego wkrótce zaczęło nadawać ton życiu religijnemu w imperium Romanowów. Jak pisał prawosławny teolog o. Aleksander Schmemmann: „Wiek XVIII w historii Kościoła rosyjskiego można nazwać ukraińskim. Cały system oświatowy Kościoła rosyjskiego, który trwał aż do rewolucji – seminaria, szkoły duchowne, akademie – był przeszczepiony z Ukrainy. Był czas, kiedy, z wyjątkiem dwóch, wszyscy biskupi Kościoła rosyjskiego byli Ukraińcami”.

Ten stan w dużej mierze przetrwał nawet do dziś. Większość istniejących obecnie elementów rosyjskiego życia cerkiewnego, od administracyjnych po teologiczne, zaczerpnięto bowiem właśnie z Ukrainy.

Trzy skłócone Kościoły

Wróćmy jednak do autokefalii: żeby dany Kościół narodowy uzyskał niezależność, czyli status kanoniczny, potrzebne jest uznanie go przez tzw. Pełnię Prawosławia, czyli jednomyślna zgoda wszystkich autokefalicznych Kościołów prawosławnych na świecie. Było to jednak niemożliwe, ponieważ Patriarchat Moskiewski zapo-



Wielki książę Włodzimierz wybiera religię, Ivan Eggink, 1822 r.

FOT. WIKIPEDIA

wiedział, że zawetuje każdą taką próbę ze strony Kijowa.

Dla wielu Ukraińców negowanie prawa do posiadania własnego Kościoła, niezależnego od Moskwy, stawiało pod znakiem zapytania ich narodową suwerenność. Korespondowało za to z nastawieniem dużej części rosyjskich elit, które uznawały państwo ukraińskie za zjawisko sezonowe, a jego niepodległość za odwracalną. Ukraińcy traktowali z kolei – i słusznie – Patriarchat Moskiewski, zinfiltrowany przez KGB, za narzędzie wpływów Kremla. Dlatego po ogłoszeniu niepodległości w 1991 r. dojrzała idea, by zerwać z Moskwą i uzyskać autokefalię.

Na tym tle doszło do podziałów wewnątrz ukraińskiego prawosławia. Ówczesny egzarcha kijowski, metropolita Filaret, nie podporządkował się synodowi Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i został ekskomunikowany. Większość podległych mu biskupów ukraińskich wypowiedziała mu jednak posłuszeństwo i na rozłamowym soborze w Charkowie wybrała nowego egzarchę, wiernego Moskwie, Wołodymyra (Sabodana). W tej sytuacji Filaret ogłosił powstanie nowego Kościoła: Patriarchatu Kijowskiego.

Po upadku komunizmu powróciła z emigracji do kraju jeszcze jedna wspólnota wyznaniowa, a mianowicie Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Wbrew swej nazwie nie posiadał on autokefalii, czyli nie był oficjalnie uznawany przez nikogo na świecie. Jego powstanie wiąże się z wydarzeniami po I wojnie światowej, gdy przez krótki czas istniało niepodległe państwo ukraińskie. Wówczas, w 1919 r. Dyktoriał Ukraińskiej Rady Ludowej na czele z Symonem Petlurą ogłosił powołanie do życia własnego niezależnego Kościoła prawosławnego. W okresie międzywojennym został on

jednak zdelegalizowany przez Sowietów i mógł działać jedynie za granicą wśród ukraińskiej diaspory. Powrócił nad Dniepr dopiero po upadku ZSRS. Jego zwierzchnikiem był wówczas patriarcha Mstysław Skrypnyk, były adiutant Petlury i jego bratanek oraz uczestnik wojny z bolszewikami w 1920 r.

W efekcie po upadku komunizmu w kraju istniały trzy Kościoły, które w swej oficjalnej nazwie używały tych samych słów: Ukraińska Cerkiew Prawosławna. Tylko jeden z nich jednak – ten podporządkowany Patriarchatowi Moskiewskiemu – posiadał status kanoniczny. Pozostałe dwa natomiast (ten nazywający się Patriarchatem Kijowskim i ten określający się jako autokefaliczny) nie były uznawane przez międzynarodową wspólnotę prawosławną. Między wspomnianymi Kościołami nie było żadnych różnic teologicznych. Spór miał swoje źródło w kwestiach politycznych i narodowościowych.

Wojna o trumnę

Między trzema odłamami ukraińskiego prawosławia rozpoczął się więc gorący spór. Przejawiał się on w licznych konfliktach o świątynie, w których często dochodziło do użycia siły, jak w Dniepropietrowsku, gdzie mnisi obu Kościołów okładali się sztachtetami, albo w Łucku, gdzie bojówka jednej konfesji związała i wyniosła z cerkwi odprawiającego mszę księdza, a jego miejsce zajął kapłan drugiej konfesji, który dokończył liturgię.

Najbardziej gorszącym epizodem tego konfliktu był w 1995 r. pogrzeb patriarchy kijowskiego Wołodymyra (Romaniuka), podczas którego doszło do walk wręcz i wyrwania sobie przez aktywistów obu obozów trumny zmarłego hierarchy. >>



FOT. SHUTTERSTOCK

» Stawką w tym starciu było opanowanie przestrzeni symbolicznej, która dałaby zwycięzcy silniejszą legitymację do tego, by pretendować do miana jedynego Kościoła narodowego na Ukrainie.

W tym czasie przedstawiciele wszystkich prawosławnych stronnictw starali się bowiem przejąć najsłynniejszą świątynię ukraińską, czyli Sobór Sofijski, gdzie znajdują się m.in. grobowce Jarosława Mądrego i księżnej Olgi. W czasach sowieckich cerkiew zamieniono na muzeum. Po rozpadzie ZSRS przyjęto uchwałę o zwrocie majątku kościelnego prawowitym właścicielom. Powstało jednak pytanie: który z prawosławnych Kościołów jest prawowitym właścicielem Soboru? Jakikolwiek wybór organów państwowych oznaczałby nie tylko opowiedzenie się władz po jednej ze stron religijnego konfliktu, ale niejako symboliczne namaszczenie prawowitego Kościoła narodowego. Ponieważ władze w Kijowie bały angażować się otwarcie w spory między konfesjami, postanowiono, że w świątyni nadal działać będzie muzeum.

Pogrzeb patriarchy kijowskiego Wołodymyra Romaniuka był próbą zmiany tego stanu rzeczy metodą faktów dokonanych. Trzytysięczny kondukt pogrzebowy nagle zmienił swoją trasę i zamiast na cmentarz komunalny zaczął iść w stronę Soboru Sofijskiego, by tam pochować zmarłego dostojnika. Po drodze żałobnicy zostali zaatakowani brutalnie przez milicję, w wyniku czego 70 osób zostało rannych. Podczas walk trumna przechodziła z rąk do rąk. Uczestnicy konduktu dopięli swego i przedarli się pod sobór. Tam jednak zastrzaśnięto przed nimi bramę, więc musieli pogrzebać hierarchę na placu pod płotem świątyni. Jako winowajcę całego zamieszania funkcjonariusze MSW wskazali by-

Sobór Mądrości Bożej w Kijowie (Sobór Sofijski)

łego prezydenta kraju Leonida Krawczuka, który ich zdaniem był inicjatorem zmiany trasy konduktu.

Prezydenci i patriarchowie

To zresztą charakterystyczne, że kolejni prezydenci Ukrainy popierali różne Kościoły: Krawczuk i Juszczenko opowiadali się za autokefalią, a Kuczma i Janukowycz za Patriarchatem Moskiewskim. Nową jakość pod tym względem stanowiły rządy Petra Poroszenki, który doszedł do władzy po rewolucji na Majdanie w 2014 r. Stał się on katalizatorem procesu, który swoje zwieńczenie znalazł 11 października 2018 r.

Tego dnia obradujący w dzielnicy Fanar w Stambule Święty Synod Patriarchatu Konstantynopolańskiego ogłosił, że Ukraiński Kościół Prawosławny nie podlega już dłuższej patriarchatowi Moskwy i Wszechrusi. Tym samym patriarcha Konstantynopola Bartłomiej nadał metropolii kijowskiej „tomos”, czyli uznał jej autokefalię, a więc kanoniczną niezależność od Moskwy. Poza tym zdjął anatemę z patriarchy kijowskiego Filareta, ekskomunikowanego przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną.

Patriarcha Bartłomiej znalazł sposób na obejście moskiewskiego weta. Postanowił nie wprowadzać nowego porządku, lecz powrócić do starego. Uznał mianowicie, że metropolia kijowska została podporządkowana Moskwie w roku 1686 bezprawnymi metodami, dlatego Rosyjska Cerkiew Prawosławna nie ma prawa do zwierzchnictwa nad nią.

Komentując tę decyzję, Petro Poroszenko powiedział: „To wielkie zwycięstwo bogobojnego narodu ukraińskiego nad moskiewskimi demonami, zwycięstwo dobra nad złem, światła nad ciemnością. [...] To upadek Trzeciego Rzymu jako starej konceptualnej aplikacji Moskwy na światowe panowanie. [...] »Tomos« to faktycznie jeszcze jeden akt proklamowania niepodległości Ukrainy. Imperium traci jedno z ostatnich narzędzi wpływania na swą byłą kolonię”.

Zimna wojna religijna

W ten sposób decyzja Bartłomieja otworzyła drogę do powstania zjednoczonego Kościoła ukraińskiego, do którego weszli przedstawiciele wszystkich trzech odłamów prawosławia: dwóch w całości, a jednej (wiernej Patriarchatowi Moskiewskiemu) w niewielkiej części.

Decyzja Konstantynopola odebrana została w Moskwie jako akt wypowiedzenia „zimnej wojny religijnej”. Na specjalnym posiedzeniu zebrała się Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej pod przewodnictwem Władimira Putina, by omówić problem. Rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow oświadczył, że Rosja zastrzega sobie prawo do „obrony interesów prawosławnych” na Ukrainie, tak jak obecnie „broni interesów osób rosyjskojęzycznych”. Warto dodać, że identyczną argumentacją posługiwali się w XVIII w. rosyjscy carowie, ingerując w politykę wewnętrzną Rzeczypospolitej.

Wkrótce potem patriarchat Moskwy zerwał wszelkie kontakty, a nawet jedność eucharystyczną, z Konstantynopolem oraz ze wszystkimi, którzy uznają autokefalię Kijowa. Na krok taki odważył się jeszcze Kościół w Grecji i na Cyprze oraz patriarchat Aleksandrii.

Rok 2022 dopisuje jeszcze jeden rozdział do tej historii. Napaść Rosji na Ukrainę uzasadniona została przez Putina także argumentami religijnymi. Dokładnie tak jak zapowiedział to Pieskow. Atak dokonuje się z błogosławieństwem patriarchy Cyryla, który ma nadzieję za pomocą bomb, rakiet i pocisków znów podporządkować sobie ukraińskie prawosławie. Jest ono jednak dla agresorów bezpowrotnie utracone. Całe diecezje i parafie odchodzą bowiem masowo od Patriarchatu Moskiewskiego, mającego na rękach krew bezbronnych ofiar, w tym starców, kobiet i dzieci.



GRZEGORZ
GÓRNY

W 1340 r. zmarł, nie pozostawiając po sobie potomków, książę halicko-włodzimierski Jerzy II Trojdenowicz. Zgodnie z zawartą wcześniej umową tron odziedziczył po nim król Polski Kazimierz Wielki. W ten sposób do Korony przyłączone zostały ziemie Rusi Czerwonej, z takimi miastami jak Lwów i Halicz. Wraz z tym na terenie państwa Piastów znalazła się duża liczba wyznawców prawosławia. Władza w Krakowie gwarantowała im wolność religijną. Nie odnotowano żadnych przypadków prześladowań na tym tle ani zmuszania do przejścia na katolicyzm.

Kazimierz Wielki utrzymywał dobre relacje z Patriarchatem Konstantynopola, do którego zwrócił się w 1370 r. z propozycją reaktywowania Metropolii Prawosławnej na Rusi Halickiej. Patriarcha Filotej nie tylko się zgodził, lecz nawet uznał władców Polski za protektorów Kościoła prawosławnego na tych terenach. Po unii z Litwą polscy monarchowie stali się opiekunami Metropolii Kijowskiej. Oni też mianowali biskupów prawosławnych, których zatwierdzał później patriarcha Konstantynopola.

Klimat tolerancji religijnej panujący w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim sprzyjał zbliżeniu obu Kościołów oraz snuciu planów o ponownym zjednoczeniu katolicyzmu i prawosławia. Sekundowali temu zarówno król Władysław Jagiełło, jak i jego brat, wielki książę Witold, widząc w unii Kościoła wschodniego z zachodnim także sposobność osłabienia wpływów Moskwy na ziemiach litewskich.

Przychylni zawarciu unii z Rzymem byli również metropolici kijowscy: Cyprjan i jego następca (a zarazem bratanek) Grzegorz Camblak. Ten ostatni w 1418 r. przybył nawet na sobór w Konstancji, gdzie osobiście poprosił Marcina V o objęcie unią z Rzymem „dwóch wielkich słowiańskich narodów Rusi i Wołoszczyzny”. Papież nie wykazał jednak większego zainteresowania tym projektem, ponieważ myślał o pojednaniu z prawosławiem na znacznie wyższym poziomie – przez bezpośrednie

Niespełniona unia

porozumienie z Patriarchatem Konstantynopola. Był to bowiem czas, gdy Cesarstwo Bizantyjskie kurczyło się coraz bardziej pod naporem Turków i istniała realna groźba zdobycia stolicy Kościoła wschodniego przez islam. Zagrożony Konstantynopol upatrywał możliwości ratunku na Zachodzie, dlatego skłonny był powrócić do jedności z Rzymem. Stało się to w 1439 r., gdy za pontyfikatu Eugeniusza IV podczas soboru we Florencji zawarta została unia między obu Kościołami. Prawosławni zobowiązali się uznać zwierzchnictwo papieża, zachowując zarazem swój obrządek.

Głównym propagatorem unii florenckiej w Wielkim Księstwie Litewskim został metropolita kijowski Izydor, Grek z pochodzenia, obdarzony przez papieża godnością kardynalską. Gdy w 1441 r. przybył do Moskwy, został aresztowany i skazany na śmierć na stosie, jednak udało mu się zbiec z więzienia. Powodem wydania wyroku było uznanie go za heretyka, ponieważ uznał zwierzchność papieża. Władcy moskiewscy przeciwni byli bowiem jakimkolwiek porozumieniom ze „schizmatycznym Rzymem”.

Największy cios dla unii florenckiej stanowiło jednak zdobycie Konstantynopola przez Turków w 1453 r. Pięć lat później doszło do powstania odrębnej Metropolii Moskiewskiej, która oddzieliła się od Kijowskiej. Od tamtej pory Moskwa będzie stopniowo dążyć do tego, by stać się centrum światowego prawosławia. Wierni Kościoła wschodniego żyjący pod berłem królów Polski nadal uznawali jednak w większości zwierzchnictwo papieża. W 1471 r. list do Sykstusa IV, zapewniający go o swojej wierności, wystali biskupi i szlachta ruska.

Pod koniec XV w. unia jednak obumarła. Wśród całych rzesz prawosławnych na świecie rozpowszechniło się bowiem przekonanie, że upadek Konstantynopola był karą Bożą za zawarcie 14 lat wcześniej unii florenckiej i uznanie papieża. To właśnie wtedy mnich Filoteusz z Pskowa stworzył koncepcję Moskwy jako „trzeciego Rzymu”, czyli ostatniej prawdziwej ostoji chrześcijaństwa na świecie. Wielki projekt ekumeniczny upadł. Zastąpiła go idea, która na kilka wieków stanie się podstawą ideologii państwa rosyjskiego.

FOT. WIKIPEDIA



Izidor
(metropolita
kijowski)

Z wicepremierem
JACKIEM SASINEM,
ministrem aktywów
państwowych, bliskim
współpracownikiem
prezydenta RP
Lecha Kaczyńskiego,
o polityce historycznej
i fenomenie „Solidarności”
w 12. rocznicę katastrofy
w Smoleńsku rozmawiał
Bartosz Życiński

Panie premierze, 10 kwietnia obchodziliśmy 12. rocznicę tragicznej śmierci prezydenta w Smoleńsku, widzimy jednak wyraźnie, że z upływem czasu pamięć o osobie, dokonaniach i polityce Lecha Kaczyńskiego nie tylko nie rozmyła się w rzeczywistości społecznej, ale urosła do rangi symbolu myśli państwowej i dziedzictwa, które przejął rząd Zjednoczonej Prawicy. Jakie czynniki na to wpłynęły?

Jacek Sasin: Miałem zaszczyt należeć do grona współpracowników śp. Lecha Kaczyńskiego, w latach 2009–2010 byłem zastępcą szefa Kancelarii Prezydenta RP. Chcę powiedzieć, że Lech Kaczyński był dla nas olbrzymim autorytetem i przykładem człowieka, którego już wtedy postrzegaliśmy jako jedną z najwybitniejszych i najbardziej znaczących postaci nowoczesnej historii Polski. Tę relację można porównać do relacji mistrza i jego uczniów. Praca u boku prezydenta Lecha Kaczyńskiego to była wielka szkoła kultury politycznej. Największy podziw i szacunek wzbudzała jego wyjątkowa umiejętność stawiania diagnoz, analizowania sytuacji społecznej, politycznej i gospodarczej. Dla wszystkich, którzy kiedykolwiek zetknęli się z Lechem Kaczyńskim, było jasne, że każda jego decyzja miała u podstaw dobro Polski, a sprawy ojczyzny stawiał na pierwszym miejscu. Prezydent powtarzał, że rolą polityków jest służba społeczeństwu. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto byłby tak mocno przywiązany do idei pań-

POLITYKA HISTORYCZNA

JAKO NARZĘDZIE REALIZACJI POLSKIEJ RACJI STANU

stwa jako wspólnoty. Uważał, że jest ono wielką wartością i ciąży na nas wszystkich obowiązek poprawy oraz usprawnienia państwa polskiego. Dlatego jego hasło wyborcze podczas kampanii prezydenckiej w 2005 r. brzmiało „Polska solidarna”. Prezydent głęboko wierzył w ideę solidarności w budowaniu nowoczesnego i sprawnego kraju, który dba o interesy swoich obywateli. W wymiarze międzynarodowym stawiał na bezpieczeństwo Polski, przede wszystkim bezpieczeństwo energetyczne. W wymiarze wewnętrznym opierał się na historii i tradycji, czyli tych wartościach, które są spoiwem wspólnoty narodowej. Realizowanie wizji śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego to wyzwanie niezwykle ambitne. To fundament, na którym opiera swoją politykę rząd Prawa i Sprawiedliwości od 2015 r.

Zatrzymajmy się na polityce historycznej. Jak Prezydent Lech Kaczyński pojmował rolę historii w prowadzeniu bieżącej polityki i jak pan jako historyk odbierał wtedy te działania?

Nie będzie przesadą twierdzenie, że polityka historyczna była jednym z fundamentów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Był przekonany, że ważne wydarzenia z historii narodu odgrywają istotną rolę w kształtowaniu stanu jego świadomości. W swoich przemówieniach publicznych często powtarzał, że historia jest elementem tożsamości narodów Europy, i to – jak się okazuje – wcale nie zanikającym, wbrew temu, co twierdzą ci, którzy głoszą koniec historii. Każdy naród musi dbać o poczucie narodowej tożsamości, a Polska nie może być tu wyjątkiem. Kierował się swoistą filozofią polityczną, która zakładała, że państwo – poprzez swoje instytucje publiczne i aparat administracyjny – powinno być aktywne w sprawach najważniejszych dla narodu oraz odgrywać decydującą rolę w kształtowaniu poczucia wspólnoty. Bez wątpienia filarami polityki historycznej Lecha Kaczyńskiego były przede wszystkim czczenie pamięci tych, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w najnowszych dziejach Polski, a którzy przez reżim komunistyczny i późniejsze elity III RP zostali skazani na niepamięć lub często niesławę. Lech Kaczyński powtarzał, że w polityce upamiętniania zasłużonych dla naszej ojczyzny chodzi przede wszystkim o przypominanie współczesnej historii Polski. To z kolei – jak mawiał – historia trzech konspiracji, tej z okresu II wojny

światowej, z czasów powojennych oraz z okresu od powstania KOR aż po „Solidarność”. Był przekonany, że korzeni III Rzeczypospolitej szukać trzeba właśnie w tych trzech zjawiskach, a doświadczenia pokoleń, które w nich uczestniczyły, były istotnym składnikiem tworzenia rzeczywistości politycznej i społecznej odradzającej się po 1989 r. ojczyzny. Parafrazując słynnego polskiego historyka, który mawiał, że historia zakończyła się na rewolucji francuskiej, wszystko, co nastąpiło od tamtego czasu, to bieżąca polityka, Lech Kaczyński wychodził z przekonania, że współczesne zjawiska zachodzące w polityce polskiej i światowej są echem i konsekwencją wydarzeń z bliższej i dalszej przeszłości. Zatem tylko naród świadomy swoich dziejów, budujący swą przyszłość na fundamentach pamięci jest w stanie zbudować silne i niezależne państwo. Z kolei spoczywająca na politykach odpowiedzialność prowadzenia polityki państwowej musi uwzględniać bagaż doświadczeń narodu. Działalność śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego na tym polu była konsekwentną realizacją koncepcji prezydentury aktywnej, korzystającej w pełni z przysługujących prezydentowi konstytucyjnych uprawnień, którą zapowiadał jeszcze w trakcie kampanii wyborczej.

Jak dalece polityka historyczna, którą Lech Kaczyński rozpoczął jako prezydent Warszawy, a którą konsekwentnie realizował jako prezydent Polski, miała swoje źródło w jego pochodzeniu, wychowaniu i późniejszej działalności antykomunistycznej?

Zdecydowanie decydujący wpływ na kształtowanie postawy życiowej Lecha Kaczyńskiego, tak samo jak jego brata, miała atmosfera domu, w którym się wychowywali. Był to dom, w którym słowa „patriotyzm” i „polskość” miały szczególną wagę. Pierwszymi wzorcami byli oczywiście rodzice, mama Jadwiga, w czasie wojny harcerka Szarych Szeeregów, oraz ojciec Rajmund Kaczyński, podporucznik AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Etos bohaterskiego zrywu warszawiaków, który był podtrzymywany w domu rodzinnym Kaczyńskich, ukształtował w Prezydencie przekonanie, że powstańcze miesiące 1944 r. są nie tylko najważniejszą kartą z historii miasta, ale przede wszystkim czynnikiem niezwykle solidaryzującym mieszkańców stolicy. Widzimy to co roku, kiedy 1 sierp-

nia o 17.00 wyją syreny i na ulicach zatrzymują się wszyscy bez względu na różnice poglądowe. Z tego przekonania zrodziła się wola budowy pomnika pamięci o tych wszystkich, którzy ruszyli do nierównego boju z niemieckim okupantem. Muzeum Powstania Warszawskiego, opus magnum Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta Warszawy, było hołdem dla jego rodziców i ich pokolenia. Lech Kaczyński wiedział, że był to ostatni moment, by uchwycić żywą historię i oprzeć narrację na doświadczeniach oraz wspomnieniach powstańców.

Wracając do tego, co wpłynęło na późniejszą politykę Lecha Kaczyńskiego, to pamiętam, jak pani Jadwiga Kaczyńska podczas różnych uroczystości powtarzała, że starała się wychować swoich synów na ludzi szlachetnych, godnych ich wielkich przodków. To pokazuje, że ten etos bohaterskich, chociaż tragicznych i bolesnych, losów najlepszych synów naszej ojczyzny był przekazywany na płaszczyźnie wychowania domowego, które zresztą w czasach komunistycznego reżimu było enklawą wolności i prawdy. Większość lektur czytanych synom przez Jadwigę Kaczyńską w mniejszym lub większym stopniu odnosiła się do historii. Prezydent wspominał, że lektura Trylogii Sienkiewicza otworzyła przed nim zainteresowanie historią, a wraz z nią przyszło zainteresowanie polityką. Oczywiście najważniejszym doświadczeniem, które ukształtowało Lecha Kaczyńskiego w wymiarze politycznym, była działalność w Komitecie Obrony Robotników, w Wolnych Związkach Zawodowych, aż wreszcie w „Solidarności”. Lech Kaczyński uważał ten wielki ruch robotniczy, który miał zachwiać całym blokiem komunistycznym, za najważniejsze doświadczenie w najnowszych dziejach narodu polskiego. Oceniając działalność związku, określał go mianem „trzeciej konspiracji”, nawiązując do tradycji konspiracji z okresu II wojny światowej i lat powojennych. Działalność w NSZZ „Solidarność” od podszewki (zwłaszcza pod koniec lat 80., kiedy faktycznie kierował związkiem), pozwoliła Lechowi Kaczyńskiemu już w czasie prezydentury na budowanie polityki historycznej opartej w dużym stopniu na etosie „Solidarności” i pamięci o ludziach, którzy ją tworzyli. Wiedział, że fenomen „Solidarności” stanowi wielką moralną siłę naszego narodu, ponieważ to wtedy społeczeństwo, którego fundamentalne prawa >>

>> były deptane po 1939 i 1945 r., prawie w całości zdołało się zorganizować przeciwko totalitarnej władzy. Chciał budować Polskę na tym etosie tak, aby stał się on elementem tożsamości wielu różnych środowisk, nie tylko tych lansowanych na salonach III RP. To właśnie Lech Kaczyński jako pierwszy prezydent dostrzegł i uhonorował wielu cichych bohaterów opozycji antykomunistycznej z czasów PRL, którzy po 1989 r. zostali odsunięci na margines życia politycznego i społecznego. Wystarczy przypomnieć, że w maju 2006 r. odznaczył Orderem Orła Białego Andrzeja Gwiazdę i Annę Walentynowicz.

Polityka historyczna Lecha Kaczyńskiego to też przywracanie pamięci o uczestnikach podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej, szczególnie znienawidzonych przez reżim komunistyczny w PRL.

Z perspektywy lat możemy śmiało powiedzieć, że Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych stał się jednym z najważniejszych w kalendarzu świąt państwowych. Prezydent, uzasadniając wniosek o jego ustanowienie, pisał, że nowe święto będzie wyrazem hołdu dla drugiej konspiracji za świadectwo męstwa, niezłomnej postawy patriotycznej i przywiązania do tradycji patriotycznych, za krew przelaną w obronie ojczyzny. Choć nie było mu dane dożyć pierwszych obchodów tego święta, które odbyły się po raz pierwszy w 2011 r., od początku swojego urzędowania podjął na szeroką skalę działania mające na celu przywrócenie miejsca w polskiej historii Żołnierzom Wyklętym, którzy przez komunistyczny reżim zostali skazani na swoiste damnatio memoriae. Orderem Orła Białego zostali wówczas odznaczeni prezesi Zrzeszenia WiN: Franciszek Niepokólczycki i Łukasz Ciepliński; odznaczenia otrzymali również najważniejsi uczestnicy zbrojnego podziemia antykomunistycznego, tacy jak płk Hieronim Dekutowski „Zapora”, por. Jan Rodowicz „Anoda” czy płk Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”. Przywrócono pamięć i dobre imię tym, którzy ponieśli niewyobrażalną daninę krwi w czasie okupacji i do końca chcieli walczyć o Polskę prawdziwie suwerenną i wolną, a których władza komunistyczna przedstawiała jako karłów reakcji i zwykłych bandytów. Doskonale widzimy, że perfidia ówczesnego reżimu zbiera żniwo także w naszych czasach, kiedy – pomimo



Jacek Sasin
powołany
na wiceszefa
Kancelarii
Prezydenta RP,
26 listopada
2009 r.

FOT. KPRP

wysiłków wielu badaczy odkłamujących historię – w opinii publicznej na temat Żołnierzy Niezłomnych funkcjonują kłamstwa wyprodukowane jeszcze przez komunistyczną propagandę. Mimo to decyzjami i wysiłkiem prezydenta pamięć o tych bohaterach, która po 1989 r. istniała jedynie w świadomości indywidualnej, weszła do panteonu pamięci zbiorowej i do przestrzeni publicznej.

Lech Kaczyński realizował spójną i przemyślaną strategię polityki historycznej nie tylko na polu krajowym, ale także międzynarodowym. Symbolem tego stał się tragiczny lot z 10 kwietnia 2010 r. na obchody rocznicy zbrodni katyńskiej, aby oddać hołd pomordowanym przez NKWD polskim oficerom. Czym dla Lecha Kaczyńskiego była rola pamięci historycznej w kontekście stosunków międzynarodowych?

Prezydent Lech Kaczyński z uwagi na swoje wieloletnie doświadczenie był wytrawnym znawcą krajowego i międzynarodowego życia politycznego. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszelkie działania mające eksponować pamięć o dokonaniach przodków były powszechnie stosowane od starożytności. Upamiętniano nie tylko wielkie zwycięstwa, ale i klęski, które, choć przegrane z punktu widzenia militarnego, były w przekonaniu potomnych zwycięstwem odwagi i bohaterskiego poświęcenia dla ojczyzny. Obecnie to, co nazywa się polityką historyczną, jest traktowane jako element miękkiej siły, która ma znaczące możliwości w kształtowaniu relacji między pań-

stwami. Lech Kaczyński wiedział, że prowadzenie polityki historycznej na gruncie międzynarodowym staje się elementem polskiej racji stanu. Działania Prezydenta na tym polu przebiegały dwutorowo. Po pierwsze, celem Lecha Kaczyńskiego było budowanie sojuszu państw Europy Środkowo-Wschodniej, którego Polska byłaby naturalnym liderem. Służyło temu odbudowywanie dobrych relacji z naszymi sąsiadami na Wschodzie, zwłaszcza z Ukrainą, gdzie we wzajemnych stosunkach naszych państw było wiele niezabliźnionych ran. Prezydent często odwoływał się do zdania Jerzego Giedroycia, mówiąc, że będziemy szanowani na Zachodzie, jeżeli będziemy mieli przyjaciół na Wschodzie. Drugim najważniejszym aspektem tej polityki historycznej było upominanie się o prawdę historyczną na forum międzynarodowym, zwłaszcza przy okazji rocznic związanych z II wojną światową. Prezydent zdawał sobie sprawę, że pamięć o tamtych wydarzeniach w wymiarze międzynarodowym musi służyć obronie interesów Polski i budowie stosunków z naszymi sąsiadami. Podkreślał, że polityka historyczna nie jest równoznaczna z narzucaniem takich samych poglądów, jednak musi być oparta na prawdzie. Symbolem tego było słynne przemówienie na Westerplatte, podczas uroczystości siedemdziesiątej rocznicy wybuchu II wojny światowej. Lech Kaczyński wyraźnie podkreślił wtedy, że bolesna i niewygodna przeszłość, jeżeli nie stanie się ofiarą przekłamywań, może stać się czynnikiem kształtującym dobre relacje państw i narodów. ■

„ZAMEK NA MIROWIE” – SIEDZIBA PIERWSZEJ ORDYNACJI RODU MYSZKOWSKICH



MARTA
KONOPKA



PAŁAC MYSZKOWSKICH STANOWI
JEDEN Z NAJCENNIJSZYCH ZABYTKÓW
ZNAJDUJĄCYCH SIĘ W MAŁOPOLSKIEJ
MIEJSCOWOŚCI KSIĄŻ WIELKI

Usytuowany na okazałym wzgórzu budynek otoczony jest stawami i piękną roślinnością rozciągającego się wokół ogrodu, tworząc malowniczy i nieprzeciętny widok. Obiekt ten często nazywany jest przez miejscową ludność zamkiem, mimo że nie posiada typowych cech obronnych. Myszkowscy zaś określali go mianem „zamku na Mirowie”, chcąc w ten sposób utrwalić pamięć swojej poprzedniej siedziby rodowej, jaką był zamek Mirów w powiecie będzińskim. Fundatorem budowy pałacu był bp Piotr Myszkowski herbu Jastrzębiec, ówczesny dziedzic Książa Wielkiego, który kupił miasto w 1582 r. Jako bardzo zamożny i wpływowy człowiek, chcąc podnieść znaczenie swojego rodu, wznosił okazałe obiekty architektoniczne, w tym nową rezydencję zaprojektowaną przez włoskiego artystę Santiogo Guccio. W jego intencji było wybudowanie wygodnej i reprezentacyjnej siedziby stosownej dla tak wielkiego dygnitarza. Budowę zamku na Mirowie rozpoczęto w 1585 r., jednak z powodu śmierci biskupa w roku 1591 dalsze prace nad dziełem kontynuował jego bratanek i imiennik Piotr Myszkowski – wojewoda rawski, który odziedziczył po wuju Książ Wielki wraz z pozostałym ogromnym majątkiem. Sfinalizował wznoszenie pałacu, które trwało do 1595 lub – jak sądzą niektórzy badacze – do 1600 r.

Utworzenie ordynacji rodowej

Piotr Myszkowski wraz z bratem Zygmuntem ze wszystkich dóbr, jakie odziedziczyli po wuju, chcieli utworzyć ordynację. Po długich staraniach otrzymali akceptację sejmu w 1601 r., a wprowadzenie majątku ziemskiego jako ordynacji rodowej miało być fundamentem świetności ich rodziny. Piotr wniósł do niej liczne wsie wraz z Książem Wielkim i nowo wybudowanym pałacem. Niestety sam nie doczekał finalizacji całego procesu, gdyż zmarł w 1601 r., a ostateczne wprowadzenie ordynacji nastąpiło w roku 1603. Z małżeństwa z Jadwigą Opalińską nie pozostawił po sobie żadnego potomstwa, dlatego pierwszym ordynatem został jego brat Zygmunt Myszkowski – kasztelan oświęcimski i marszałek wielki koronny. Uzyskał on wraz z Piotrem tytuł margrabiego, jakiego w Polsce dotychczas nikt nie posiadał. Stało się to jeszcze w roku 1597, kiedy bracia Myszkowscy w czasie

podróży po Włoszech zostali przyjęci do rodziny Gonzagów przez księcia Mantui Wincentego. Otrzymali oni od władcy włoski herb rodowy, a papież Klemens VIII nadał im nowy tytuł arystokratyczny. W kolejnych latach ordynacja Myszkowskich wraz z pałacem w Książu Wielkim przechodziła w ręce dalszych spadkobierców. Ostatnim, siódmym ordynatem pochodzącym z rodu Myszkowskich był Józef Władysław Myszkowski – kasztelan sandomierski, który zmarł bezpotomnie 12 maja 1727 r. W związku z wygaśnięciem męskich dziedziców tegoż rodu wedle statutu majątek rodzinny miał przejść na najbliższych krewnych po kądzieli. O dobra ordynackie zrodził się jednak spór sądowy pomiędzy rodziną Jordanów i Wielopolskich. Ostatecznie Trybunał Lubelski w 1729 r. przyznał ordynację Wielopolskim wraz z herbem, nazwiskiem i zagranicznym tytułem margrabiego.

Założenie pałacowe w stylu włoskiego manieryzmu

Pałac w Książu Wielkim, będący częścią ordynacji Myszkowskich, a następnie Wielopolskich, przez kilka stuleci pełnił funkcję jednej z głównych siedzib majątku rodowego. Wraz ze swoim wielkim założeniem przestrzennym, dzięki oryginalności rozwiązania i znaczącej roli w rozwoju polskiej architektury XVI w., stanowi jedno z najwybitniejszych dzieł późnego odrodzenia. Jest to najważniejsza na Kielecczyźnie praca architektoniczna przybyłego z Florencji artysty Santiogo Guccio. Rezydencja ta ukształtowana w stylu włoskiego manieryzmu, wzniesiona całkowicie od podstaw, nie była uzależniona od żadnej wcześniejszej zabudowy.

Trzykondygnacyjny obiekt zbudowany z kamienia pińczowskiego, będący głównym akcentem całego założenia, został wzniesiony na planie wydłużonego prostokąta o układzie osiowym. Posiada silnie wysunięte obustronnie ryzality środkowe oraz dwa węższe ryzality przy ścianach bocznych. Na placu przed głównym korpusem pałacu usytuowano zaś dwa bliźniacze pawilony z portykiem kolumnowym, pełniące niegdyś funkcje kaplicy i biblioteki. Zewnętrzne ściany parteru i pierwszego piętra pałacu pokryte są rustyką z prostokątnych kamieni ze ściętymi bokami. Odbiega od nich drugie piętro budynku, które ma gładkie płaszczyzny muru. Pałac nie posiada wielu dekoracji rzeźbiarskich, ograniczają się one jedy-

nie do kamiennego obramienia otworów okiennych i drzwiowych. Najbardziej zdobne są okna drugiej kondygnacji, gdzie w partii fryzu znajdują się delikatne kartusze z herbem Myszkowskich – Jastrzębiec wraz z wijącymi się wstęgami. Szczyty ryzalitów bocznych pałacu obecnie mają wygląd późnobarokowy, analogiczny był także szczyt ryzalitu centralnego po przebudowie w XVIII w. Jednak w okresie renesansu były one bardzo podobne do zwieńczenia pawilonów bocznych. Powtarzały taki sam schemat kompozycyjny o lekkich liniach spływów. Świadczy to o przekonaniu, że w XVI w. wygląd wszystkich zwieńczeń trzech budynków był ze sobą spójny, co tworzyło jednolity układ stylowy całego założenia. Za sprawą kolejnych właścicieli majątku liczne przebudowy w XVII i XVIII w. spowodowały zaniknięcie podobieństw pomiędzy obiektami, a największą zmianę w zewnętrznym ukształtowaniu pałacu przyniosła XIX-wieczna przeróbka ryzalitu środkowego. Dokonał jej dziesiąty ordynat margrabstwa Franciszek Wielopolski, który zlecił usunięcie renesansowych szczytów pałacu, a centralny ryzalit podwyższył o trzecie piętro z blankami i wieżyczkami na narożach. Nowa myśl kompozycyjna realizowana w duchu neogotyku znacząco zmieniła pierwotną, XVI-wieczną formę budynku.

Gmach pałacu reprezentuje prekursorzski pod względem kompozycji włoski typ „palazzo in fortezza”. Wolnostojący, rygorystycznie osiowy obiekt nie posiada jednak funkcji obronnej. Pozornie przejawia się ona jedynie w murach z niewielkimi bastionami na narożach. Plan budynku z symetrycznym, dwutraktowym układem wewnątrz uderza zaś geometryczną czystością podziałów. Zaskakujące jest także zestawienie zwartej bryły pałacu z bocznymi pawilonami. Między formami ukształtowania głównego gmachu i niewielkich pawilonów zachodzą typowo manierystyczne sprzeczności. Wielkiej i potężnej masie pałacowej przeciwstawiają się drobne, kruche i niepozorne budynki. Kubiczna i monumentalna bryła centralnego obiektu kontrastuje z malowniczym zgrupowaniem ażurowych portyków arkadowych, ciężka, toporna rustyka elewacji koliduje zaś z lekkością i elegancją poszczególnych detali architektonicznych. Jedyнным elementem, który wyraźnie utrzymywał więzi kompozycyjne pomiędzy trzema budynkami, były renesansowe szczyty, które wień-

czyły niegdyś wszystkie ryzality pałacu i fronty pawilonów. Reprezentacyjny obiekt w Książu Wielkim, jako jeden z elementów wielkiego założenia osiowego, zapoczątkował nowożytną fazę rozwoju polskiej siedziby możnowładczej. Forma pałacu pozbawionego cech obronności, budowanego na zwartym, symetrycznym planie, będzie obowiązywała w następnej epoce baroku.

Od rezydencji magnackiej do placówki edukacyjnej

„Zamek na Mirowie, prezentując ciekawą historię rodu Myszkowskich i Wielopolskich, przez stulecia przechodził w ręce różnych właścicieli majątku. Oprócz kilkukrotnych przebudów pałac ma za sobą także długie okresy zniszczeń i zaniedbań. W czasie insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r. obiekt uległ poważnym uszkodzeniom i został ograbiony przez wojska nieprzyjaciela z mebli i dekoracji wewnętrznych. Do nieudanych należy także okres zarządzania dobrami przez Józefa Jana Nepomucena Wielopolskiego. Kolejny ordynat trwonił majątek ze względu na niegospodarny i hulawczy tryb życia. Odziedziczone nieruchomości popadały w ruinę, a razem z nimi zniszczono i zaniedbano pałac. Dopiero przejęcie ordynacji przez Aleksandra Wielopolskiego przywróciło nadzieję na odbudowę pełnej splendoru rezydencji. Nowy właściciel przeprowadził gruntowny remont

obiektu. W 1841 r. margrabia miał jeszcze inny plan na rozbudowanie pałacu, który szczęśliwie nie doszedł do skutku, gdyż wtedy całkowicie zniknęłyby pierwotne cechy renesansowe. Ostatecznie w 1846 r. postanowił przenieść główną siedzibę rodową do Chrobrza, a decyzja ta przerwała dalsze prace rozbudowy pałacu. W kolejnych latach budynek w Książu Wielkim przeznaczono na letnią rezydencję Wielopolskich, w której prowadzono tylko niezbędne prace remontowe, zabezpieczając pałac przed zniszczeniem. Korzystano jedynie z parteru i części pomieszczeń na pierwszym piętrze podczas okolicznościowych przyjęć rodzinnych.

Pałac szczęśliwie przetrwał działania zbrojne II wojny światowej, głównie z powodu stacjonujących w nim oddziałów niemieckich. Jednak po tzw. wyzwoleniu w 1945 r. budynek został rozkradziony i zdewastowany przez okoliczną ludność. Grabieżcy nie oszczędzili nawet belek stropowych ani fragmentów dachu. W tamtym czasie wydawało się, że zniszczony, renesansowy zabytek, pamiętający czasy potężnej ordynacji Myszkowskich i Wielopolskich, skazany jest na zagładę i zapomnienie. Wizję tę udało się zmienić, kiedy w czerwcu 1949 r. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych oddało budynek w użytkowanie miejscowemu liceum ogólnokształcącemu. Jeszcze w lipcu 1946 r. z inicjatywy historyka i mieszkańca Książu Wielkiego – Eugeniusza Madejskiego, zawiązał się Komitet Odbudowy Zabytko-

wego Zamku w Książu Wielkim. Głównym zadaniem komitetu były starania o remont i konserwację cennego zabytku, a także przystosowanie gmachu dla potrzeb szkoły. Wszystkie plany udało się zrealizować dopiero po trzech latach usilnych starań miejscowej społeczności. Na początku lipca 1949 r. rozpoczął się remont parteru pałacu, a szybkie odnowienie pomieszczeń było możliwe dzięki młodzieży licealnej, która w czasie wakacji nie szczędziła sił ani rąk do pracy. Dzięki temu 1 września 1949 r. wielkoksiążska szkoła średnia zaczynała nowy rok szkolny już we własnym gmachu. Od tego czasu aż do lat 70. XX w. nakładem znacznych środków finansowych ze strony państwa prowadzono systematycznie prace konserwatorskie dla potrzeb liceum i szkolnego internatu. W ten sposób doprowadzono do użytku prawie cały budynek.

Obecnie na wszystkich kondygnacjach naziemnych znajdują się pracownie i sale lekcyjne oraz sala gimnastyczna i internat. W piwnicach pałacu usytuowano zaś kuchnię, stołówkę, szatnię i inne pomieszczenia gospodarcze. Gmach główny oraz dwa boczne pawilony ze względu na swój zabytkowy charakter potrzebują stałych prac konserwatorskich. W latach 90. XX w. odnowiono kaplicę pałacową, z której usunięto ołtarz, a w jej wnętrzu stworzono izbę pamięci. Natomiast drugi pawilon, mieszczący dawniej bibliotekę, nie został wyremontowany i nadal wymaga pilnego odrestaurowania.

FOT. ARCHIWUM AUTORŃ



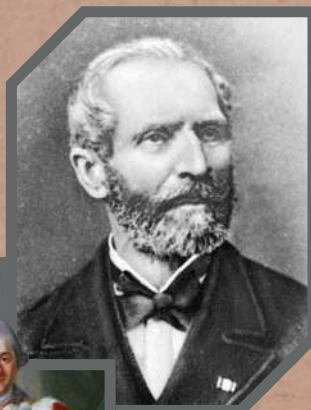
Maj



MICHAŁ
KOMUDA

4 V 1887

Na emigracji we Florencji zmarł weteran powstania listopadowego, kawaler orderu Virtuti Militari, Konstanty Julian Ordon. Wbrew wersji uwiecznionej przez Adama Mickiewicza w słynnym wierszu „Reduta Ordona” nie poległ w obronie Warszawy i przeżył opisane przez wieszczka wydarzenia o blisko 56 lat.



6 V 1787

Na Dnieprze na wysokości Kaniowa doszło do długo oczekiwanego i jedynego w trakcie zasiadania na tronie Rzeczypospolitej spotkania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego z jego dawną kochanką, carycą Katarzyną II. Pomimo kosztownych przygotowań poczynionych przez polskiego monarchę pertraktacje z imperatorką nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, a ona sama, umniejszając rangę tego wydarzenia, nie skorzystała z zaproszenia do zejścia na ląd i wzięcia udziału w zbliżających się uroczystościach z okazji królewskich imienin.



7 V 1817

W Warszawie przyszedł na świat prekursor przemysłu na terenach zaboru rosyjskiego i konstruktor maszyn rolniczych Stanisław Lilpop.

8 V 1957

Dopiero po ponad czterech latach od nominacji prymas Stefan Wyszyński przybył do Rzymu, by odebrać z rąk Ojca Świętego kapelusz kardynalski. Wcześniejszy wyjazd został uniemożliwiony przez komunistyczne władze PRL, które najpierw odmówiły wydania paszportu nowo mianowanemu kardynałowi, a następnie go uwięziły.



9 V 1842

W Paryżu zmarł jeden z autorytetów moralnych Wielkiej Emigracji, kawaler orderu Virtuti Militari oraz francuskiej Legii Honorowej, gen. Karol Otto Kniaziewicz. W trakcie swojej służby walczył podczas wojny polsko-rosyjskiej 1792 r., insurekcji kościuszkowskiej, a także u boku Napoleona.



10 V 1922

Sto lat temu w Pucku rozpoczęła swoją historię Stocznia Marynarki Wojennej. W pierwszym okresie funkcjonowała jako Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej i pod taką nazwą została przeniesiona w 1927 r. do obecnej siedziby w Gdyni.

31 V 1592

W Krakowie odbyły się zaślubiny króla Zygmunta III Wazy z córką arcyksięcia Karola Styryjskiego, Anną Habsburżanką. Owocem związku pary królewskiej był następca tronu Rzeczypospolitej, Władysław IV.



► 14 V 1867

Na zamku w Krasicy urodził się kardynał, arcybiskup metropolita krakowski, Adam Stefan Sapieha, nazwany „Księciem niezłomnym”. O roli, jaką odegrał w ojczyistych dziejach, wymownie świadczą słowa jego wielkiego następcy, Jana Pawła II: „Bóg Ci zapłać, Księżę Kardynale, za to, czym byłeś dla nas, dla mnie, dla wszystkich Polaków strasznego okresu okupacji”.

Wywodzący się z książęcego rodu przyszły arcybiskup przyjął święcenia kapłańskie w wieku 26 lat we Lwowie. W 1906 r. powołano go do Watykanu, gdzie objął funkcję szambelana papieża Piusa X. Znajdując się tak blisko Ojca Świętego, stał się rzecznikiem sprawy polskiej w okresie zaborów. Blisko sześć lat później otrzymał z rąk papieża sakrę biskupią, by zostać skierowanym do Krakowa. W ten sposób rozpoczął się najdłuższy i jeden z najważniejszych w całych dziejach diecezji krakowskiej pontyfikat. O jego charakterze wymownie świadczyło to, że z okazji ingresu do katedry wawelskiej, który odbył się 3 marca 1912 r., Sapieha postanowił ufundować obiad dla 300 ubogich krakowian. Właśnie troska o osoby biedne i poszkodowane przez los była jednym z filarów jego biskupiej posługi. Postawa ta stała się szczególnie widoczna i nieoceniona podczas zawieruchy I wojny światowej, kiedy bronił praw potrzebujących i roztaczał nad nimi opiekę. W tym celu na początku 1915 r. założył Książęco-Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny i zabiegał o wsparcie materialne wszędzie, gdzie było to możliwe, nie pomijając dworu cesarsko-królewskiego w Wiedniu. W pierwszych latach Niepodległej aktywnie bronił polskości Górnego Śląska. W grudniu 1926 r. papież Pius XI mianował go arcybiskupem i pierwszym w historii metropolitą krakowskim. Swojej niezłomnej postawy umiał dowieść również w czasach pokoju, gdy w 1930 r. sprzeciwiał się osadzeniu przedstawicieli opozycji w twierdzy brzeskiej, a siedem lat później podczas kryzysu wawelskiego nie ugiął się ani przed sanacyjnymi władzami, ani przed opinią publiczną. Choć na początku 1939 r., ze względu na swój zaawansowany wiek, prosił o zwolnienie z piastowanej funkcji, wobec nadchodzącego zagrożenia wojennego postanowił pełnić ją nadal. Z chwilą wybuchu II wojny światowej i wobec braku możliwości powrotu z uchodźstwa prymasa Augusta Hlonda stał się przedstawicielem całego Kościoła okupowanej Polski. Jednocześnie wspierał Radę Główną Opiekuńczą, która pomimo niemieckiego terroru niosła pomoc setkom tysięcy Polaków. Utrzymywał kontakty zarówno z władzami na uchodźstwie, jak i podziemiem w okupowanym kraju.



Domagając się poszanowania praw i powstrzymania zbrodni, interweniował zarówno w Stolicy Piotrowej, jak i na zajętym przez Hansa Franka Wawelu. Jednocześnie, jak to podsumował przyszły papież, Jan Paweł II: „....w tę ciemną noc okupacji Metropolita Krakowski na swojej stolicy [...] trwał i stanowił jakiś próg, którego nie odważył się przekroczyć ani podeptać najeźdźca”. W tej postawie, nielekającej się i niecofającej się przed brutalną siłą totalitaryzmu, wytrwał również w latach stalinizmu w powojennej Polsce. Nie tylko chronił przed nowym zniewoleniem Kościół i społeczeństwo, ale stanął też po stronie żołnierzy podziemia niepodległościowego. W lutym 1946 r. został mianowany kardynałem. Dopóki żył, komuniści nie odważyli się otwarcie podnieść ręki na polski Kościół. Zmarł

w swoim Krakowie, 23 lipca 1951 r.

► 18 V 1992

Polska podpisała z nowo powstałym państwem ukraińskim traktat „o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy”. Była to pierwsza umowa międzynarodowa tej rangi łącząca oba narody.

Dziewięć miesięcy wcześniej, 24 sierpnia 1991 r., Rada Najwyższa Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej wykonała historyczny krok, przegłosowując „Akt niepodległości” swojego państwa. Decyzję tę naród ukraiński usankcjonował 1 grudnia podczas przeprowadzonego w kraju referendum. Już następnego dnia Polska jako pierwsze państwo na świecie uznała niepodległość Ukrainy. Reakcja ta zapowiadała szczególnie wymiar relacji mających łączyć oba kraje. Z jednej strony Polska stawiała się rzecznikiem proeuropejskich dążeń Kijowa, a z drugiej Ukraina państwem tworzącym w regionie nowy ład na gruzach upadającego Związku Sowieckiego. Kolejnym krokiem było oficjalne nawiązanie stosunków dyplomatycznych, które nastąpiło 8 stycznia 1992 r. Rozpoczęto również rozmowy zmierzające do zawarcia umowy międzypaństwowej regulującej wzajemne stosunki. Ostatecznie podczas spotkania ukraińskiego prezydenta Leonida Krawczuka z prezydentem Lechem Wałęsą w Warszawie 18 maja doszło do podpisania „Traktatu między Rzeczpospolitą Polską a Ukrainą o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy”. Akt ten m.in. potwierdzał nienaruszalność wspólnej granicy państwowej oraz, co szczególnie ważne, przyznawał szerokie prawa obu mniejszościom narodowym w Polsce i na Ukrainie. W kolejnych latach traktat stanowił podstawę rozwoju wszelkich stosunków łączących Warszawę i Kijów.

Czerwiec

3 VI 1922

Sto lat temu w Warszawie urodził się wyśmienity aktor teatralny, a także filmowy Wiesław Michnikowski. Występując w kabarecie Dudek oraz Kabarecie Starszych Panów, pozostawił po sobie niezapomniane skecze oraz ponadczasowe wykonania piosenek kabaretowych.



5 VI 1257

Księżę Bolesław V Wstydlawy wydał akt lokacyjny Krakowa na prawie magdeburskim. Oryginał sporządzonego na pergaminie dokumentu zachował się i znajduje się w zbiorach krakowskiego Archiwum Narodowego.



6 VI 1977

W Rzymie na emigracji zmarł polski działacz niepodległościowy, polityk, poseł i minister Karol Popiel. Był jednym z założycieli i liderów Narodowej Partii Robotniczej, a następnie Stronnictwa Pracy.



11 VI 1897

W Warszawie przyszedł na świat działacz obozu narodowego, polityk, publicysta, redaktor i senator Jan Rembeliński. Był pierwszym prezesem Młodzieży Wszechpolskiej oraz współorganizatorem i jednym z liderów Ruchu Młodych Obozu Wielkiej Polski.



14 VI 1812

W Piaskach Szlacheckich na Lubelszczyźnie urodził się uczestnik powstania listopadowego, działacz polityczny Wielkiej Emigracji i kawaler orderu Virtuti Militari Antoni Patek. Kiedy przebywał na emigracji w Szwajcarii, założył firmę Patek Philippe & Cie, która stała się światowym pionierem w produkcji najbardziej ekskluzywnych zegarków kieszonkowych.

23 VI 1932

Swoją służbę pod białą-czerwoną banderą rozpoczął, zbudowany według rodzimego, eksperymentalnego projektu, kuter pościgowy, późniejszy ORP „Batory”. Obecnie jest najstarszym zachowanym polskim okrętem.



26 VI 1407

Wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego został 37-letni Ulrich von Jungingen. Dążąc do osłabienia złączonych unią personalną Polski i Litwy, rozpoczął wojnę, która zakończyła się jego własną śmiercią i bezpowrotnym złamaniem krzyżackiej potęgi w Europie.

28 VI 1812

Sejm utworzonego przez cesarza Napoleona Bonapartego Księstwa Warszawskiego uchwalił Akt Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego. W jego myśl odnawiano przerwane tragedią rozbiorów istnienie Królestwa Polskiego i poszerzano jego granice o ziemie okupowane przez Rosję.





➤ 14 VI 1932

W myśl tajnego rozkazu marszałka Józefa Piłsudskiego polski kontrtorpedowiec ORP „Wicher” wszedł do gdańskiego portu. Wydarzenie to stanowiło kulminacyjny punkt konfliktu pomiędzy II RP a Wolnym Miastem Gdańskiem i mogło pociągnąć za sobą najdalej idące konsekwencje.

Utworzenie na mocy postanowień traktatu wersalskiego Wolnego Miasta Gdańska generowało nieustanne napięcia pomiędzy jego obywatelami: dominującymi liczebnie Niemcami oraz znacznie mniej licznymi Polakami. Te trudne stosunki miały przełożenie nie tylko na atmosferę panującą między Warszawą a Gdańskiem, ale także Berlinem. Antypolskie postawy dały o sobie szczególnie silnie znać w 1930 r., kiedy do senatu Wolnego Miasta weszli przedstawiciele partii NSDAP. Gdy w następnym roku wygaśł układ o użytkowaniu przez Polskę Gdańska jako portu macierzystego, gdański senat odmówił jego przedłużenia. Ten jednostronny krok stał w sprzeczności z zagwarantowanymi II RP prawami. Na ich mocy Polska m.in. reprezentowała Wolne Miasto na arenie międzynarodowej, a jej okręty wojenne mogły przebywać w porcie gdańskim jako macierzystym, bez możliwości utworzenia w nim stałej bazy wojskowej. Sprawę skierowano na forum Ligi Narodów w Genewie oraz do Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze. Niestety nie znalazła ona pozytywnego rozwiązania, a Wolne Miasto odmawiało rokowań. Konflikt osiągnął apogeum, gdy Wielka Brytania zapowiedziała wizytę zespołu swoich niszczycieli w Gdańsku. Zgodnie z wygaśłym układem obce okręty wojenne wchodzące do gdańskiego portu powinny być powitane przez polski okręt. Senat Gdańska planował wykorzystanie tej wizyty do udowodnienia, że II RP nie jest w stanie reprezentować Wolnego Miasta w polityce zagranicznej. Aby przeciwdziałać tej grze, marszałek Piłsudski podjął kroki, które miały w sposób jednoznaczny bronić polskich praw. W tym celu w ścisłej tajemnicy wydał rozkaz dowódcy najnowocześniejszego polskiego okrętu, kontrtorpedowca ORP „Wicher”, kmdr. Tadeuszowi Podjazd-Morgensternowi, wejścia na gdańską redę i powitania brytyjskiej floty. Gdyby nie zdołano tam dokonać wymiany wizyt kurtuazyjnych, polska jednostka, mimo nieprzedłużenia wspomnianego układu, miała wejść do portu Wolnego Miasta i tam dopełnić swojej misji. Jednocześnie, w przypadku uniemożliwienia przez Gdańsk dokonania powitania lub jakiegokolwiek znieważenia polskiej bandery, kmdr Podjazd-Morgenstern został zobowiązany do otwarcia ognia w kierunku tamtejszych budynków urzędowych. Gdy 14 czerwca 1932 r. na redzie doszło do spotkania ORP „Wichra” z brytyjskimi niszczy-

cielami, ich dowódca poinformował, że nie zdoła wymienić wizyt przed wejściem do gdańskiego portu. Wówczas kmdr Podjazd-Morgenstern zdecydował się również wejść swoim okrętem do Gdańska. Jednocześnie komisarz generalny RP Kazimierz Papee powiadomił przedstawiciela senatu Wolnego Miasta o misji polskiej jednostki i konsekwencjach próby jej utrudnienia. Pomimo protestów gdańskiej strony kmdr Podjazd-Morgenstern bez zakłóceń dokonał z Brytyjczykami wymiany wizyt kurtuazyjnych, po czym ORP „Wicher” niepokojony wyszedł z portu. W obliczu polskiej manifestacji siły Wolne Miasto się nie tylko ugięło, ale również 13 sierpnia odnowiło z II RP umowę dotyczącą możliwości korzystania z gdańskiego portu.

➤ 18 VI 1792

Pod Zieleńcami książę Józef Poniatowski nie tylko pokonał wojska rosyjskiego najeźdźcy, lecz także odniósł pierwsze od wieku polskie zwycięstwo militarne. Na pamiątkę tego wydarzenia król Stanisław August ustanowił order Virtuti Militari.

W maju 1792 r. potężna kolumna armii rosyjskiej, dwukrotnie silniejsza od sił polskich, przekroczyła granice bez wypowiedzenia wojny, w celu obalenia rok wcześniej uchwalonej Konstytucji 3 maja. Pod hasłami przywrócenia wolności szlacheckiej caryca Katarzyna II rozpoczęła napaść na podejmującą reformę swojego ustroju Rzeczpospolitą. Rosyjskie wojska pewne swojej przewagi parły do szybkiego oskrzydlenia polskiej armii i jej rozbicia. Siły księcia Poniatowskiego, osłaniane przez dywizję Tadeusza Kościuszki, skutecznie unikały narzucenia sobie miejsca bitwy, wymykając się Rosjanom. Ostatecznie bitwę wydano siłom pościgowym w obozie pod Zieleńcami. Choć wojska Rzeczypospolitej dysponowały przewagą liczebną, to rosyjski żołnierz był o wiele bardziej doświadczony, co też pozwoliło mu w pierwszej fazie batalii na osiągnięcie przewagi. Aby odmienić losy bitwy i podnieść polskiego ducha, książę Poniatowski osobiście poprowadził oddziały do natarcia. Po kilku godzinach walki rosyjski korpus, nie mogąc otrzymać wsparcia, nieścigany wycofał się z pola bitwy. Strona polska odniosła bardzo ważne z punktu widzenia psychologicznego zwycięstwo dające jej wiarę we własne siły. Cztery dni później król Stanisław August Poniatowski, w celu odznaczenia głównych autorów zwycięstwa, ustanowił order Virtuti Militari.



LWOWSKIE POLONIKA

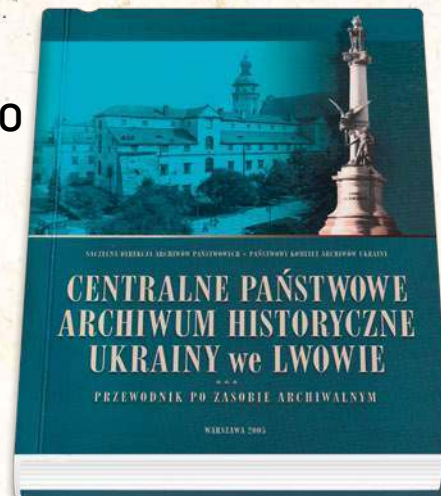
**W BOGATYCH ZBIORACH KOPII POLONIKÓW
ZGROMADZONYCH W AGAD SZCZEGÓLNE MIEJSCE
ZAJMUJĄ MATERIAŁY Z CENTRALNEGO PAŃSTWOWEGO
ARCHIWUM HISTORYCZNEGO UKRAINY WE LWOWIE**



**JACEK
KROCHMAL**

Liczne wojny, utrata niepodległości, kolejne fale emigracji i inne doświadczenia minionych stuleci sprawiły, że poza granicami Polski znajduje się ogromna liczba dóbr kultury zwanych polonikami. Mówiąc o nich, zwykle mamy na myśli zabytki zrabowane i wywiezione podczas wojen albo powstałe w różnych zakątkach świata w wyniku działalności polskich emigrantów. Ale polonikami nazywane są także dobra kultury pozostałe na wschodnich terytoriach dawnej Rzeczypospolitej. Jest to nazwa nieprecyzyjna, w istocie bowiem dotyczy dóbr kultury o proveniencji polskiej, które pozostają w miejscu swego wytworzenia, a poza Polską znalazły się w wyniku zmiany granic ustalonych po II wojnie światowej. Zdając sobie sprawę z rozproszenia polskiego dziedzictwa kulturowego, jeszcze w połowie ub.w. archiwa państwowe rozpoczęły wielką akcję rejestracji i kopiowania poloników archiwalnych zgromadzonych w instytucjach zagranicznych. W rezultacie prac prowadzonych w latach 1959–1991 do Archiwum Głównego Akt Dawnych przekazano fotokopie i mikrofilmy poloników ze 107 archiwów, bibliotek i muzeów z 23 państw Europy, Azji i Ameryki Północnej. Znaczące miejsce wśród nich zajmują kopie poloników wykonane w 10 archiwach i bibliotekach ukraińskich. Nowe możliwości we współpracy archiwalnej przyniosły zmiany ustrojowe spowodowane rozpadem bloku wschodniego i Związku Radzieckiego. Zawarte w 1996 r. porozumie-

nie między rządami Polski i Ukrainy dało podstawę prawną do powołania komisji do spraw ochrony i zwrotu dóbr kultury utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas II wojny światowej. W jej ramach pracował zespół ekspertów do spraw archiwów historycznych, który w latach 2001–2006 dokonał rozpoznania stanu rozmieszczenia poloników we wszystkich archiwach ukraińskich oraz opracował podstawy dalszej współpracy archiwalnej. Pierwotne wyobrażenia o wymianie archiwaliów okazały się nierealne z powodów prawnych, lecz także praktycznych, uwzględniających zarówno rozmiary zespołów, jak i skomplikowane dzieje obu narodów. Dobrym rozwiązaniem tego problemu było zastosowanie idei wspólnego dziedzictwa, którą dla rozstrzygnięcia międzynarodowych sporów o archiwalia wypracowało UNESCO. Ważnym jego elementem jest swobodny dostęp do za-

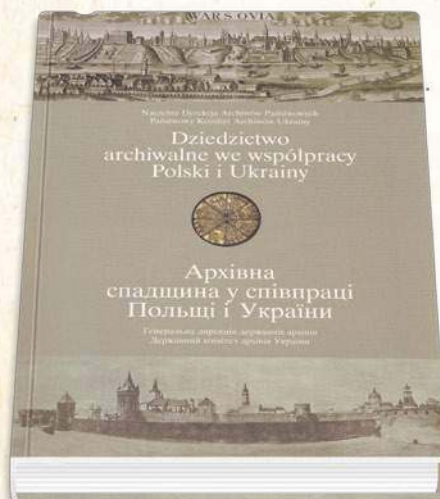


**Przewodnik po zasobie archiwum
historycznego we Lwowie**

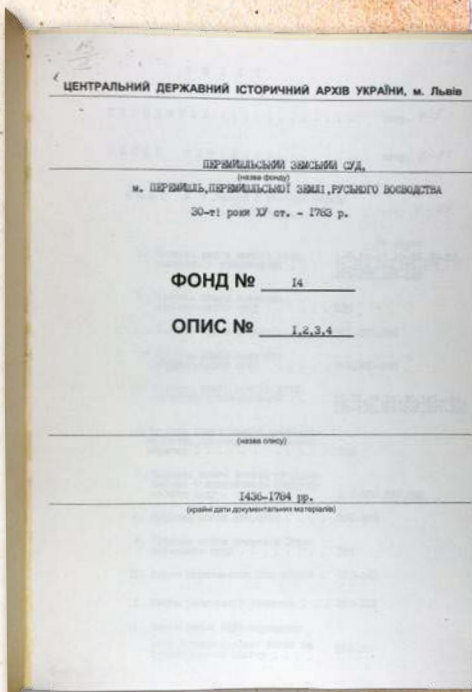
pisów informacyjnych niesionych przez źródła archiwalne, bez konieczności ich przemieszczania. Dało to podstawę do rozpoczęcia negocjacji dotyczących kopiowania materiałów o proveniencji polskiej, których oryginały przechowywane są w archiwach ukraińskich.

Stając przed problemem wskazania archiwaliów wytypowanych do kopiowania, należy uświadomić sobie skalę tego wyzwania. Niemal we wszystkich archiwach ukraińskich przechowywane są materiały o proveniencji polskiej. Mówiąc tylko o źródłach z czasów dawnej Rzeczypospolitej, trzeba uwzględnić akta licznych sądów szlacheckich (grodzkich, ziemskich, podkomorskich) działających w każdym powiecie i ziemi, archiwa wielkich rodów magnackich, kościołów i klasztorów, akta miast i wsi, cechów rzemieślniczych oraz różne zbiory i kolekcje. Ich skopiowanie wymagałoby nie tylko olbrzymich środków finansowych i technicznych, lecz przede wszystkim czasu liczonego w dziesięcioleciach. Z tego powodu postanowiono zawęzić prace i skupić się na zasobie archiwum mającego szczególne znaczenie dla dziejów Polski. Jest nim centralne archiwum historyczne we Lwowie, które z uwagi na swą historię, charakterystykę zasobu

**Raport polsko-ukraińskiego
zespołu ekspertów do spraw
archiwów historycznych**



oraz rangę stanowi odpowiednik Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Tu warto przypomnieć genezę powstania lwowskiego archiwum. Jest ona związana z utworzeniem w 1784 r. przez władze austriackie archiwum-urzędu gromadzącego księgi z archiwów grodzkich i ziemskich z terytorium Galicji. Były one składowane w byłym klasztorze bernardynów we Lwowie. Jego siedziba wpłynęła na upowszechnienie popularnej nazwy instytucji określanej mianem Archiwum Bernardyńskiego. Po uzyskaniu autonomii przez Galicję pieczę nad archiwum objęły władze krajowe. Zmianie uległy wówczas zarówno nazwa archiwum, jak i zakres jego działalności. Archiwum Krajowe Aktów Grodzkich i Ziemskich zaczęło gromadzić dokumentację powstającą w sądach galicyjskich, archiwa miast i wsi z obszaru Galicji Wschodniej, kataster gruntowy, czyli tzw. metrykę józefińską i franciszkańską. Taka specyfika zasobu sprawiała, że archiwum lwowskie było centralnym archiwum dla Galicji. Jego dyrektorem od 1891 r. był wybitny historyk ustroju i prawa polskiego prof. Oswald Balzer (1858–1933). Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości archiwum lwowskie otrzymało nazwę Archiwum Ziemskiego, zachowując swą odrębność od Archiwum Państwowego we Lwowie, co było wyrazem szacunku i ukłonem władz w stronę prof. Balzera. Dopiero po jego śmierci w 1933 r. oba lwowskie archiwa zostały połączone, otrzymując nazwę Archiwum Państwowe i Ziemskie we Lwowie. Była to ważna placówka naukowa zatrudniająca 10 archiwistów – wszystkich z tytułami doktora. Oprócz prof. Balzera znanymi lwowskimi archiwistami byli jeszcze wybitni historycy i wydawcy źródeł: Antoni Prochaska (1852–1930), Eugeniusz Barwiński (1874–1947), Karol Maleczyński (1897–1968). Archiwum lwowskie należało do największych polskich archiwów państwowych. Jego zasób obejmował archiwa z czasów Królestwa Polskiego, Rzeczypospolitej i Galicji. Było to około pół miliona ksiąg i teczek zajmujących łącznie 9 km półek. We wrześniu 1939 r. archiwum we Lwowie zostało przejęte przez władze sowieckie. Po zakończeniu II wojny światowej w archiwum tym zgromadzono znaczną część dokumentacji zdobytej przez wojska sowieckie we wrześniu i w październiku 1939 r. w wyniku przejmowania transportów z aktami instytucji ze środkowej i zachodniej Pol-

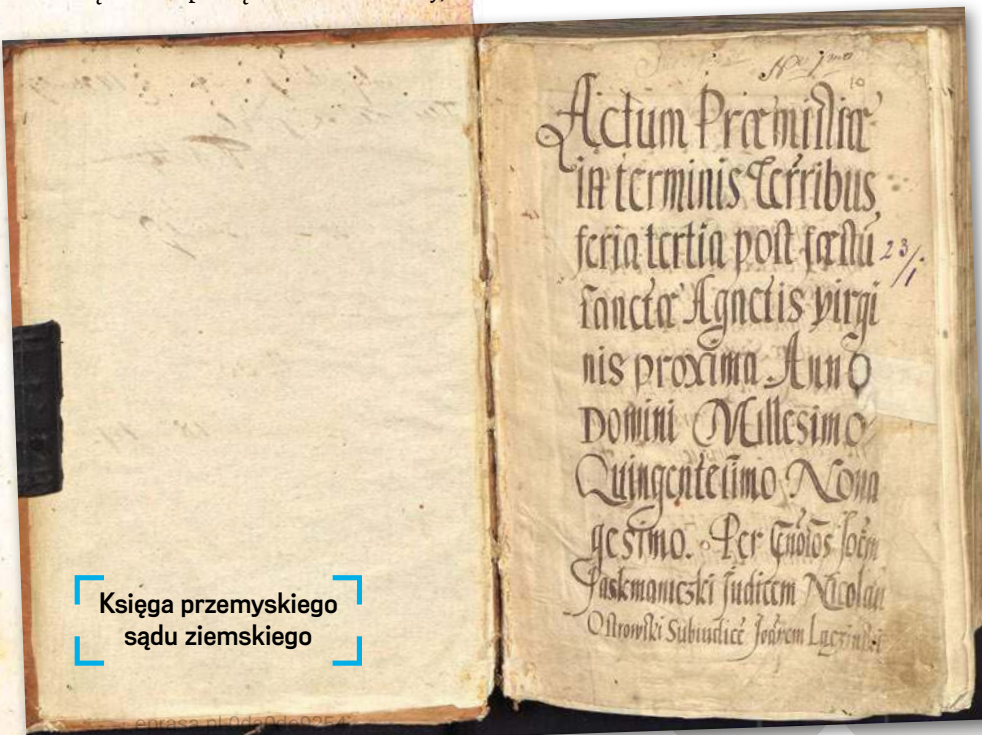


Inwentarz archiwalny przemyskiego sądu ziemskiego

ski ewakuowanych w związku z inwazją niemiecką. Później część tych archiwaliów zwrócono do Polski w ramach wielkiej akcji rewindykacyjnej archiwaliów z ZSRR zakończony w 1964 r.

Podstawą prawną pozyskiwania kopii poloników z Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy we Lwowie było zawarcie umów określających zasady kopiowania i udostępniania skopiowanych materiałów przez AGAD. Początkowo sporządzano mikrofilmy,

później zaś obrazy cyfrowe (skany). Ważnym ustaleniem były kwestie metodyczno-archiwalne. Przyjęto założenie kopiowania całych zespołów archiwalnych (fondów), tzn. wszystkich znajdujących się w nim jednostek archiwalnych (ksiąg, poszytów, teczek itd.) w odwzorowaniu rzeczywistym, czyli łącznie z obwolutami i kartami niezapisanymi, co pozwala na maksymalne odzwierciedlenie wyglądu oryginałów. Skopiowane materiały opatrywano pełnym opisem archiwalnym umożliwiającym ich identyfikację. O ile jest to stosunkowo łatwe przy mikrofilmach, w których karty każdej jednostki poprzedza metryczka informacyjna, o tyle specjalnej uwagi wymaga to przy digitalizacji. Pamiętać trzeba, aby każdy skan został opatrzony metadanymi zawierającymi opis archiwalny umożliwiający identyfikację pojedynczego obrazu cyfrowego w powiązaniu z oryginalnym materiałem archiwalnym, a więc z nazwą archiwum i fondu, sygnaturą oraz stroną w jednostce archiwalnej. Równoległe z tymi pracami kopiowano inwentarze zespołów archiwalnych (fondów) opracowane przez archiwistów lwowskich. W wyniku opisanych działań w latach 2007–2021 w archiwum lwowskim skopiowano 38 zespołów archiwalnych. Jest to niemal 2 mln kopii cyfrowych (skanów) oraz 300 tys. klatek mikrofilmu. Dodatkowo skopiowano inwentarze 60 zespołów archiwalnych. Wszystkie te materiały udostępniane są w pracowni AGAD. ■



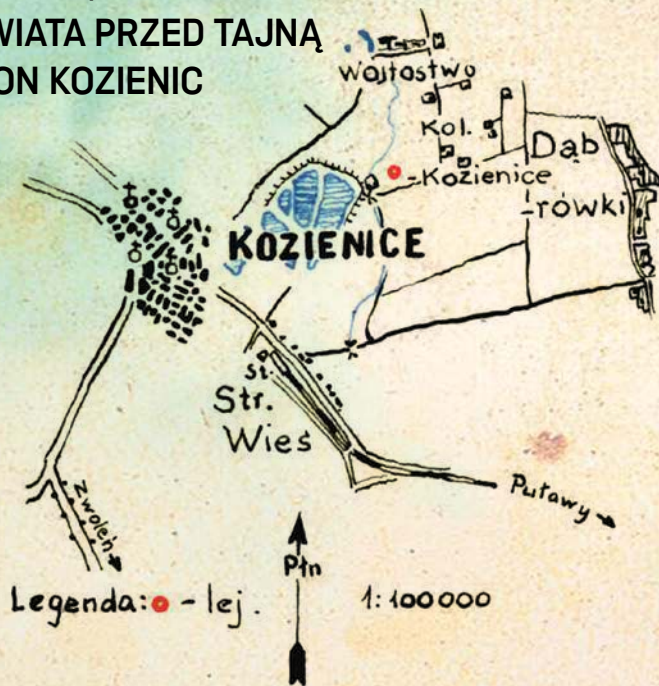
Księga przemyskiego sądu ziemskiego



ARCHIWA
PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH

HISTORIA ROZPRACOWANIA PRZEZ WYWIAD ARMII
KRAJOWEJ NIEMIECKIEJ BRONI RAKIETOWEJ ODSŁANIA
NOWE WĄTKI. DZIĘKI ZACHOWANYM W ZASOBIE ARCHIWUM
AKT NOWYCH DOKUMENTOM DO LISTY MIEJSC, W KTÓRYCH
ROZSTRZYGAŁA SIĘ OBRONA EUROPY I ŚWIATA PRZED TAJNĄ
NIEMIECKĄ SUPERBRONIĄ, DOŁĄCZA REJON KOZIENIC

KOZIENICKIE STRUKTURY AK PRZECIWKO RAKIETOM V2



RAFAŁ
KIERZKOWSKI

Puszcza Koziennicka: horror Szwedów, Rosjan i Niemców

Tradycje militarnego wykorzystania Puszczy Koziennickiej sięgają średniowiecza. To właśnie w koziennickiej części dawnej Puszczy Radomskiej na przełomie 1409 i 1410 r. prowadzono wielkie łowy. Zasolone mięso upolowanych zwierząt stanowiło królewskie zapasy dla polskiego rycerstwa na wojnę przeciwko Krzyżakom. To tu powstał też zbudowany przez mistrza ciesielskiego Jarosława z Kozienic most żyłwowy, który po spławieniu do Czerwińska umożliwił w 1410 r. sprawną przeprawę kolumnie polskiego wojska. W dobie szwedzkiego potopu z 1655 r. ten potężny kompleks leśny stanowił miejsce działań partii szlacheckich i grup chłopskich prowadzących wojnę szarpaną przeciwko luterańskim najeźdźcom. 6 kwietnia 1656 r., w przededniu wiktorii pod Warką, kilka polskich chorągwi pod dowództwem samego Stefana Czarnieckiego wycięło

w pień pod Kozienicami straż tylną wycofującej się kolumny wojsk szwedzkich. Leśne ostępy były też rejonem ciężkich walk podczas powstania styczniowego. Partie Michała Piwnickiego, Władysława Kononowicza i Stanisława Turkiettiego wykorzystywały Puszcę Koziennicką jako miejsce schronienia i partyzanckich zasadzek. Lasy te stały się areną walk również podczas II wojny światowej. Pierwsi Niemcy zginęli w puszczy już we wrześniu 1939 r., próbując osaczyć przedzierający się w krwawych bojach 31. Pułk Piechoty Strzelców Kaniowskich. Okupanci nie wiedzieli, że leśne dukty puszczańskich uroczysk wrogów Polski prowadzą tylko w jedną stronę – ku śmierci.

Obwód „Puszcza” AK

Struktury konspiracyjne narodziły się na ziemi koziennickiej już jesienią 1939 r. Na przełomie 1939 i 1940 r. samorzutnie zawiązujące się kręgi konspiracji zostały ujęte w Obwód Kozienice ZWZ, a potem AK, noszący kryptonimy: Puszcza, Krzaki, Jeżyny... Kolejnymi dowódcami obwodu byli kpt. Roman Bielawski „Adam”, kpt. Józef Pawlak „Brzoza”, mjr Władysław Komórek „Lucjan”.

Lokalizacja eksplozji rakiety V2 – plan wykonany przez wywiad AK

Okoliczna ludność zachowała się podczas okupacji wyjątkowo godnie. Do końca 1943 r. obwód liczył już kilka tysięcy gotowych do walki z bronią w ręku, ale i znających zasady konspiracji, ochotników – prowadzących na co dzień pozornie zwyczajne życie lokalnych gospodarzy, zbierających się tylko na szkoleniach, odprawach i w celu przeprowadzenia akcji. Dywersją na tym obszarze kierowali pchor. Jan Molenda „Sewer”, ppor. Jerzy Dąbkowski „Longin”, a następnie por. Władysław Molenda „Grab”, wywiadem dowodzili kolejno ppor. Stanisław Ruman „Staszek” oraz Mirosław Kowalski „Oskard”. Referatowi lotniczemu przewodził st. sierż. pil. Władysław Węgrzynek.

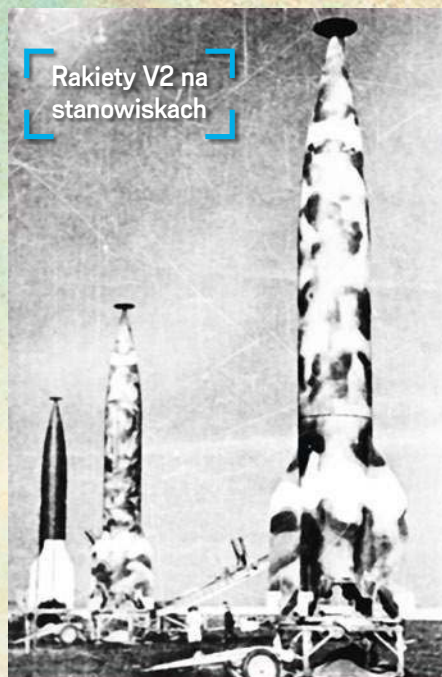
Dzięki dobrej współpracy, a następnie scaleniu struktur Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich na terenie Obwodu Kozienice niemieckie eszelony stawały w płomieniach lub lądowały na ślepych bocznicach, tracąc zaopatrzenie. Szpicli i folksdojców likwidowano. Lokalne zakłady zajęte przez niemiecki nadzór, takie jak Wytwórnia Prochu w Pionkach,

kończyły produkcję w wyniku niespodziewanych eksplozji, a z rozbitego kozienickiego więzienia uwolniono zatrzymanych. Wyczyny partyzanckich dowódców: por. Stefana Bembińskiego „Harnasia”, pchor. Bolestawa Krakowiaka „Bilofa” czy ppor. Ignacego Pisarskiego „Maria”, zapisały jedną z najpiękniejszych kart polskiej partyzantki, a miejsca walk, m.in. pod Stanisławicami i Molendami, otaczane są pamięcią do dziś. Wszystkie niemieckie działania i obiekty były pod baczłą obserwacją polskiego wywiadu. Znano dane niemieckich dowódców, stacjonujące siły, trasy patroli i komunikacji. Wiosną 1944 r. wywiad Armii Krajowej musiał jednak zbadać kolejną sprawę...

„...gwizd, eksplozja, trzęsienie ziemi...”

21 kwietnia 1944 r. ok. 18.30 między Kozienicami a Dąbrówkami doszło do potwornej eksplozji, poprzedzonej wizgiem nadlatującego wielkiego pocisku. Siła wybuchu była tak potężna, że w promieniu setek metrów okoliczne domy straciły okna i drzwi wyrwane falą uderzeniową. Grupa ludzi idąca polną drogą została rzucona na ziemię. W powietrze uniósł się słup czarnego dymu. Miejsce eksplozji zostało otoczone przez niemiecką żandarmerię, która zebrane fragmenty pocisku wywoziła na lotnisko w Dęblinie, a okolicznej ludności zakazano zajmować się tą sprawą. Żadne z tych działań nie mogło powstrzymać aktywności polskiego wywiadu. Cała okolica usiana była bowiem gospodarstwami ludzi związanych z konspiracją. Dla przykładu w pobliskim Samwodziu, u gospodarzy Piotra Kozieła i Lesisza, w widłach rzeczki Łachy i Kanału Gniewoszowsko-Kozienickiego ukrywano rannych partyzantów, a na podwórzu Józefa Stępnia mieszkańcy zabili agresywnego żołnierza niemieckiego i ukryli zwłoki w starej studni. W tak charakternej okolicy żadna informacja o przeciwniku nie mogła zaginąć.

W niedługim czasie na najwyższe szczeble Komendy Głównej Armii Krajowej dotarł oparty na pracy lokalnych struktur wywiadu szczegółowy raport. Określał on lokalizację i siłę eksplozji „torpedy powietrznej”, zawierał relacje ludności oraz doskonałej jakości rysunki części rakiety, wykonane przez „jednego z wywiadowców posiadającego wykształcenie techniczne”. Lej po eksplozji miał ok. 12 m średnicy i 10 m głębokości. Wagę

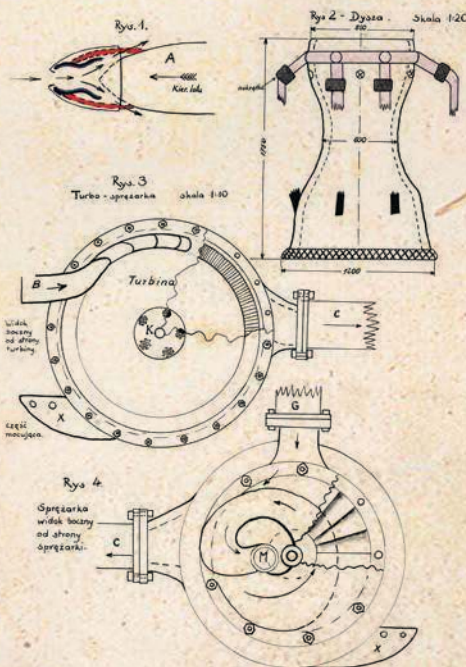


Rakiety V2 na stanowiskach

zebranych przez Niemców części rakiety oszacowano na ok. 2,5 tony. W raporcie zawarto nawet fragment rozmowy komendanta lotniska w Dęblinie z miejscowym landkomisarzem, z której wynikało, że rakietą spadła przedwcześnie.

Jakość sporządzonego raportu, liczba szczegółowych danych o eksplozji i częściach rakiety oraz informatorzy zdolni przekazywać treść rozmów niemieckich

Szkice techniczne fragmentów rakiety opracowane przez wywiadowcę AK



oficjeli stawiają żołnierzy Obwodu Kozienice i sąsiedniego Podobowodu Dębline-Ryki Armii Krajowej pośród najzdolniejszych wywiadowców Polskiego Państwa Podziemnego.

Kozienice i Dęblin w obronie Londynu

Skąd jednak rakietą V2 wzięła się nad Kozienicami? Niemcy prowadzili badania nad bronią rakietową A4/V2 (Vergeltungswaffe-2 – z niem. broń odwetowa 2) od lat 30. Pierwsze udane próby startów miały miejsce w roku 1942. Głównym ośrodkiem badań był poligon w rejonie miejscowości Peenemünde na wyspie Uznam (niem. Usedom). Informacje o pracach nad rakietą oraz rolą tego ośrodka, zdobyte przez wywiad AK już w 1943 r., były dla aliantów potężnym zaskoczeniem – ośrodek zbombardowano. Niemcy przenieśli prace jesienią 1943 r. na poligon Heidelager Blizna, skąd rozpoczęli wystrzeliwanie testowanych rakiet, głównie w kierunku północno-wschodnim, traktując tereny okupowanej Polski jako poligon, nie licząc się z losem ludności. Siatka wywiadu Armii Krajowej pozwoliła penetrować miejsca upadku pocisków jeszcze przed przyjazdem Niemców. Dotychczas za główne punkty, w których polskie podziemie najskuteczniej rozpoznawało cechy niemieckiej V2, uznawane były okolice Niwisk na Podkarpaciu, gdzie zebrano ich fragmenty, i wsi Sarnaki na Podlasiu, skąd udało się podjąć cały niewybuch. W ramach akcji „Most III” 26 lipca 1944 r. drogą lotniczą przekazano na Zachód fragmenty rakiety i dokumentację techniczną. Tym sposobem alianci poznali dane techniczne, informacje o zasięgu i sile tej morderczej broni kilka tygodni przed tym, zanim rakiety V2 zaczęły spadać na Paryż, Londyn i Antwerpię. W warunkach wojny od informacji tych zależało życie mieszkańców zachodnich miast i alianckich żołnierzy.

Jak się okazuje, również informacje pozyskane już w kwietniu 1944 r. o rakiecie, która spadła pod Kozienicami, były jednym z najwcześniejszych i najprecyzyjniejszych meldunków w całej operacji polskiego podziemia przeciwko niemieckiej broni rakietowej V2.

Czas, by świat dowiedział się o roli kozienickich i dęblińskich struktur Armii Krajowej w walce o ratunek dla miast zachodniej Europy i ostateczne pokonanie niemieckiego nazizmu.

DUSZA KONTUSZA

ALEKSANDER ZBOROWSKI – SYN BANITY



**HENRYK
LITWIN**

NOCĄ 11 MAJA
1584 r. WYSŁANY
PRZEZ KANCLERZA
JANA ZAMOYSKIEGO
ODDZIAŁ ŻOŁNIERZY POD
DOWÓDZTWEM STANISŁAWA
ŻÓŁKIEWSKIEGO DOKONAŁ
ZBROJNEGO ARESZTOWANIA
SAMUELA ZBOROWSKIEGO,
NAJSŁYNNIEJSZEGO
CHYBA W DZIEJACH
RZECZYPOSPOLITEJ
BANITY I AWANTURNIKA,
KTÓREGO BOHATEREM
SWYCH DZIEŁ UCZYNIŁ
POTEM JULIUSZ SŁOWACKI

Władysław Łuszczkiewicz,
„Ścięcie Samuela Zborowskiego”

Wrozpowszechnianym niedługo po tym wydarzeniu druku ulotnym można było odnaleźć informację, że Samuel poniechał

możliwej ucieczki, usłyszawszy, że jego syn miał paść ofiarą owego napadu: „Przebóg, zabito Olesia” wykrzyknęły ponoć obecne przy zajściu białogłowy. W ten dramatyczny sposób pojawił się na kartach historii Aleksander Zborowski. W rzeczywistości nie został nawet drażniony, ale i tak napięcie wokół kilkunastoletniego wówczas podrostrka sięgnęło szczytu, kiedy 26 maja doszło do pospiesznej i niejasno umotywowanej prawnie egzekucji Samuela. Przygotowujący się na śmierć magnat poprosił, by chustę umoczoną w jego krwi przekazać synowi, właśnie Aleksandrowi. Młody Zborowski pojawił się na scenie historii z brzemieniem powierzonej mu zemsty. Kto powinien paść jej ofiarą? Król Stefan Batory, który podjął decyzję, że Samuelowi należy się kara śmierci? Kanclerz Jan Zamoyski, który doprowadził do egzekucji? A może Stanisław Żółkiewski, który pojmował banitę? W ciągu kolejnych kilkunastu lat opinia publiczna w Rzeczypospolitej nie miała wątpliwości, że w oczach Aleksandra Zborowskiego głównym winowajcą śmierci ojca był Jan Zamoyski.

W służbie Nemezis

Przez wiele lat po Polsce krążyły pogłoski o przygotowaniach Aleksandra do spełnienia zemsty. Jeszcze w 1598 r. klient kanclerza Jakub Potocki ostrzegał Zamoyskiego, że syn Samuela zebrał ludzi i ciągnie na Zamość, a w roku następnym sam kanclerz skarżył się na Aleksandra, „który o najazd nocny na dom mój chciał się kusić”. Nawet nuncjusz Claudio Rangoni w swojej „Relacji o Królestwie polskim...” z 1604 r. zapisał, że Zborowski „zachował nienawiść, ale i nie mała dał podejrzenia, że zamierzał wyrzucić zemstę prywatną na kanclerzu, co mu się dotąd nie udało, dlatego też spokojnie się zachowuje”. Charakterystyczne, że autorzy wszystkich relacji przypisują Aleksandrowi Zborowskiemu pragnienie zemsty, ale nie wskazują żadnych rzeczywistych działań, lecz jedynie złe intencje.

Można się przy tym domyślać, że ze strony Jana Zamoyskiego podejmowane były kroki pojednawcze. W 1598 r. niejaki Hryhory Krysowicz wysłał list do Aleksandra, w którym wyjaśniał przyczyny ścięcia jego ojca i wskazywał, że była to wola Ste-

fana Batorego związana z prowokowaniem przez Samuela konfliktu z Turcją. Znamy ten list jedynie z kopii zachowanej w archiwum Zamoyskich, więc trudno mieć wątpliwości, że nieznamy bliżej Krysowicz działał z inicjatywy kanclerza, który składał całą winę na nieżyjącego już króla, otwierając tym samym drogę do zgody. Można uznać, że list Krysowicza był związany z pertraktacjami, jakie toczyły się w tym czasie między Zborowskim a popiecznikami Zamoyskiego, wojewodą lubelskim Markiem Sobieskim. Przedmiotem negocjacji były dobra zborowskie, które Zborowscy (zbieżność nazwy i nazwiska przypadkowa) dzierżyli zastawem od Górków, a Sobiescy zakupili od spadkobierców Górków – Czarnkowskich. Spór Aleksandra Zborowskiego z Markiem Sobieskim zakończył się w 1599 r. „wynalazkiem przyjacielskim”, choć nie znamy szczegółów tego porozumienia. W każdym razie od tej pory nie słyszymy o żadnych wrogich zajściach między Zborowskimi a należącymi do stronnictwa „Wielkiego Kanclerza” Sobieskimi, w późniejszych czasach zaś zauważymy wielką przyjaźń między tymi rodami.

Pod znakiem Marsa

Epoka zemsty w życiu Aleksandra Zborowskiego była chyba bardziej związana z oczekiwaniami żadnej sensacji opinii publicznej niż realnie przeżywana przez samego Aleksandra. Jakkolwiek rzecz wyglądała, w wiek XVII syn banity wkroczył jako zwykły obywatel Rzeczypospolitej poświęcający się rzemiosłu żołnierskiemu. Z późniejszych wzmianek źródłowych wiemy, że walczył przeciw Tatarom na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Niestety nie znamy szczegółów tych doświadczeń. W kwestii postawy politycznej Zborowskiego nie mamy zbyt wielu świadectw. Wiemy jednak, że w początkach rokoszu Zebrzydowskiego (lipiec 1606) wziął udział w zjeździe szlachty ruskiej w Sądowej Wiszni, który opowiedział się przeciw działaniom rokoszowym, a zatem Aleksander stanął w chwili wyboru po stronie króla. Taka postawa rzuca światło na wybory następnego okresu w życiu Zborowskiego, w czasie którego służył Marsowi, „w potrzeby moskiewskiej”.

Aleksander Zborowski był jednym z polskich dowódców wojskowych, którzy zaangażowali się w moskiewską aferę Samozwańców. Nie brał udziału w wyprawie Dymitra I, ale zdecydował się dołączyć

do wojsk wspierających drugiego Samozwańca. W 1608 r. „zaciągnąwszy 500 koni, poszedł do carzyka”, jak zapisał pamiętnikarz Samuel Maskiewicz. Zborowski i jego pułk oddali wielkie zasługi „worowi z Tuszyń”. W sierpniu 1608 r. zrealizował brawurowy wypad, w trakcie którego przechwycił orszak powracającej z niewoli moskiewskiej carowej Maryny z Mniszchów i odprowadził małżonkę drugiemu Samozwańcowi. „Moskwę pobił, carową wziął i prowadził ku obozowi”, jak zapisał Józef Budziło. W kolejnym roku przeciwstawił się ofensywie carskiego dowódcy Michała Skopina Szujskiego i odniósł błyskotliwe zwycięstwa pod Torżkiem i Twerem. Z jego listu do Jana Piotra Sapiehy z maja 1609 r. wiemy, że choć działał pod dowództwem „carzyka”, to oczekiwał interwencji króla i Rzeczypospolitej oraz ich włączenia się do działań w państwie moskiewskim. Był świadom, że utrudnia to postawa sejmu – „postowie osłami nazwani być mogą” konstatował. Kiedy jednak Zygmunt III zdecydował się włączyć do wojny z Moskwą, Aleksander Zborowski wykazał najwięcej inicjatywy i stał się tym, którego „pułkownikami wojsko to sobie obrało, co się do króla obrócili” (Maskiewicz). Pułk Aleksandra dołączył do wojsk królewskich i wziął udział w akcjach militarnych 1610 r. Działał na przedpolu Smoleńska, ubezpieczając oblężenie tej twierdzy. Kiedy Stanisław Żółkiewski ruszył spod Smoleńska ku Moskwie, Aleksander zdołał nie pamiętać, że przed 26 laty to właśnie Żółkiewski aresztował jego ojca i doprowadził w ten sposób do egzekucji Samuela. Zborowski dołączył do hetmana i odegrał kluczową rolę w kampanii rozegranej latem 1610 r. W najważniejszym momencie tej operacji, jakim była bitwa pod Kłuszynem, Aleksander szedł w straży przedniej armii polskiej i w szyku bojowym zajął miejsce na prawym skrzydle. W rezultacie był w pierwszej linii starcia, a „iż wszystka moc należała na Niemcach (sojusznicach Moskwy pod dowództwem szwedzkim), przyszło się naszym najpierwej potykać” tak, że „roty pułku pana Zborowskiego długo z sobą czyniąc”, wzmocnione posiłkami „z trudnością ich rozerwali”. Opisy bitwy pod Kłuszynem nie pozostawiają wątpliwości, że o jej wyniku zadecydowały kunszt dowódcy Żółkiewskiego i sprawność żołnierzy z pierwszej linii – przede wszystkim pułku Zborowskiego.

Zwycięstwo pod Kłuszynem nad nieproporcjonalnie przeważającymi siłami wroga było wielkim triumfem polskiej >>

>> sztuki wojennej, ale też zdecydowało o biegu wydarzeń politycznych. Car Wasyl Szujski stracił poparcie bojarów i otworzyła się droga do porozumienia wokół kandydatury królewicza polskiego Władysława na tron moskiewski. A przynajmniej w taki rozwój wypadków wierzył Żółkiewski. Rezultatem takiego przekonania hetmana była ugoda z bojarami, która miała otworzyć królewiczowi drogę do tytułu carskiego. W efekcie tego porozumienia załoga polska została zainstalowana na Kremlu, a pierwszym oddziałem, jaki wkroczył do stolicy carów, był pułk Zborowski.

Rozpoczęła się epopeja – o ironio – polskich obrońców moskiewskiego Kremla. Porozumienie z bojarami rychło przestało obowiązywać i następowały kolejne fale ataków Moskali. Aleksander Zborowski brał udział w konstruowaniu skutecznego oporu, aż w czerwcu 1612 r. został ranny w starciach z oblegającymi Moskwę wojskami wroga. Jego pułk zawiązał wtedy konfederację i sprzeciwił się dalszemu pozostawianiu w Moskwie. Zborowski po ponad miesiącu leczenia wrócił do aktywności i doprowadził do włączenia swego oddziału do wojsk hetmana Jana Karola Chodkiewicza usiłujących uolnić oblężone w Moskwie oddziały. 3 sierpnia Aleksander, dowodząc Kozakami, odznaczył się w tych walkach, ale hetmanowi nie udało się przebić do Moskwy i 7 września zmuszony był podjąć decyzję o wycofaniu się spod Moskwy. Oddziały Zborowskiego pozostały w szeregach armii Chodkiewicza.

W niewoli Afrodyty

Po powrocie Zborowskiego z wojny moskiewskiej skończył się okres heroiczny w jego życiu, a rozpoczęła się epoka korzystania z uciech. Musimy pamiętać, że Aleksander wychowany był w surowej atmosferze kalwinizmu. Wpływy matki, katoliczki, Barbary z Jordanów nie były zapewne zbyt silne, gdyż umarła ona, gdy Aleksander miał najwyżej 14 lat, a jego posiadający wybitną osobowość ojciec jeszcze żył. Silne przeżycia wojenne oddziaływały zapewne na Aleksandra bardzo mocno i po okresie wielkiego ryzyka nastąpił czas poszukiwań przyjemnych przyjemności. Wśród szlachty polskiej w pierwszej połowie XVII w. było to równoznaczne z wyjazdem do Italii.

Dla Aleksandra Zborowskiego Włochy nie były krajem obcym. Swe uniwersyteckie nauki rozpoczął co prawda w Austrii,



w uczelni jezuickiej, gdzie odnajdujemy go w 1594 r., kiedy z Mikołajem Ossolińskim „był w szkołach w Widniu”, ale już rok później widzimy go w rejestrach „nacji polskiej” na uniwersytecie w Padwie. Najwyraźniej syn Samuela już w tym czasie porzucił kalwinizm i, idąc drogą matki, dokonał konwersji na katolicyzm. Do Włoch powrócił w 1617 r., nie tyle jako student, ile jako peregrynant. Odnosił swoje przybycie w archiwum nacji polskiej w Padwie, ale jego plany podróży nie były chyba związane z uniwersytetem. Tajemnicę pobytu Zborowskiego we Włoszech w latach 1617–1619 odkrywa Hieronim Morsztyn w swoim cyklu „Wiersze padewskie”. Nie ma wątpliwości, że bohater wojny z Moskwą w czasie pobytu w Italii cieszył się doznaniem całkowicie doczesnymi. Trzy wiersze ze zbioru Morsztyna nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Utwór „Do Aleksandra Zborowskiego z Padwie do Wenecji o jednorożcu” zawiera przejryste i frywolne aluzje do „klejnotu” Zborowskiego określanego mianem „jednorożca”. „Jakoż ci się tam w morskich dziedzinach powodzi/ Z tym zacnym jednorożcem i jak ci uchodzi/ Ten klejnot, Aleksandrze, który lub nie straci./ Przecie go tam tak dobrze Wenet nie zapłaci?/ Jeśliś mniemał, że to skarb i rzadki, i drogi,/ Wiedz pewnie, że w tym państwie nietrudno o rogi”. W innym wierszu pt. „Do Aleksandra Zborowskiego z Padwie do Rzymu” Morsztyn pisze: „[...] niech smutne znają twoję łaskę wdowy/ I upadłe ratunki biorą białęgłowy,/ Między którymi krew ci najbardziej hiszpańską/ Oddawam w litościwą miłość krześcijańską”. Dalej następuje wyliczenie kolejnych miast włoskich i ich erotycznych atrakcji, lecz ich opis

pominiemy ze względu na poprawność, której brakowało ludziom epoki baroku.

Żywot człowieka poczciwego

Po 1619 r. Aleksander Zborowski wrócił do Rzeczypospolitej i przeszedł kolejną spektakularną przemianę. W latach 20. i 30. XVII w. widzimy go jako odpowiedzialnego obywatela, obrońcę granic Rzeczypospolitej i hojnego donatora dobroczynnych i pobożnych fundacji. W czasie wojny chocimskiej (1620–1621) był zalecany przez Krzysztofa i Jerzego Zbarskich na dowódcę prewencyjnej wyprawy kozackiej przeciwko Tatarom krymskim. Podczas kampanii 1624 r. przeciwko najazdowi tatarskiemu dowodził własnym oddziałem i współdziałał z Jakubem Sobieskim. W roku 1632 był posłem sejmiku wiszeńskiego na elekcję. W tym czasie był już żonaty z Magdaleną Fredrówną, poślubioną po powrocie z Włoch, z którą miał troje dzieci: syna Adama oraz córki Konstancję i Annę. Pod koniec życia skupił się na pobożnych donacjach. W 1631 r. dokonał fundacji dla zakonu karmelitów trzewickich we Lwowie, dzięki której wybudowano drewniany kościół dedykowany Świętym Apostołom Filipowi i Jakubowi, Marcinowi Biskupowi oraz Apolonii i Barbarze. W testamentie utworzył przytułek dla niesprawnych żołnierzy i umieścił go we własnym domu we Lwowie. Jak napisano w dokumencie: „[donator] czyni fundację na żołnierze stare, którzy w potrzebach szwanki i okaleczenia ponosząc [...], nie mając modum vivendi, mizernie z nędzy, z niedostatku, tułając się, umierają”; a kto by się ważył temu kontradykować, takiego powoływałam na straszliwy sąd Boży”. Ostatni okres życia Aleksandra Zborowskiego sprawił, że odszedł z „doczesnego świata” z opinią prawego obywatela. Nie darmo przemawiający na ślubie córki Aleksandra oraz na jego własnym pogrzebie Jakub Sobieski słał go z całym przekonaniem: „Ciało miał szczupłe i dosyć niewielkie, jednak wielkich i wysokich cnót sztywne domocilium. Zmieściły się tam animusz i ludzkość, męstwo i pokora”. Wyrazem tej ostatniej była ostatnia wola Zborowskiego, w której zażyczył sobie, by jego pogrzeb był skromny: „żadnych ceremonii, bez trumny, tylko w delurce (opończycy) a kapciach w kilim obwinawszy biały”. Jego ojciec uczynił ze swej egzekucji spektakl rodowej dumy, Aleksander na swą ostatnią drogę przełożył nad pułkownikowską buławę i husarskie skrzydła – kaptcie i opończę. ■

EPIZOD LESZNEŃSKI W CZASIE POTOPU SZWEDZKIEGO I JEGO KONSEKWENCJE

GDYBY NIE ZAKOŃCZENIE, WYDARZENIA ROZGRYWAJĄCE SIĘ W LESZNIE WIOSNĄ 1656 r. BYŁYBY JEDNYM Z WIELU EPIZODÓW WOJNY ZE SZWECJĄ



**BARTOSZ
STARĘKOWSKI**

nych okoliczności zapisało się ono niekonięcznie chlubnymi zgłoskami. W latach późniejszych dodatkowo narosło wokół niego wiele nieporozumień i nierzetelnych informacji. Przyjrzyjmy się zatem całej sytuacji w określonym kontekście historycznym.

Zawiązanie konfederacji we Wrocławiu

15 marca 1656 r. przywódcy wielkopolskiej elity, mając dość okrutnej polityki okupacyjnej wojsk szwedzkich, dokonujących kolejnych nadużyć i grabieży,

postanowili zaprzysiąc akt konfederacji wymierzonej w szwedzkiego okupanta. Podpisano go poza ówczesnymi granicami państwa polskiego – na Śląsku we Wrocławiu. Konfederaci zaprzysięgli, że będą wszelkimi siłami zwalczać wojska Karola Gustawa oraz wszystkich tych, którzy od nich nie odstąpią i trwać będą w wiernopoddańczej postawie względem króla szwedzkiego.

Jeden z artykułów konfederacji mówił wprost, że temu, który nie odstąpi Szwedów: „... pro hoste Patria deklarujemy i dobra jego more hostili od nas zniesione bydz mają... albo od Króla JMci >>

Nie byłoby w nich niczego nadzwyczajnego, gdyby nie dramatyczny finał oblężenia miasta. Ot, jeden z wielu epizodów militarnych, w jakie obfitowały działania zbrojne w latach 1655–1656. Jednak w wyniku splotu wielu tragicz-

Widok miasta Leszna według ryciny z 1775 r. Widoczne fortyfikacje



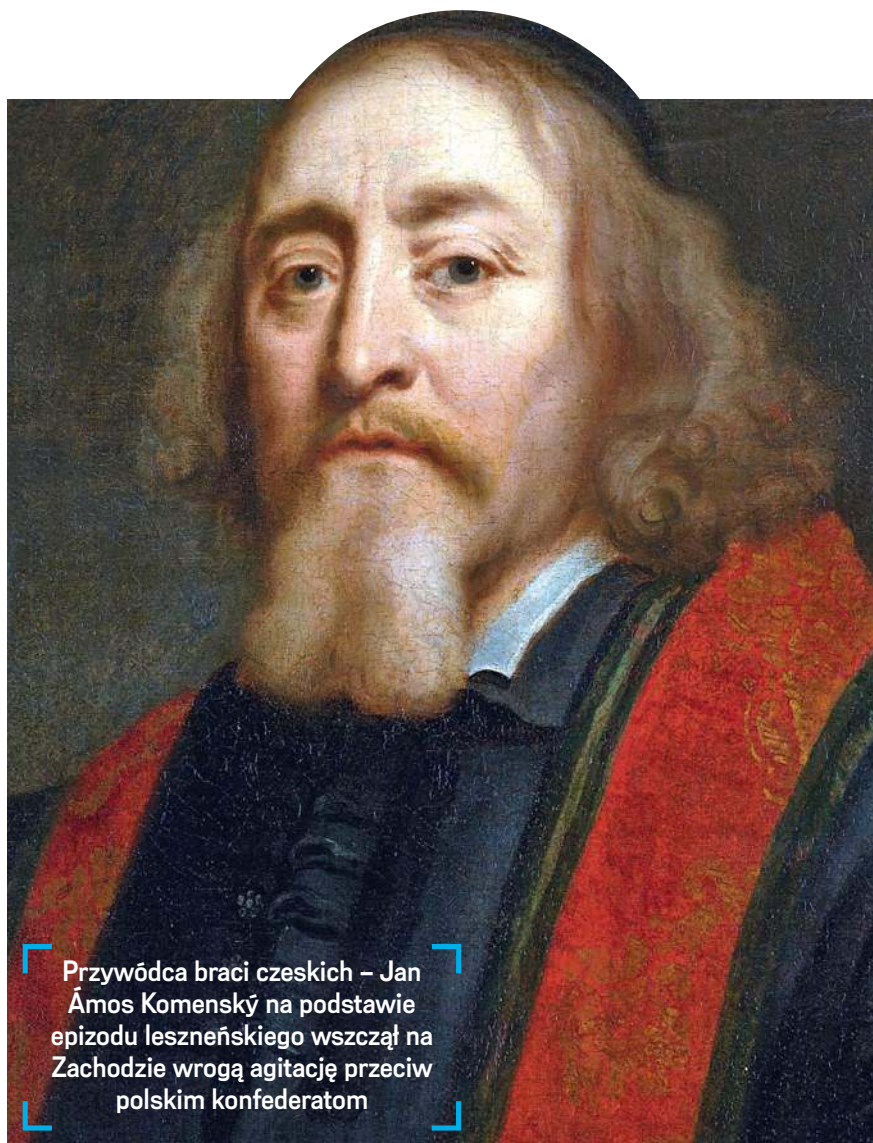
>> rozdawane bydź mają...”. Na naczelnego wodza wybrano wojewodę podlaskiego Jana Piotra Opalińskiego, którego zatwierdzenie miało się dokonać już po powrocie na teren Wielkopolski właściwej. Był to człowiek budzący ogromny szacunek nie tylko wśród okolicznej szlachty, ale i chłopstwa w znacznej liczbie zasilającego partyzanckie oddziały. Zadecydował on, że pierwsza większa operacja wojskowa konfederatów odbędzie się na terenie ziemi wschowskiej. Najbogatszym i najpotężniejszym ośrodkiem miejskim na terenie ziemi wschowskiej było Leszno – siedziba rodu Leszczyńskich. Wytypowano je zatem na pierwszy cel uderzenia.

Leszno – religijny tygiel rodu Leszczyńskich

Miasto Leszczyńskich było nie tylko prężnym ośrodkiem handlowym i rzemieślniczym, który swój szybki rozwój zawdzięczał m.in. sprowadzeniu tkaczy ze Śląska, lecz również silnym ośrodkiem edukacyjnym, religijnym i ważnym miejscem dla reformacji. Już na początku XVI w. osiedlili się tu Żydzi, później sprowadzono tu także braci czeskich. W mieście powstała synagoga, parafia luterska, a bracia czescy założyli tutaj własną szkołę wyższą. Przybywało wielu badaczy, teologów i literatów z zachodniej Europy, przez co miasto stało się tygłem, w którym mieszało się wiele kultur, wyznań i religii.

W latach 1636–1639 nastąpiła gwałtowna rozbudowa terenów miejskich oraz fortyfikacji obronnych. Poprawiono stan murów oraz otoczono miasto nowymi fortyfikacjami ziemno-bastionowymi. W ten sposób Leszno stało się jednym z ważniejszych ośrodków miejskich w regionie.

Właścicielem miasta był Bogusław Leszczyński, podskarbi wielki koronny. Jego udział we wczesnym etapie potopu budził niemałe kontrowersje, a to za sprawą mętnej polityki polegającej na próbie ułożenia swoich osobistych relacji ze Szwedami. Leszczyński jako starosta generalny, czyli urzędnik odpowiedzialny za bezpieczeństwo, miał obowiązek zadbać o organizację sił zbrojnych Wielkopolski właściwej i przygotowania jej do odparcia szwedzkiego najazdu. Tymczasem właściciel Leszna wymówił się od obowiązków nawrotem podagry, po czym uciekł na Śląsk. Stamtąd udał się do Szczecina



Przywódca braci czeskich – Jan Ámos Komenský na podstawie epizodu leszneńskiego wszczął na Zachodzie wrogą agitację przeciw polskim konfederatom

FOT. WWW.RUKSMUSEUM.NL

do Szwedów, z którymi prowadził rozmowy dotyczące uzyskania glejtu bezpieczeństwa na swoje dobra oraz zgody na zatrzymanie insygniów królewskich, nad którymi jako podskarbi sprawował pieczę. Dopiero wówczas, gdy jego rozmowy ze Szwedami nie przyniosły żadnych rezultatów, postanowił się przyłączyć do konfederatów.

Samego Leszczyńskiego w trakcie szturmów Opalińskiego nie było w mieście. Z jego ramienia władzę sprawował Jerzy Szlichtyng, prawa ręka Bogusława, zarazem człowiek zdolny i inteligentny. Jak napisał Wespazjan Kochowski: „... człek rozumny, acz Kalwin obrzydły...”. Szlichtyng był protestantem i bliżej mu było do luterskich Szwedów niż katolickich konfederatów, poza tym nie popierał działań zbrojnych prowadzonych przez partyzantów. Druga sprawa dotyczyła mieszczan. Jako przedstawiciele różnych wyznań mniej identyfikowali się oni z ruchem powstańczym, którego jednym z celów była obrona katolickich miejsc kultu przed Szwedami. Hasła obrony wiary bardzo silnie natomiast działały na chłopów, dla których parafia była nie tylko miejscem kultu religijnego, lecz również pewnym symbolem identyfikacji społecznej. Wspomnienie o tych kwestiach wydaje się oczywiste przy wyjaśnianiu okoliczności, które pojawiły się po zdobyciu miasta.

Wspomnienie o tych kwestiach wydaje się oczywiste przy wyjaśnianiu okoliczności, które pojawiły się po zdobyciu miasta.

Pierwsza próba zdobycia Leszna

Po fiasku pertraktacji ze Szwedami w Szczecinie Bogusław Leszczyński wysłał list do konfederatów, w którym udzielił zgody wojewodzie podlaskiemu na zajęcie Leszna i deklarował swoje pełne poparcie dla sprawy powstańczej. Po przekroczeniu granicy i przegrupowaniu sił Jan P. Opaliński 15 kwietnia 1656 r. podszedł wraz z wojskiem pod mury Leszna.

Zdobycie miasta jednak okazało się nie lada wyzwaniem.

Oprócz odnowionych obwarowań miejskich w Lesznie stacjonowała bardzo silna załoga licząca 300 doświadczonych i dobrze uzbrojonych szwedzkich żołnierzy. Komendantem z ramienia władz okupacyjnych oraz naczelnym dowódcą garnizonu był płk Lintorm. Znamienna była również reakcja mieszkańców miasta. Otóż przez agitację wewnętrzną prowadzoną przez Szlichtynga oraz braci czeskich większość z nich postanowiła wspomóc garnizon szwedzki w obronie Leszna.

Przed miastem wzniesiono dodatkowe szańce, wykorzystując stopy z drewna, za którymi ukryła się piechota z garnizonu miejskiego, uzbrojeni mieszczanie oraz armaty. Gdy tylko zauważono zbliżających się od południa konfederatów, obrońcy rozpoczęli ostrzał, a jazda szwedzka ruszyła do natarcia. Niewielka liczba rajtarów nie stanowiła większego wyzwania dla sił Opalińskiego, ale ostrzał piechoty i armat wyhamował nieco impet uderzenia. Ostatecznie udało się wojewodzie podlaskiemu odepchnąć obrońców w stronę miasta, a 17 kwietnia dał rozkaz do szturmu. Garnizon bronił się niezwykle zaciekłe, co spowodowało załamaniem się ataku i konieczność chwilowego wycofania się sił polskich. W trakcie szturmu padło ok. 60 konfederatów. Straty te wywołały wściekłość wśród Polaków, szczególnie ze względu na to, że duża część z nich padła z rąk mieszczan lesznieńskich. Ten akt wywołał poważne konsekwencje dzień później.

Sprytny fortel Jana Opalińskiego

Widząc, że kolejne szturmy mogą spowodować znaczne straty wśród sił partyzanckich, na co w chwili obecnej naczelny wódz nie mógł sobie pozwolić, Opaliński postanowił się posłużyć fortelem. W zamyśle tego planu było pozbawienie wsparcia mieszkańców dla garnizonu szwedzkiego. Jego realizacja nastąpiła poprzez przygotowanie listu, w którym informowano o zbliżających się posiłkach z ciężkim sprzętem oblężniczym oraz opisie surowych kar, które przewidziano dla tych, którzy będą tkwić w wierności wobec nieprzyjaciela. Dodatkowo, aby wzmocnić efekt oddziaływania listu, dołączono do niego pismo Bogusława Leszczyńskiego, w którym podskarbi

pisał o konieczności poddania miasta konfederatom i poparciu osobistym akcji partyzanckiej.

Skierowane listy odniosły piorunujący efekt, wywołując 18 kwietnia masową ucieczkę mieszkańców z miasta. Poruszenie dało sygnał dla sił Opalińskiego, które przystąpiły do kolejnego szturmu, zakończonego tym razem sukcesem. Atak jednak wymknął się spod kontroli. Po wybiciu załogi szwedzkiej konfederaci na niej nie poprzestali. Mszcząc się za poparcie Szwedów i zabicie towarzyszy, rozpoczęli atak na mieszkańców. Kochowski opisał to tak: „Szlachta, mszcząc się za śmierć swoich towarzyszy, dopędziła ich na drodze i wszystkich bez różnicy wycięła w pień. Następnie okoliczni chłopci, naszedłszy Leszno, całe je splądrowali, a potem, wzbogaceni znaczną zdobyczą, nie markując swawoli, podłożyli ogień i przestronne to miasteczko, niemal miasto doszczętnie spalili...”.

Spalenie Leszna było smutnym zwieńczeniem splotu nieszczęśliwych wydarzeń, które dokonały się podczas oblężenia. Stało się ono pewnym symbolem, które cieniem rzuci się na działalność partyzancką wojsk wielkopolskich. Opaliński odniósł sukces, było to jednak zwycięstwo okupione bardzo dużymi stratami wizerunkowymi dla całego ruchu oporu.

Ważkie następstwa

Z palącego się miasta udało się ewakuować Jerzemu Szlichtyngowi i płk. Lintormowi. Dotarli oni do Poznania, gdzie po złożeniu raportu komendantowi Antoniemu Weissmanowi rozpoczęli przygotowanie do kontrofensywy. Z Leszna wyostał się również przywódca braci czeskich – Jan Ámos Komenský. Podczas podróży do Niderlandów rozpoczął agitację przeciwko konfederatom, oskarżając ich o okrucieństwa, barbarzyństwo i eskalowanie przemocy. Wśród kłamliwych informacji była też ta mówiąca o sprofanowaniu i spaleniu ciała Krzysztofa Arciszewskiego. W obronie konfederatów często podawano argument, że Komenskiego nie było nawet w Lesznie, gdy doszło do spalenia miasta, a swoją relację oparł jedynie na wiadomościach z drugiej ręki. Poza tym jego zachowanie w obliczu najazdu jasno określiło, po której stronie stanął przywódca religijny. Po zdobyciu Wielkopolski przez Szwedów perorował na ich cześć, pisząc pochwalne panegiriki o Karolu Gustawie, oraz przekonywał mieszczan

do wyrzeknięcia się katolicyzmu i odejścia od Jana Kazimierza. W rzeczywistości jego kłamliwa i wyolbrzymiona propaganda była zemstą za spalenie się cennych księgozbiorów podczas pożaru miasta. Niemniej spowodowała ona pewne rysy na wizerunku za granicą.

Tymczasem strona polska postanowiła wykorzystać pogłoski o okolicznościach zdobycia miasta na swoją korzyść. Po kraju rozeszły się informacje o zwycięstwie konfederatów, sprytności naczelnego wodza oraz surowych karach wobec tych, co pozostają przy szwedzkim najeźdźcy. Zdobycie Leszna pochwalił sam król Jan Kazimierz, a wieść o wywarcu pomsty na zdrajcach, którzy przy udziale Szwedów zabili walczących o wolność towarzyszy broni, nie tylko nie zmniejszyła poparcia dla konfederatów, ale wyraźnie efektywnie zadziałała na chłopstwo, które jeszcze ochotniej wstępowało w ich szeregi.

„Zniesienie” Leszna stało się ambiwalentnym symbolem działań antyszwedzkich. Z jednej strony było to wydarzenie otoczone złą sławą przez wymordowanie części mieszkańców i spalenie miasta, z drugiej dało dodatkowe paliwo dla ruchu partyzanckiego. Symbolicznym epilogiem tego wydarzenia był list Eliasza Szlichtynga do jego brata Jerzego z 1657 r., w którym Eliasz jednoznacznie potępił postawę brata. Jego agitację na korzyść Szwedów nazwał haniebną, a upór brata wskazał jako jedną z przyczyn, które doprowadziły do spalenia miasta. W liście nakłaniał go do porzucenia najeźdźców i przyłączenia się do sprawy polskiej. W odpowiedzi dowiedział się, że Jerzy nie rozumie oporu Polaków, a kwestie walki o wyzwolenie państwa są mu zupełnie obce, podobnie zresztą jak obrona katolicyzmu.

Spalenie Leszna w żaden sposób nie przerwało akcji partyzanckiej, która rozgorzała ze zdwojoną siłą. Następnym celem konfederatów było odzyskanie Kościana, a tym samym kontroli nad całym powiatem kościańskim, który stał się głównym ośrodkiem sił ruchu oporu. Leszno zostało dość szybko odbudowane, a wypadki roku 1656 nie zaszkodziły mu aż tak bardzo.

Na zakończenie warto dodać, że podczas wojny pojawiają się różne zjawiska, nie zawsze idące w parze z etyką i moralnością. Nad naturą człowieka niekiedy trudno zapanować, a przenoszenie obrazu mentalności z czasu pokoju na czas wojny jest całkowicie bezsensowne. ■

STEFAN KENIEWICZ W KLASYCZNEJ MONOGRAFII POWSTANIA STYCZNIOWEGO NIE POZOSTAWIŁ WĄTPLIWOŚCI; NAJDŁUŻEJ Z WALCZĄCYCH, BO AŻ DO JESIENI 1864 r., UTRZYMAŁ SIĘ ODDZIAŁ KS. BRZÓSKI MIĘDZY ŁUKOWEM A STOCZKIEM, ZŁOŻONY Z MIESZCZAN, CHŁOPÓW I DROBNEJ SZLACHTY



Generał STANISŁAW BRZÓSKA



**PIOTR
ŚWIĄTECKI**

Po rozpadzie oddziału ks. Brzóska ukrywał się jeszcze kilka miesięcy z adiutantem Franciszkiem Wilczyńskim. Schwytni w kwietniu, zginęli na szubienicy w Sokołowie Podlaskim 23 maja 1865 r., straceni w publicznej egzekucji na rynku, w dzień targowy, w obecności kobiet i dzieci. Książd miał w chwili śmierci zaledwie 33 lata. W tradycji, zwłaszcza w tradycji patriotycznego Podlasia, pozostał jako ostatni niezłomny, walczący do końca, choć świadomy daremności swej ofiary. 10 miesięcy wcześniej 5 sierpnia 1864 r. na stokach warszawskiej Cytadeli zginął na szubienicy Romuald Traugutt, ostatni dyktator powstania styczniowego.

Młodość i nauka

Stanisław Brzóska był wychowany w podlaskiej, szlacheckiej niebogatej rodzinie, tak patriotycznej, jak to tylko drobna szlachta umiała być patriotyczna. W przeszłości jeden z Brzósów miał być nawet kasztelanem wiskim.

Rodziny przyszłego generała nie było stać na przeprowadzenie urzędowego potwierdzenia szlachectwa, należeli więc do tzw. szlachty niewylegitymowanej, traktowanej przez rosyjskiego zaborcę na równi z chłopstwem, a ze względu na przywiązanie do wolności i polskości – traktowanej też podejrzliwie. Ród Brzósów osiadł w ziemi nurskiej i różańskiej w XV w. Ojciec Stanisława, Marcei, opuścił gospodarstwo rodzinne w Brzósce Tatarach i najpierw sam, potem z rosnącą szybko rodziną (Brzósowie mieli sześcioro dzieci), tułał się za chlebem głównie w rejonie Białej Podlaskiej aż do śmierci w wieku 36 lat. Wdowa z sierotami osiadła na stałe w Sycynie obok Białej i prowadziła tam karczmę.

Ochrzczony na cześć biskupa ze Szczepanowa, patrona Polski pochowanego na krakowskiej Skałce, Stanisław Brzóska skończył szkołę powiatową w Białej, potem znalazł się w siedleckim gimnazjum i prawdopodobnie następne ponad dwa lata spędził na uniwersytecie w Kijowie (była to najbliższa wyższa uczelnia po likwidacji uniwersytetów w Warszawie i Wilnie). W wieku 19 lat wstąpił do seminarium w Janowie Podlaskim jako jeden z 11 alumnów, z których do końca nauki dotrwało tylko sześciu. Łącznie, na czteroletnim kursie studiowało zwykle w tym seminarium ok. 25 alumnów, grono pe-

dagogiczne składało się zaś z zaledwie czterech profesorów.

Ks. Brzóska został wyświęcony 25 lipca 1858 r., w dniu św. Jakuba, w Janowie, mszę prymicyjną odprowadził zaś u św. Anny w Białej. Święceń kapłańskich udzielił mu biskup podlaski, kapucyn Beniamin Szymański.

Duszpasterz i konspirator

Został wikarym w Sokołowie u św. Michała, potem w parafii w Łukowie. Jak wielu młodych księży, zwłaszcza na Podlasiu, angażował się w ruch narodowy po stronie czerwonych. Za antymoskiewską wypowiedź z ambony wygłoszoną 10 listopada 1861 r. skazano go na rok więzienia. Wypowiedź owa, ostra i karcąca, była reakcją na niestosowne zachowanie kilku oficerów kostromskiego pułku piechoty, stacjonującego wówczas w Łukowie, którzy w trakcie mszy św. wtargnęli do kościoła. Niestety był to czas obowiązywania w Królestwie ustawodawstwa stanu wojennego i stronnictwą decyzję podjęty władze wojskowe. Ks. Stanisław odsiedział w twierdzy zamojskiej sześć miesięcy i został przedterminowo zwolniony ze względu na znaczne pogorszenie stanu zdrowia.

Jesienią 1862 r. był już konspiracyjnym namiestnikiem Łukowa. Uznano tym sposobem patriotyczną żarliwość mło-

dego księdza. Był to niestety też dowód słabości kadrowej konspiracji. Brzóska naiwnie próbował przekonać do poparcia nadchodzącego wybuchu oficerów łukowskiego garnizonu. W trakcie towarzyskich spotkań Rosjanie zdawali się czynić niejasne obietnice wsparcia lub chociażby bierności, lecz później rzeczywistość zweryfikowała te naiwne nadzieje.

Kapelan powstańczy

W nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r. wybuchło powstanie styczniowe. Ks. Brzóska poprowadził do walki łukowskich mieszczan. Jednocześnie atak na liczne małe garnizony zaplanowany przez Rząd Narodowy się nie powiódł. Nie udało się zająć żadnego z większych miast zaboru rosyjskiego. Nawet doświadczony sztabowiec carskiej armii Zygmunt Padlewski nie zdobył Płocka, na co liczył Rząd Narodowy, który miał się tam ujawnić. Ks. Brzóska dowodził bezskutecznym atakiem na swój parafialny Łuków. Na nocną zbiórkę przybyło niespełna 350 spiskowców. Z grupą 40 powstańców ksiądz uderzył na dwie kompanie kostromskiego pułku piechoty. Patriotyczny zapał nie wyrównał braku elementarnej wiedzy wojskowej. W mieście było ponad 500 rosyjskich żołnierzy, w tych okolicznościach wielkim sukcesem było zdobycie – w trakcie przegranej w rezultacie bitwy – 100 rosyjskich sztucerów z amunicją.

Po bitwie ks. Brzóska nie mógł już wrócić do cywilnego legalnego życia. Jego rolę w konspiracji i ataku na Łuków Rosjanie już odkryli. Ksiądz Stanisław Brzóska został kapłanem u Walentego Lewandowskiego, wojskowego naczelnika województwa podlaskiego, i kolejne dni towarzyszył jego partii m.in. w starciach pod Siemiatyczami i Woskresznicami.

Pod Sosnowicą lub pod Staninem – sprawa nie jest przesądzona – w połowie marca 1863 r. ksiądz został ranny w nogę, leczyl się potem dwa miesiące w łukowskim szpitalu. W połowie czerwca znalazł się w partii Marcina Borelowskiego „Lelewela”, po jego rozbiciu zaś pod Różą dołączył do Karola Krysińskiego i z nim razem brał udział, w ramach dywizji Kruka (Michała Heydenreicha) w sławnej bitwie pod Żyżynem 8 sierpnia 1863 r. W bitwie tej, stoczonej na drodze warszawsko-lubelskiej, zdobyto ok. 400 karabinów i przejęto 140 tys. rubli. Było to chyba najszerzej relacjonowane w prasie

europejskiej starcie polskich powstańców z Rosjanami.

Jesienią 1863 r. ks. Brzóska zapadł na tyfus. Znów wrócił do łukowskiego szpitala. Wyzdrowiał, wrócił do powstania. Wiosną 1864 r. po wyjeździe Krysińskiego za granicę Brzóska stworzył własny oddział.

Generał Brzeziński

Był już wówczas, mianowanym przez Rząd Narodowy, naczelnym kapłanem województwa podlaskiego; powoli przyzwyczajono się wiązać z tym honorowym stanowiskiem stopień generalski. Ksiądz zaczął się podpisywać jako „generał Brzeziński”, co pasowało i do jego nazwiska, i do głównej kwatery oddziału – w lesie k. Brzozowicy. Zebrał 40-osobowy oddział kawalerii, dobrze wyposażony także w broń strzelecką. Oddział krążył po Podlasiu i wschodnim Mazowszu, od Węgrowa i Sokołowa do Łukowa, ścierając się w drobnych potyczkach z Rosjanami. Część powstańców skorzystała z amnestii w maju 1864 r. Z Brzóska pozostało kilkunastu straceńców, m.in. dezertarów z armii carskiej, których po schwytaniu przez Rosjan czekała śmierć.

W końcu 1864 r. po ukazie uwłaszczeniowym oddział się rozpięchł i od

początku 1865 r. ksiądz ukrywał się samowtór z adiutantem Franciszkiem Wilczyńskim. Mieszkali w ziemiankach (w miejscu jednej z nich, w puszczy jodłowej nadleśnictwa łukowskiego w 1930 r. stanął pomnik), potem w domu sołtysa Ksawerego Bielińskiego w Krasnodębach – Sypytkach p. Sokołowem, w ukrytym pomieszczeniu między podwójnymi ścianami, w pierwszej parafii wikarego Brzóska z 1857 r. Ich miejsce pobytu ujawniła Rosjanom torturowana kurierka, Antonina Konarzewska. Rosjanie otoczyli wieś 29 kwietnia 1865 r. Obaj próbowali jeszcze – ostrzeliwując się – pieszo zbiec do lasu; ksiądz – ranny w rękę – upadł, adiutant powrócił do niego i wtedy zostali ujęci przez Kozaków. Wyrok kary śmierci zapadł 19 maja. Rosjanie próbowali skłonić diecezjalnego biskupa, Beniamina Szymańskiego, by pozbawił ks. Brzóske kapłaństwa. Biskup, który udzielał kilka lat wcześniej Brzósce święceń, nie ugiął się i nie zdjął sakry.

23 maja 1865 r. na sokołowskim rynku powieszono gen. ks. Brzóske i jego adiutanta.

Epilog

W maju 2008 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie ks. gen. orderem Orła Białego. Uroczystość z udziałem głowy państwa odbyła się pod pomnikiem kapłana w Sokołowie Podlaskim.

W świadomości publicznej ks. Stanisław Brzóska był od chwili męczeńskiej śmierci postrzegany podobnie do Romualda Traugutta i Adama Chmielowskiego. Ale już w rosyjskiej publicystyce czasu powstania przypisywano mu zbrodnie żandarmów narodowych i naruszenie prawa kanonicznego zabraniającego duchownym udziału w walce. Później czyniono z duchownego lewicową ofiarę reakcyjnej hierarchii; rzekomo bp Szymański miał przekląć ks. Brzóske. Ks. Stanisław Brzóska był, jak wielu mu podobnych młodych księży katolickich w zaborze rosyjskim, gorącym patriotą. Zaczął walkę jak inni, prowadził najdłużej, choć umierając, niewątpliwie zdawał sobie sprawę z daremności wysiłków i wielkich kosztów powstania poniesionych przez naród. Patriotą był również ks. bp Beniamin Szymański, starający się wspierać ks. Brzóske w miarę swoich skromnych możliwości, choć był przekonany o bezsensowności walki zbrojnej. Obaj zasługują na nasz szacunek.



Pomnik
ku czci ks.
Stanisława
Brzóska,
Franciszka
Wilczyńskiego
i powstańców
poległych
na Podlasiu,
ok. 1930 r.

FOT. NAC

SPRAWA POLSKA W LISTACH ŻOŁNIERZY CHŁOPÓW PODCZAS I WOJNY ŚWIATOWEJ

I WOJNA ŚWIATOWA NAZNACZYŁA ŻYCIE 2,5 MLN POLAKÓW, KTÓRZY WZIĘLI W NIEJ UDZIAŁ, GŁÓWNIEM JAKO ŻOŁNIERZE ZABORCZYCH ARMII. GALICYJSCY CHŁOPI W MUNDURACH AUSTRO-WĘGIERSKICH TRAFIALI MASOWO DO OBOZÓW W GŁĘBI CARSKIEJ ROSJI, CHŁOPI Z KRÓLESTWA POLSKIEGO SZLI ZAŚ DO HABSBUERSKIEJ NIEWOLI. W LISTACH DO DOMÓW PISALI O SWOJEJ TRUDNEJ CODZIENNOŚCI. JEDNAK TYM, CO SZCZEGÓLNIE INTERESOWAŁO CENZORÓW POCZTY JENIECKIEJ, BYŁY WZMIANKI O NIEPODLEGŁEJ POLSCE



Chłopi z Sieradza



**PAWEŁ
BRUDEK**

W 1921 r. ok. 65 proc. społeczeństwa odrodzonej Rzeczypospolitej stanowili chłopi. Przeważająca ich liczba w czasie I wojny światowej służyła w armiach mo-

carstw zaborczych. Prof. Jan Molenda, historyk specjalizujący się w dziejach ruchu ludowego i I wojny światowej, współwydawca i autor koncepcji edycji źródłowej „Wielka Wojna w polskiej korespondencji zatrzymanej przez cenzurę austro-węgierską. Materiały polskich grup cenzury z lat 1914–1918” (współ z Jerzym Pająkiem i Pawłem Brudkiem, tomy I–V, Warszawa 2018), zwraca uwagę, że chłopów najrzadziej zwalniano ze służby wojskowej, dlatego do samego końca konfliktu tkwili na fron-

tach i w obozach jenieckich. Z niewoli pisali listy, które odzwierciedlały poziom nauczania, jaki ich autorzy otrzymali w szkołach elementarnych. Cechowała je duża liczba błędów ortograficznych i obecność zwrotów gwarowych. Na początku 1915 r. w rozbudowanym systemie cenzury korespondencji jenieckiej, istniejącym oficjalnie w ramach austriackiego i węgierskiego Czerwonego Krzyża, utworzono Polską Grupę Cenzury (Polnische Zensurgruppe). Tak jak pozostałe grupy cenzorskie zajmujące się prze-

Chłopki budują drogę dla wojsk
niemieckich między Kohnarami
a Warką na północ od Pilicy



syłkami w innych językach, komórka ta miała przejmować, czytać, a następnie analizować w szczegółowych sprawozdaniach dla władz centralnych (na czele z Ministerstwem Wojny w Wiedniu) dziesiątki tysięcy listów w języku polskim. Cenzorzy mieli wychwytywać poglądy piszących, obserwując tendencje powtarzalne, pojawiające się najczęściej w korespondencjach. Tylko takie wypowiedzi były ciekawe i dzięki nim listy stawały się bogatym źródłem informacji dla cesarsko-królewskiego wywiadu. Dziś listy te, w ogromnej liczbie przechowywane w Archiwum Wojny w Wiedniu, stanowią dla historyków bezcenny materiał, pozwalający dostrzec zmiany w ówczesnej świadomości chłopów jeńców.

Chłopi galicyjscy a rzeczywistość wojenna 1915–1916

W lutym 1916 r. mjr Żydló, naczelnik Polskiej Grupy Cenzury, na podstawie przechwyconych listów ludności Galicji stwierdził, że okazuje ona pełny spokój i wytrwałość. Chłop galicyjski wydawał mu się człowiekiem, któremu wystarczyło zapewnić chleb i dach nad głową, by podtrzymać jego zdolność do pracy. Chłopi, często przez ziemian postrzegani jako bierni i apatyczni, dokonywali cudów, by zadbać o swoje rodziny i gospodarstwa; jednocześnie wieś cierpiała wskutek wojennych plag, demoralizacji, bandytyzmu. Nastroje Polaków w Galicji i Austrii były zdeterminowane pra-

gnieniem nadejścia pokoju i ustania wszystkich nieszczęść przyniesionych przez wojnę. Polscy chłopci z austriackiego i rosyjskiego zaboru nieco inaczej postrzegali otaczającą rzeczywistość. Jednak jedni i drudzy życzyli swoim zwycięstwa, traktując ich porażki jako chwilowe; w ich wojskach służyli przecież ojcowie, synowie i bracia, więc to byli nasi.

Głęboka religijność wzmacniała odporność na trudną codzienność, jak w lutym 1916 r. Natalia Wala pisała do swojego męża w obozie w Charkowie: „Dnia 29 lutego 1916. Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystos; Kochany Mężu pisze do ciebie pare słów i dowiaduje się o twojem miłem zdrowiu i powrocie. My s łaski Pana Boga są wszyscy zdrowe, terasci pisze od długiego czasu mam dwie krowy i konia i pieniądze. Mam bon dostała za

ciebie i pisze ci że Jasiek był na urlopie tera. Pisze ci że Miś jest wenzieniem [więzieniem]; Wyrosterańko i Jędrzek poszedł do wojska w czyrwco, antek gajewski poszedł po nowym roku i jakże kartkę dostaniesz to napisz zdrowy jesteś i w jakiej robocie i czy ci pieniędzy nietrza to bym ci dośłała [...]” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 3, s. 276).

Galicja jako ojczyzna

Tych chłopów, których Rosjanie wzięli do niewoli, czekała niekończąca się wyprawa do obozów przeznaczenia. Próbuując psychicznie wytrzymać tę sytuację, zaczęli postrzegać swoje nieszczęście jako ofiarę za odrodzenie niepodległej Polski. Ta jednak była odległym marzeniem, w przeciwieństwie do Galicji jako domu, do którego tęskniono, wierząc, że zwycięstwo państw centralnych pozwoli na powrót. Jeniec Franciszek Malek na początku 1917 r. napisał z Rżewa wiersz o Galicji:

„...Myślę liścik pisać, Serce mi dyktuje,
Do ukochanej strony naszej Galicye, Bo
moje serce żale oplakuje.

Galicja wielka i wspaniała Mozes o nas
zapomniała,

Bo nas odwieźli w cudze kraine O! Ga-
licyo za tobą mało nie zgine. [...]” (cyt. za:
„Wielka Wojna w polskiej koresponden-
cji...”, t. 4, s. 117–118).

Reakcje na akt 5 listopada 1916

5 listopada 1916 r. sprzymierzeni monarchowie cesarz niemiecki Wilhelm II i austro-węgierski Franciszek Józef I wydali proklamację zapowiadającą utworzenie w bliskiej przyszłości niepodległego państwa polskiego. Ten akt zarówno >>



Chłopskie kobiety
i dziewczęta z Sieradza



Wieś Rogoźnica,
okręg Radzyń

co wynika z listu jeńca Franciszka Zawadzkiego: „[...] donoszę wam że jestem Włagrach i Nawęgrach i jest dożo Polaków i Zapiisał się Wlegijony i Zapiisał się Giza Antoni i jest zapisane do 6 tysięcy Zapisane Wlegiony bo prosto Przymosają Zyby się Zapisywać Zac nam oddali Polske Amy niechcemy Zanią Wojować i mieli nas Póścić dodomó Ale besto nas strzymali i dajo jes[ć] kiepsko Żeby się pisać koniecznie i Cywile i Księdzo i biskóp i ofi cera polskie chodzą i prosto łapią jak

>> znękana wojną ludność w Galicji, jak i jeńcy uznali za zwiastun rychłego nadejścia pokoju i odrodzenia Polski. Cenzura zaobserwowała oznaki radości, ale i postawę wyczekującą. Jak zauważa prof. Marek Przeniosło, badacz historii wsi w okresie I wojny światowej, dla chłopów ważny był niepodległy naród, rządzony przez własnego króla, trudne do wyobrażenia było jednak własne państwo. Niejasne intencje Niemiec i Austrii, werbujących do „polnische Wehrmacht”, wyhamowywały entuzjazm. Jednocześnie w listopadzie 1916 żegnano zmarłego cesarza Franciszka Józefa, uważanego za monarchę „dobrego, łagodnego i przychylnego”. Jego dobremu wspomnieniu towarzyszyła wiara, że nowy monarcha Karol zawrze wreszcie pokój.

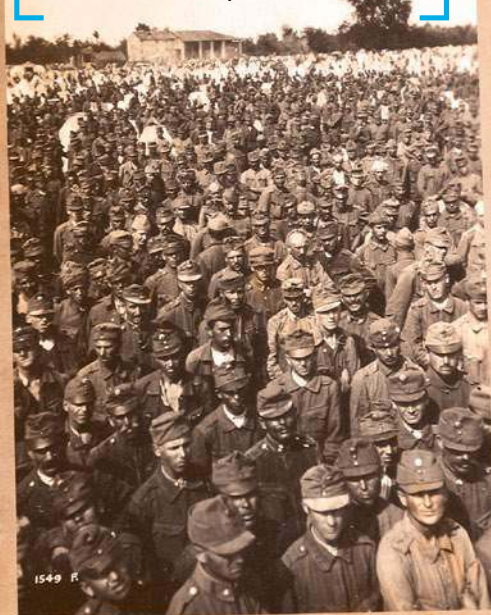
Przymusowy werbunek do Legionów w 1917 r.

Chłopskie listy ujawniały wielką niepewność wśród jeńców, potęgowaną nieufnością w szczerość działań Austrii. Według Marka Przeniosły na wsi w Królestwie wszelki ruch narodowy, więc także Legiony, postrzegany był jako „ekspozytura niemiecka lub szlachecka”, która doprowadzi do powrotu pańszczyzny. W styczniu 1917 r. jeńiec z armii rosyjskiej Franciszek Zawadzki w obozie Csoth bei Papa na Węgrzech pisał o przymusowym werbowaniu do Legionów, by walczyć za niepodległe państwo polskie. Chłopi bardziej pragnęli wrócić do domów, uważając całą sprawę za austriackie machinacje,



Wieś Skierniewka
pod Skierniewicami

Jeńcy austro-węgierscy w niewoli włoskiej po bitwie pod Vittorio Veneto, 1918 r.



Nawetkę jest polaków do 10b tysięcy i te łódzie to jós dostają pomiesania Zmysłów bo niewiedzą jak Zyciu narazić [?] się Zgłodo i chłodo Ale ja się nie Zapiisałem i nie myślę się pisać bo niemam Zaco Wojować i Aóstrii i Napiście mi cy sproś[b?] poscili polaków dodomo10 i napiscie mi cy Storcyi poscili polaków i cy Uwas robili jakie spisanie namnie cynie i cy wam mowili Ze mnie poscą dodomo cy nie [...]” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 4, s. 15–16).

W. Szczepanik ze wsi Dąbrowica w Kraśniku (Królestwo Polskie) pisał w styczniu 1917 r. do swojego krewnego Grzegorza Szczepanika w Polskim Obozie Wojskowym w Csoth z wyrzutem, że ten zapisał się do Legionów; za to całej rodzinie mogło grozić zesłanie na Syberię, gdy powrócą Rosjanie.

Sympatie do Rosjan po rewolucji lutowej 1917 r.

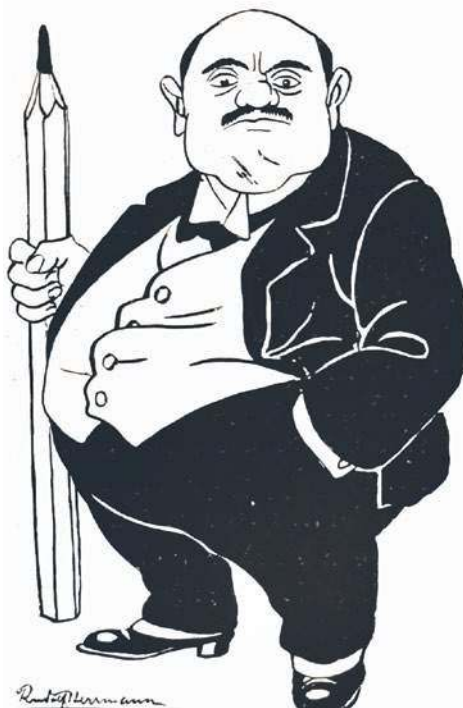
W lutym 1917 r. z Włoch jeniec Władysław Piotrowski listownie tłumaczył rodzicom, że prawdziwymi przyjaciółmi Polaków byli Rosjanie, a nie Austriacy trzymający z Niemcami: „[...] o końcu Wojny tu jeszcze nic się niemyśli jak tylko się zanosi jeszcze na większą, długą Wojnę, że Bog wie jak co się jeszcze może stać bo ci których my nazywamy nieprzyjaciółkami to oni dla nas są przyjaciółkami i dobrze nam życzą a pszeważnie dla całego narodu Polskiego ażeby on nie został pod zaborem niemieckim bo tu się wie otym wszystkim może lepiej jak tam co niemcy już tak robią co hcą ztym biednym narodem Polskim już w terasznieszym czasie robią wywłaszczanie Polaków że ziemi Polski [...]” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 4, s. 18).

Polscy jeńcy w Rosji z wielką nadzieją zareagowali na rewolucję lutową i manifest w sprawie uznania niepodległej Polski, wydany przez nowy rosyjski Rząd Tymczasowy 30 marca 1917 r. Zarazem nastąpił wzrost sympatii jeńców do rosyjskiej ludności. Zaczęto wyobrażać sobie, że o wojnie decydować będą teraz narody zamiast monarchów. Rosjan nazywano „wolnymi braćmi”, jak wyrażał to jeniec wojenny A. Gorzelańczyk, piszący 20 kwietnia 1917 r. z obozu w Kazaniu do żony w Krośnie w Galicji: „[...] Dla nas Polaków nie ma już zniechędźzonych Moskali tylko republikański naród, który wszystkim narodom przyznaje wolność i niezawisłość, tak więc i my Polacy możemy zawołać pełną piersią, niech żyje zjednoczona i niepodległa Polska...” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 4, s. 206).

Wielkanoc 1917 r. przyniosła uroczyste nabożeństwa białegalne za niepodległość Polski, które odbywały się w polskich kościołach, wypełnionych przez polskich żołnierzy byłej carskiej armii. Na patriotycznych wiecach pojawiały się wypowiedzi podważające sens pozostawania w Legionach pod kontrolą państw centralnych. Im silniejsze były nadzieje budzone przez Rosję, tym większe oburzenie wywoływała rabunkowa polityka okupacyjna Niemiec i Austrii na ziemiach polskich.

Małżeństwa jeńców

Z listów cenzorzy dowiadawali się o niecodziennych zachowaniach chłopskich żołnierzy, które ujawniła wojna, takich jak



Cenzor – karykatura austriacka z okresu I wojny światowej

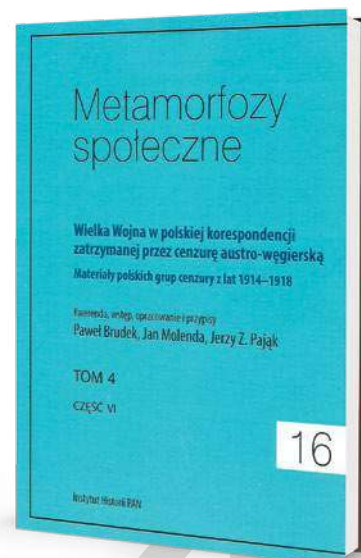
częste przypadki zawierania małżeństw przez jeńców z Rosjankami, celem uzyskania większych praw. W sierpniu 1917 r. z Mińska pisał o tym wprost jeniec wojenny Wojciech Szydło: „Dali donoszę że tu w Rosji dużo się rzenia naszymi jęcym i dostają zaraz po weselu Wolność i swobodę od rządowej pracy. Księżka im dają Śluby bez dania racyi jak tylko ma dwóch Światkuf to zaraz dostanie Ślub, tutaj w Mińsku co Niedziela to jest dwa i trzy Śluby jecuw Austriackich [...] pracują po dworach i z dworskimi dziewczkami się rzenia, a przeważnie się rzenia Rumuny Serby i Czechy no i inne narodowości, ot tej doby jak w Rosji Wolność powstała. [...]” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 4, s. 343–344). Jeńcy w listach niekiedy wychwalali wręcz warunki życia na Syberii, wyrażając swoją wolę pozostania tam po wojnie.

Pokój brzeski 1918

9 lutego 1918 r. państwa centralne zawarły z Ukrainą traktat pokojowy, w myśl którego Ukraina obejmowała części polskiego terytorium. Wzmocnienie Ukraińców w Austrii i rozbiór terytorium polskiego państwa w rozumieniu aktu 5 listopada wywołały wybuch skrajnie antyaustriackich nastrojów, których ostrość całkowiec zaskoczyła Austriaków. Pojawiły się również obawy, że zwycięstwo Niemiec

w wojnie może przekreślić szanse na odbudowę niepodległej Polski; zarazem jednak ze wszystkich sił wyrażano pragnienie pokoju, jakkolwiek by on był. Polacy nie chcieli już jednak ufać państwu centralnym i nie zamierzali już pozwolić na to, by ktokolwiek ich oszukał. 1 marca 1918 r. Jan Szostak z wsi Olesin w guberni lubelskiej pisał do brata jeńca Stanisława Szostaka w Juce w Czechach o pokoju brzeskim: „Kochany Braciszku pisałeś opokojo że zawarty pokuj tyn pokuj tonie dobry dlanas to jest wielka kara bonam Juszc czwarty ras nasze ojczyznę rozbyrajo ach boże cosie dzieje co byńdzie totylyko Pan Jezus wicobińdzie dalej bonas teras tylko bunta ludze się buntujo takie manichwestacje chodzo grómadzo się narody i kszyczo rozmajte polityki żołnierze austriacke rozganiajo bagnetami ale ludzie nie bojo się tylko jdo nabagnety dużo ofi ceruw Austriacka dodemisyj się podał i przechodził donarodu i jdo razem a Stych banduro ludzi dużo i zabito tutyńszych naszych. polakuw ale i dużo i austriakuw zabili polacy dzielnie się bronio oniemcuw bo niemcy naszych polakuw bardzo Niemcy zabijajo naszymi ryceży polskich dajto boże do tego dojść doczego dożem A żeby Matka boska dopomogła inam.” (cyt. za: „Wielka Wojna w polskiej korespondencji...”, t. 4, s. 486–487).

Listy chłopskich jeńców z okresu I wojny światowej pokazują zachodzące w różnym tempie i natężeniu zmiany w ich stosunku do idei niepodległej Polski. Chłopi, jeszcze w 1914 r. piętnowani niekiedy jako bierni egoiści, w 1918 r. stawali się już świadomymi obywatelami, gotowymi do najwyższych poświęceń dla Polski.





Baku, pole naftowe z szymbami wiertniczymi i rafinerią. 1903 r.

GDYBY WITOLD ZGLENICKI BYŁ AMERYKANINEM, Z PEWNOŚCIĄ POWSTAWAŁYBY O NIM FILMY I SERIALE. JAKO POLAK – W POPRZEDNIEJ EPOCE UZNANY ZA KAPITALISTĘ – ZOSTAŁ SKAZANY NA ZAPOMNIENIE. NIESTETY W NOWEJ RZECZYWISTOŚCI ZMIENIŁO SIĘ NIEWIELE

POLSKI NAFCIARZ NA DZIKIM WSCHODZIE



**MIECZYŚŁAW
T. STARKOWSKI**

ciężność. Ale również teraz nie w pełni doceniamy jego geniusz.

Kult wiedzy

Urodził się w Wargawie Starej, parafia Witonina, na północnym Mazowszu. Według metryki urodzenia „[...] Działo się 21 lipca 1850 roku, stawił się Wielmożny Konstanty Zglenicki dziedzic wsi Wargawy Starej i tamże zamieszkały lat 36 [...], pokazał nam dziecię płci męskiej które się urodziło tu w Wargawie dnia szóstego stycznia roku bieżącego o godzinie siódmej wieczorem z jego małżonki Weroniki z Załusków l. 34, dziecięciu temu na chrzcie świętym odbytym w dniu dzisiejszym nadane zostały imiona Witold Leon Julian, a rodzicami jego chrzestnymi byli Wielmożny Jan Załuski i Julianna Sąchocka, świadkowie pisać nie umieją” – czytamy na stronie www.witonina.com.pl.

Pochodził z rodziny drobnoszlacheckiej, herbu Prus II. Został wychowany w duchu patriotycznym i katolickim.

FOT. POLONA

Witold Leon Julian Zglenicki był człowiekiem niezwykle utalentowanym, a jednocześnie pracowitym. Gdy coś

postanowił, wytrwale dążył do postawionego sobie celu. Dokonał rzeczy niesamowitych, jednak przyszło mu żyć w trudnych czasach, pod władzą cara. Współcześni go nie rozumieli, bo zdecydowanie wyrastał ponad prze-

Świadczy o tym całe jego późniejsze życie. Wielokrotnie stawał przed ogromnymi wyzwaniem, ale konsekwentnie trzymał się swoich zasad.

Odebrał staranne wykształcenie w domu, a później – w latach 1859–1866 – w Gimnazjum Gubernialnym w Płocku (to jedna z najstarszych polskich szkół, od stu lat znana jako Małachowianka). Od najmłodszych lat był dzieckiem pilnym, zdyscyplinowanym. Dlatego osiągał bardzo dobre wyniki w nauce.

Świetnie radził sobie również (w latach 1866–1870) na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Szkoły Głównej Warszawskiej (następczyni i poprzedniczce Uniwersytetu Warszawskiego). Należał do wyróżniających się studentów. Ten okres ukształtował go jako inteligenta o szerokich horyzontach. W wiedzy widział warunek postępu, a także dochodzenia do wolności. Pod wpływem aury intelektualnej panującej w Warszawie przekonał się do pozytywizmu. Stał się apologetą pracy organicznej i tej idei pozostał wierny do końca życia.

W czasie gdy studiował w Warszawie, siedzibę w Wargawie Starej jego rodzice przekazali Antoniemu Skotnickiemu (przyrodniemu bratu Witolda). Sami przenieśli się do nowego majątku w okolicach Dębego nad Narwią (obecnie gmina Serock). Liczył on 20 włók, czyli ok. 336 hektarów. Chętnie spędzali tam swój wolny czas zarówno Witold, jak i jego starszy brat Bolesław. Ten drugi po jakimś czasie przejął zarządzanie majątkiem.

Z pierwszą lokatą

Dzięki pomocy brata i jego żony Olimpii Witold mógł podjąć drugie studia w Instytucie Górniczym w Petersburgu (w latach 1870–1875). Ta decyzja zaważyła na całym jego późniejszym życiu. Pozostając świetnym studentem, zwrócił na siebie uwagę m.in. słynnego Dymitra Mendelejewa, który zaproponował mu nawet pracę na uczelni. Jednak młody Polak właśnie pod wpływem profesora stał się pasjonatem geologii, a także przemysłu rafineryjnego (wydobycia oraz przetwórstwa ropy naftowej). Już wtedy nabrał przekonania, że ten surowiec znacząco wpłynie na dalszy rozwój światowej gospodarki. Ukończył studia z pierwszą lokatą, co pozwoliło mu na samodzielny wybór miejsca pracy.

Witold wybrał Okręg Wschodni Starej Rosji. W latach 1876–1877 studiował w Wydziale Górniczym Uniwersytetu Wschodniego w Petersburgu. Dzięki pomocy brata i jego żony Olimpii Witold mógł podjąć drugie studia w Instytucie Górniczym w Petersburgu (w latach 1870–1875).

wie jako świetny, sumienny pracownik. Szybko awansował. W 1876 r. mianowano go kierownikiem Zakładów Hutniczych w Mroczkowie. Dwa lata później skończył z okazji i kupił na własność dwie kuźnie. Nie było to zabronione, ale wzbudziło zawiść otoczenia. Inżyniera zawieszono, a potem zwolniono z państwowej posady.

Dzięki swemu uporowi i konsekwencji po kilku latach wywalczył zmianę tej decyzji. W 1890 r. powierzono mu pełnienie obowiązków pełnomocnika probiera w ryskim urzędzie probierczym. Tam również był obowiązkowym pracownikiem.



Po dwóch latach petersburski Zarząd Górniczy zaproponował mu pracę na stanowisku naczelnego inżyniera Donieckiego Okręgu Kopalnianego. Witoldowi nie spodobała się ta oferta. Odmowę potraktowano jako wyraz jego krnąbrnej postawy. Mało brakowało, by trafił do pracy na Syberii. Uratował go hrabia Aleksander Konstantynowicz Benckendorff, mający wielkie wpływy w Petersburgu, ale również własne interesy na Zakaukaziu.

Wynalazca i odkrywca

W końcu 1891 r. Witolda Zglenickiego skierowano do pracy w Urzędzie Pro-

biernym w Baku. Miejsce wydawało się wówczas wyjątkowo nieatrakcyjne. Był to prawdziwy Dzikie Wschód, uznawany za najbardziej zacofaną część carskiej Rosji.

Jak się jednak okazało, właśnie wtedy zaczął się najważniejszy etap w życiu zawodowym inżyniera. Wcześniej odkryto tam bogate złoża ropy naftowej. Przyciągała ona wielkich kapitalistów z całego świata, m.in. Alfonsa Rothschilda i braci Noblów.

Witold szybko piął się w górę w urzędniczej hierarchii. W 1901 r. awansował do rangi radcy kolegiального (odpowiednik pułkownika). Po godzinach oddawał się zaś badaniom geologicznym. Prowadził je na rozległych terenach Azerbejdżanu, a zwłaszcza na sąsiadującym z Baku Półwyspie Apszerońskim i Morzu Kaspijskim. Według profesora Andrzeja J. Chodubskiego („Górnika, geologa Witolda Zglenickiego [1850–1904]. Polski Nobel”) ta pasja pochłaniała inżyniera do tego stopnia, że nieraz nie wracał do domu na noc, ale pozostawał w łódce na morzu. Robił to z własnej inicjatywy, na własny koszt i ryzyko.

– W tym okresie najbardziej wykazał się swoim talentem, wiedzą, konsekwencją, a także intuicją i wizjonerstwem – zwraca uwagę prof. Jan Ziaja, kierownik Katedry Wiertnictwa i Geoinżynierii na Wydziale Wiertnictwa, Nafty i Gazu Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. – Na podstawie swoich badań określał tereny potencjalnego występowania złóż ropy naftowej i ich potencjalną wartość przemysłową.

Wyniki publikował bezpłatnie, choć mógł za nie pobierać sowite opłaty. Jak się okazało, przeważnie były to słuszne przewidywania. Gdy pojawiły się przepisy pozwalające na przejmowanie pól ropośnych, bez namysłu się na to zdecydował. Został właścicielem kilku działek na lądzie i morzu. Były to znakomite inwestycje.

– Zwrócił na siebie uwagę środowiska, proponując udoskonalone urządzenie do pomiaru odchyleń i krzywizn szybów – podkreśla Jan Ziaja. – Zrewolucjonizował wiertnictwo naftowe i bardzo poprawił bezpieczeństwo tych prac. Dzięki temu wszedł do światowego panteonu naftowców. Nie doceniono natomiast jego pionierskiego, wizjonerskiego projektu wydobywania ropy naftowej spod dna morza. Dopiero później świat przyznał mu rację.

» Niewiele wiemy o życiu osobistym inżyniera. Pochłonięty pracą zawodową i badaniami prawdopodobnie nie oddawał się przyjemnościom. W Baku nawiązał jednak romans z Ukrainką, Marią Winoogradów. Po przyjeździe na świat (w 1896 r.) syna Anatola cały czas interesował się jego wychowaniem i wspierał oboje finansowo. Bezkompromisowy we wszystkim, podobno proponował Marii małżeństwo po przeprowadzce do Warszawy i przejściu przez nią na wiarę katolicką.

Niestety nic z tych planów nie wyszło. Będąc w pełni sił twórczych, Zglenicki zachorował na nieuleczalną wówczas cukrzycę. Zmarł 6 lipca 1904 r. w wieku zaledwie 54 lat. Maria sprowadziła ciało na Mazowsze. Witold spoczął w rodzinnym grobie na cmentarzu parafialnym w Woli Kiełpińskiej (nieдалеko Dębeго), obok rodziców i brata Bolesława.

Polski Nobel

Paradoksalnie, testament, który zdążył sporządzić w ostatnich dniach życia – bardziej niż wcześniejsze dokonania – zapewnił mu miejsce w historii. Zapisał w nim spore sumy rodzinie i rozmaitym instytucjom (w tym kilku szkołom i kościołom), a przede wszystkim (dzięki dochodom z roponośnych działek) – powołanej w 1881 r. Kasie Mianowskiego. „Jeśli po zaspokojeniu wszystkich wymienionych legatów, pozostaną sumy jakie wolne do rozporządzenia, to takowe zapisuję Kasie Mianowskiego w Warszawie dla utworzenia kapitału żelaznego pod warunkiem, żeby procent od tego kapitału był użyty na wydawanie nagród, wedle uznania Zarządu Kasy, za najlepsze dzieło dotyczące ogólnoeuropejskiej literatury, sztuki i nauki w rodzaju nagród Nobla” – przypominał płk Tadeusz Zglenicki, bratanek Witolda, członek Komitetu Wykonawczego Jubileuszowego Zjazdu Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Stanisława Małachowskiego w Płocku w 1960 r.

Zwróćmy uwagę, że testament został spisany kilka lat po ustanowieniu fundacji noblowskiej. Carskie ograniczenia nie pozwoliły Kasie na konkurowanie ze Szwedami. Jej celem było sprawowanie mecenatu finansowego nad polską kulturą i nauką. Dzięki temu ukazało się wiele fundamentalnych dzieł, w tym „Monografie w zakresie dziejów nowożytnych” pod redakcją Szymona Askenazego czy niektóre prace Zygmunta

Glogera i Oskara Kolberga. Choć „w Komitecie [Kasy] wahano się zrazu nawet, czy zapis [Witolda Zglenickiego] w ogóle przyjąć. Wydawało się bowiem, że będzie z nim więcej kłopotu niż zysków”.

Dopiero późniejsze wpływy zaskoczyły (i przekonały) wszystkich. „Dochody z eksploatacji pól naftowych przyniosły Kasie 1 773 917 rubli (prawie 2,4 mln dol.), co stanowiło aż 63 proc. wszystkich sum przekazanych Kasie w latach 1881–1918” – pisze Jan Piskurewicz, profesor Instytutu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk, w książce „Warszawskie instytucje społecznego mecenatu nauki w latach 1869–1906. Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i Kasa imienia Mianowskiego”.

Ale zdaniem Marka Zawadzkiego, prezesa Fundacji Nauki Polskiej im. inż. Witolda Zglenickiego, były to i tak kwoty rażąco zaniżone. „Towarzystwo Kaspisko-Czarnomorskie Rotschildów tylko w latach 1908–1915 powinno przekazać równowartość 220 mln dzisiejszych dolarów. Być może kwota ta byłaby większa, gdyby dodatkowo uwzględnić wzrost cen nafty w minionych latach. Może to

W 1951 r. władze zlikwidowały Kasę Mianowskiego. Generalnie postać Witolda Zglenickiego jako kapitalisty została praktycznie zapomniana. Tylko Towarzystwo Naukowe Płockie w miarę możliwości starało się przypominać o jego dokonaniach.

Również dzisiaj rządy zarówno Rosji, jak i Azerbejdżanu nie chcą słyszeć o polskich oczekiwaniach związanych z testamentem inżyniera. Opinie prawników są podzielone. Tymczasem pokusa jest wielka, bo według niektórych szacunków nasze roszczenia mogą sięgać 3 mld dol.!

– Nie mamy na co liczyć – studzi emocje Wojciech Górecki, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, były radca Ambasady RP w Baku. – Pola naftowe zostały znacjonalizowane i są dziś własnością państwowego koncernu SOCAR. Sądy nie przyjmują żadnych pozwów spadkobierców. Stanowisko władz jest jednoznaczne. Dlatego podejmowanie starań o odzyskanie majątku Witolda Zglenickiego wydaje się nie tylko bezproduktywne, ale też szkodzące naszym relacjom z Azerbejdżanem.

NIE DOCENIONO JEGO PIONIERSKIEGO, WIZJONERSKIEGO PROJEKTU WYDOBYWANIA ROPY NAFTOWEJ SPOD DŁNA MORZA. DOPIERO PÓŹNIEJ ŚWIAT PRYZNAŁ MU RACJĘ

oznaczać, że w tym okresie z szybów Zglenickiego wydobyto naftę o wartości minimum 1,1 mld dolarów”.

Tak czy inaczej, choć nie skąpił środków, jakimi wtedy Kasa rzeczywiście dysponowała, były one większe niż możliwości ich wydawania. Dlatego czasem mówi się o inżynierze jako polskim Noblu. Wybuch I wojny światowej brutalnie zakończył ten piękny okres. Rewolucja bolszewicka i nacjonalizacja bogactw naturalnych pozbawiła Polaków wszelkich złudzeń. Mimo korzystnych dla nas zapisów w traktacie ryskim z 1921 r. nie udało się już uzyskać żadnych pieniędzy.

Po II wojnie światowej kilkakrotnie członkowie rodziny inżyniera próbowali walczyć o realizację jego testamentu. Były to jednak działania skazane na porażkę.

Dużo łatwiejsze powinno być upamiętnienie inżyniera w naszym kraju. Zwłaszcza że dotychczas zrobiliśmy niewiele. Dopiero w latach 60. ub.w. jego imieniem nazwano ulicę w Płocku. W tym mieście jest również jego pomnik, w Witoniu – plac, w Woli Kiełpińskiej – szkoła jego imienia. Istnieje również wspomniana Fundacja Nauki Polskiej im. inż. Witolda Zglenickiego, która nie ma jednak aktywów na miarę roponośnych działek na Morzu Kaspijskim. Dlatego inżynier nie jest dobrze znany nawet w Polsce. A przecież był naszym wielkim rodakiem, który miał ogromny wkład w rozwój światowego przemysłu petrochemicznego. Dlatego powinniśmy kultywować pamięć o nim i propagować jego dokonania na całym świecie.

KUP

Kozimierz Mociąg



SAM JEDEN

Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta

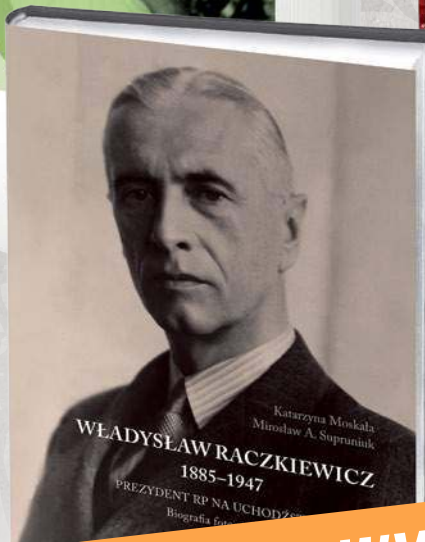


PROGRAM
WSPIERANIA
PAMIĘCI
NARODOWEJ



2022 ROKIEM
JÓZEFA MACKIEWICZA

OFERTA SPECJALNA



OTRZYMAJ WYBRANY ALBUM

ZA 1 ZŁ



PEŁNA OFERTA NA

IPN.POCZYTAJ.PL

AKCJA OBOWIĄZUJE OD 31.03.2022 DO WYCZERPIANIA ZAPASÓW

U GROBU CHRYSYSTUSA W JEROZOLIMIE

„PRZYSTAJEMY NA CHWILĘ, OBSERWUJEMY I PYTAMY SIĘ SAMYCH SIEBIE: CZY GODNI JESTEŚMY OGLĄDAĆ TO MIEJSCE ŚWIĘTE ZBROCZONE KRWIĄ JEZUSA CHRYSYSTUSA? CZY GODNI JESTEŚMY STĄPAĆ PO ŚLADACH KRWI ZBAWICIELA?”
– FRAGMENT WSPOMNIEŃ ŻOŁNIERZA ARMII ANDERSA FRANCISZKA PITKA

Bazylika Grobu Świętego w Jerozolimie, 1942 r.

FOT. NAC

Bazylika Grobu to stara budowla. Jej starość podtrzymują rusztowania, tak na zewnątrz, jak i wewnątrz. Przed wejściem do Bazyliki jest niewielkie podwórko, na którym zbudowana czasowo szopa z desek. Mieści ona materiał o reperacji, deski, narzędzia i różne rupiecie. Przystajemy tu na chwilę, obserwujemy i pytamy się samych siebie: czy godni jesteśmy oglądać to miejsce święte zbroczone krwią Jezusa Chrystusa? Czy godni jesteśmy stąpać po śladach krwi Zbawiciela?

Z wielką czcią i pobożnością wchodzimy do Bazyliki. Na razie się nic nie orientujemy. Wiemy, że w tej oto Bazylice znajduje się miejsce, gdzie Chrystus poniósł męczeńską śmierć na krzyżu, że ta Bazylika oznacza miejsce, skąd Chrystus zmartwychwstał.

Po wejściu do Bazyliki uderza nas ciemność. Wnętrze spięte rusztowaniami. Na wprost, kilka kroków od wejścia, widzimy kamień podłużny, w rodzaju nagrobka. Nad nim wisi kilka lamp o różnych kolorach i sześć wielkich świeczników. Kamień Namaszczenia. Jest to miejsce, na którym zostało złożone ciało Chrystusa po zdjęciu z krzyża. Na lewo od Kamienia Namaszczenia, w odległości kilku kroków, znajduje się miejsce, gdzie stały niewiasty, oczekując na pogrzeb. Miejsce to oznaczone marmurową płytą, a nad nim pali się lampka.

Wracamy do Kamienia Namaszczenia. Widzimy przed sobą wysoką na kilka metrów ścianę. To jest Góra Kalwaria. Wchodzimy po kamiennych schodach. W kaplicy panuje półmrok. Palą się światła.

Kaplica o dwóch nawach przedzielonych dwoma filarami. W prawej nawie w rogu ołtarz posrebrzany, skromnie przybrany. Za ołtarzem obraz wykładany mozaiką; obraz ten przedstawia Chrystusa przybitego do krzyża, leżącego na ziemi. Obok krzyża płacząca Jego Matka. W tym oto miejscu Jezus został przybity do krzyża. Tuż na lewo obraz Matki Bożej Bolesnej. Sztylet rani Jej serce, a łzy jak perły spływają po dostojnej obolałej twarzy. Tylko kochające serce matki potrafi tak boleć po stracie ukochanego i drogiego syna. Trudno określić wartość złota, brylantów, drogich kamieni i różnych pamiątek składanych jako dary wdzięczności za doznane łaski przez narody świata i ludzi z całego świata. Krzyż Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, godło orła białego. Oto wota złożone przez naród polski.

Tuż na lewo znajduje się ołtarz, a pod nim otwór, gdzie był ustawiony Krzyż z Chrystusem. Dla uczczenia świętego miejsca wchodzimy na klęczkach pod ołtarzyk, całujemy święte miejsce, tu poświęcamy pamiątki, jakie nabyliśmy dla drogich nam osób. W tym oto miejscu padały krople najdroższej krwi, z najboleśniejszych pięciu ran Chrystusa. W tym oto miejscu Matka Najświętsza, obejmując Krzyż z wiszącym ciałem drogiego syna, bolała najboleśniejszym bólem wszystkich matek całego świata. Na długą modlitwę nie ma czasu w tym miejscu. Wierni czekają. Usuwasz się na bok.

Znajdujesz się na Golgotcie, w miejscu, gdzie Chrystus Pan przeszedł mękę krzyżową i poniósł śmierć. Świdrujesz myślą i wzrokiem przeszłość. Widzisz czas straszliwej męki Zbawiciela. Jesteś

za murami ówczesnego miasta. Stoisz na pagórku zwanym Golgotą albo Kalwarią. Teren rzadko pokryty drzewami. W pobliżu mury otaczające miasto. Spoza tych murów dochodzi Cię hałas wzburzonego tłumu. Prowadzą Chrystusa osądzonego na śmierć. Poznajesz Go. Ugina się pod ciężarem Krzyża. Zmęczony pada. Tłum zatrzymuje się i krzyk się wzmacnia. Chrystus ostatkiem swych sił donosi krzyż na miejsce i kładzie na skale.

O tam, na prawo zmęczony, ale nieustraszony rozgląda się. Chce zobaczyć, kto z jego uczniów nie uląkł się męki i przybył na miejsce kaźni, i chce zostać świadkiem niewinnie przelanej krwi. Matka na moment nie opuszcza syna. Ociera pot z czoła drogiej istoty. Nie krzyczy i ratunku nie woła. Jej całe matczyne dostojęństwo boleje w pokorze. Skazany nie złorzeczy i nie prosi. W tej chwili miłość tych dwóch istot, matki i syna, stanowi jedną wielką miłość rodzaju ludzkiego. Matka pociesza syna, syn pociesza matkę.

Chrystus patrzy na tłum, jakby był zadowolony z tak wielkiej rzeszy obecnych. Wszak w tej chwili tłum ten występuje w charakterze oskarżyciela, ale niebawem stanie się świadkiem, da wiarę i świadczyć będzie o prawdzie.

Następnie widzisz, jak stróże ówczesnego porządku i prawa chwytają Chrystusa za ręce i nogi i powalają Go na drzewo Krzyża. Młotki unoszą się do góry i mocno spadają, przygważdżając ręce i nogi do drzewa. Słyszysz w tej chwili jęk męczzonej ofiary. Podnoszą Krzyż z jeszcze żywym, ale jakże strasznie cierpiącym Chrystusem. Dźwigają na lewo i tuż ustawiają w szczelinie. Znoszą kamienie i ubijają dookoła Krzyża. Jezus otwiera oczy, patrzy na świat i wszystkich obecnych. I słyszysz głos z Krzyża: „Pragnę”. Podano napój, truciznę jakąś, jednak po skosztowaniu Chrystus odsunął usta, a twarz przybrała wielkiego niesmaku i goryczy. Matka tuli do piersi i oblewa gorzkimi łzami Krzyż. Chrystus patrzy na ból swojej matki. Łzy syna łączą się ze łzami matki.

W tłumie coraz to ciszej. Chrystus cierpi, ale nie złorzeczy. Tłum ten żaden był innego widowiska. Spokój cierpiącego uciszył krzyk tłumu. Na twarzach widzów coraz to większy małuje się niepokój. I oto w tej chwili słyszysz głos: „Matko, oto syn Twój”, a zwracając się do Jana, mówi: „Synu, oto matka Twoja”.

Chrystus ostatkiem swoich sił otworzył oczy i wzrokiem miłosierdzia spojrzął na

wszystkich, tak śmiałym i tak spokojnym wzrokiem, że tłum zamilkł zupełnie. Cierpliwości w znoszeniu mąk nie było końca, wszak Chrystus rzekł: „Ojcze Niebieski, czemuś mnie opuścił”. A oto w tej chwili jeden ze straży, narzędziem przebijając bok Chrystusa. Z tej rany krew bryzgnęła najobficiej. „W ręce Twoje Ojcze oddaję ducha mego”.

Tu na Golgocie, w tym oto miejscu, jeszcze słyszysz te ostatnie słowa Jezusa Chrystusa. Będąc tu, jakbyś przeżywał tę straszną mękę. Słońce się przyćmiło i ziemia zadrżała. Tłum ogarnięty strachem ucieka w popłochu, pryska we wszystkie strony.

Na miejscu straszałej zbrodni pozostaje matka. Stoję i ja opodal. Widzę w tej chwili Ojczyznę swoją. Widzę, jak oprawcy pluja na Jej oblicze, deptają Jej ziemię, Jej drogie świętości. Plugawią Jej dobre imię, krzyżują Jej święte prawdy. Widzę, jak mordują niewinne dzieci, na łonie ich matek, a matki na oczach ich dzieci. Widzę dogorywające życie drogiego syna, a moich braci w więzieniach, łagrach, obozach i na zsyłce. Odczuwam ich głód, pragnienia, tęsknoty za Krajem, za wolnością, tęsknotę dziecka za matką i ojcem, tęsknotę ojca za dziećmi i żoną, za braćmi i siostrami, krewnymi, przyjaciółmi i znajomymi. Widzę, jak oni wszyscy padają na kolana przed obliczem Twojego świętego Krzyża, o Jezu, i proszą nie litości, ale Twojej świętej łaski, o Boże.

Padamy na kolana i my, na miejscu Twej straszałej męki, o Jezu Chryste. Zlituj się, o Chrystusie, nad nami i pozwól nam złożyć u stóp Twoich, o Panie, w imieniu całej umęczonej Polski i Jej rodaków, skargę o pomstę do Nieba i prośbę o litość i zmiłowanie Twoje, o Panie!

Do złożonej już skargi i prośby, nic od siebie, o Sprawiedliwości Bożej, dodawać nie będziemy, wszak nasze cierpienia już znasz, o Panie! Nasze cierpienia, bóle i tęsknoty są niczym w porównaniu z męką naszych Rodaków pozostałych w Kraju i na wygnaniu. O, Matko Boża Bolesna! uproś Swego Drogiego Syna o łaski zmiłowania nad Polską i jej Narodem. Wszak jesteś jej Królową i Panią od wieków!

I oto w tej chwili, z tego świętego miejsca, Golgoty, chce się krzyczeć najdoniośniejszym głosem: Słuchajcie nas, Rodacy! W tej chwili złożyliśmy u stóp Jezusa Chrystusa wasze skargi i prośby! Zostały przyjęte i wysłane do Tronu Najwyższego! Słuchajcie, Rodacy! Cierpienia Wasze nie pójdą na marne! Bądźcie dobre

wiary i ufajcie Sprawiedliwości! Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy! Okryjcie się płaszczem cierpliwości i Miłosierdziem Jezusa Chrystusa!

Słuchajcie nas, Rodacy! Orędowniczka i Pośredniczka nasza, Królowa Korony Polskiej i Matka Jezusa Chrystusa, broni naszych słuszych spraw i całkowicie je popiera! Nakazuje cierpliwość i wierność swojego honoru i wytrwanie!

Z tego świętego miejsca chce się krzyczeć i wołać: „Ludzie! Narody całego świata, ratujcie Polskę, ratujcie męczone niewinnie dzieci, ratujcie mordowane matki, ratujcie naród polski! Bo jeśli nie pospieszycie na ratunek krzywdzonych, jeśli głusi pozostaniecie na krzyk morderowanych i nie staniecie po stronie sprawiedliwości, to sumienia Wasze, sumienia narodów całego świata, po wieczne czasy nie zazną spokoju, stracie wiarę na zawsze, a krzywda nasza spadnie na Was i na Wasze pokolenia!

Padasz na kolana i w ciszy odmawiasz modlitwy w intencji swojej Ojczyzny. W intencji Rodziny, wszystkich Rodaków pozostałych w Kraju i rozsianych po całym świecie, cierpiących w więzieniach w obozach łagrach i na zsyłce. W intencji potrzebujących pomocy i pocieszenia.

W intencji męstwa i szczęścia dla Wojska Polskiego w drodze do Ojczyzny.

U stóp Ukrzyżowanego składasz dzięki za otrzymane łaski doznane w ciągu swojego życia. Składasz dzięki za ocalenie przed umęczeniem, jakie Ci groziło w czasie całej wędrówki. Składasz dzięki za ocalenie przed widmem głodu, chłodu, chorób i wszelkiego robactwa, jakie gnieździło się na Twojej skórze i atakowało Twoje ciało.

A dalej modlisz się o szczęście wieczne i pokój dla dusz zmarłych najbliższych Ci osób, krewnych, znajomych i przyjaciół. Za poległych w obronie swej Ojczyzny, pomordowanych w Katyniu, łagrach, obozach i na zsyłce. Za Tych, za których nikt się nie modli.

Ziemia Święta, lipiec 1943 r.

Sierżant Franciszek Pitek (1897–1967)

Walczył w Legionach Józefa Piłsudskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., przeszedł cały szlak bojowy z II Korpusem Polskim gen. Władysława Andersa

PPOR. „MARIUSZ”

– PROF. JAN ŁOPUSKI HERBU ŚLEPOWRON (1917–2019)



**MARIUSZ
KRZYSZTOFIŃSKI**

IPN oddział w Rzeszowie

W OKRESIE
SCHYŁKOWYM
PRL, 8 LISTOPADA
1987 r. W KOŚCIELE
PARAFIALNYM
W TRZCIANIE
(OBECNIE W DIECEZJI
RZESZOWSKIEJ,
WÓWCZAS W DIECEZJI
PRZEMYSKIEJ), ODBYŁA
SIĘ UROCZYSTOŚĆ
WMUROWANIA TABLICY
POŚWIĘCONEJ
MJR. MIECZYŚŁAWOWI
KAWALCOWI,
DZIAŁACZOWI IV
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA WiN,
ZAMORDOWANEMU
W WIĘZIENIU
MOKOTOWSKIM
1 MARCA 1951 r.



FOT. IPN

Fundatorami tablicy umieszczonej w jego rodzinnej miejscowości byli żołnierze Armii Krajowej oraz działacze WiN. W uroczystości uczestniczył też bp Ignacy Tokarczuk wraz z kilkoma duchownymi diecezji przemyskiej. Jeden z żyjących wówczas oficerów Inspektoratu Rzeszowskiego Armii Krajowej, prof. Jan Łopuski ps. Mariusz, podczas uroczystości przypomniał drogę życiową mjr. Kawalca, jego zasługi dla Rzeczypospolitej, więzienną udrękę po wojnie, wypowiedział też następujące słowa: „Nam Polakom, katolikom, obce powinno być uczucie zemsty, pragnienie odwetu. Ale pamięć o żołnierzach, którzy oddali życie w walce o wolność i suwerenność swojego kraju, nas obowiązuje. Utrata pamięci Narodu równa się w takim wypadku utracie sumienia. Przywracanie tej pamięci, a tym jest dzisiejsza uroczystość, jest niczym jak walką o przywrócenie, jeżeli nie całkowicie utraconej, to w każdym razie mocno przydeptanej, naszej narodowej godności”.

Żołnierz AK „Mariusz”

Od połowy lat 80. XX w. prof. Jan Łopuski, uznany specjalista od prawa morskiego i ubezpieczeniowego, zaczął się dzielić wspomnieniami z okresu służby w ZWZ-AK oraz przywoływać swoje powojenne losy w Polsce Ludowej, w której przez lata często był traktowany jako obywatel drugiej, a nawet trzeciej, kategorii.

Urodził się w 3 stycznia 1917 r. w Strzegocicach w powiecie Pilzno, gdzie majątek posiadali jego rodzice, pieczętujący się herbem Ślepowron. Po uzyskaniu starannego wykształcenia w III Gimnazjum Państwowym im. Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie i zdaniu matury w 1935 r. rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Następnie podjął naukę na Akademii Handlowej w Krakowie. Tuż przed wybuchem wojny obronił pracę magisterską z prawa. We wrześniu 1939 r. pełnił służbę w kawalerii dywizyjnej 24. Dywizji Piechoty, zgłaszając się do niej na ochotnika. Po latach przyznawał, że wtedy spotkał się „z brutalnością wojny” oraz licznymi niewygodami oddającymi codzienny żołnierski trud. Wzięty do niewoli przez Niemców w okolicach Lwowa, dość szybko z niej uciekł. Po powrocie do rodzinnego majątku zaangażował się w jego prowadzenie.

Już w marcu 1940 r. został zaprzyszczony jako żołnierz ZWZ, przyjmując pseudonim Mariusz. Po ukończeniu konspiracyjnej podchorążówki i uzyskaniu najpierw stopnia kaprała podchorążego, a potem podporucznika, objął obowiązki oficera broni Obwodu AK Dębica. W maju 1944 r. został oficerem broni i przerzutów powietrznych Inspektoratu Rzeszowskiego AK. Do jego obowiązków należało przyjmowanie zrzutów broni i jej ukrywanie w schronach. W czasie akcji „Burza” służył w jednym z oddziałów partyzanckich. Jego postawa zyskała uznanie przełożonych, gdyż odznaczony został Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Srebrnym

„PAMIĘĆ O ŻOŁNIERZACH, KTÓRZY ODDALI ŻYCIE W WALCE O WOLNOŚĆ I SUWERENNOŚĆ SWOJEGO KRAJU, NAS OBOWIĄZUJE. UTRATA PAMIĘCI NARODU RÓWNA SIĘ W TAKIM WYPADKU UTRACIE SUMIENIA”

Orderu Virtuti Militari. Po zajęciu Rzeszowszczyzny przez Armię Czerwoną jednostki Armii Krajowej powróciły do konspiracji. Sowieckie służby specjalne wraz z podległymi im strukturami rodzimego aparatu bezpieczeństwa przystąpiły do aresztowań żołnierzy Armii Krajowej oraz działaczy Polskiego Państwa Podziemnego. Jan Łopuski pełnił wówczas odpowiedzialną funkcję oficera łącznikowego Inspektoratu Rzeszowskiego AK, którym dowodził mjr Łukasz Ciepliński. W nocy z 7 na 8 października 1944 r. oddziały AK przeprowadziły nieudaną próbę odbicia więźniów (ponad 200 żołnierzy AK) przetrzymywanych na zamku w Rzeszowie.

W czasie tej akcji Łopuski odpowiadał za jej ubezpieczenie. 17 grudnia 1944 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy sowieckiego kontrwywiadu wojskowego (Smiersz) i osadzony w areszcie przy ul. 3 Maja w Rzeszowie. Posiadał wówczas fałszywe dokumenty na nazwisko Zygmunt Stachowicz. Podczas trzytygodniowych przesłuchań, prowadzonych bardzo często w nocy, dwukrotnie był wyprowadzany na rozstrzelanie, tracił też przytomność. Ostatecznie postawiono go przed wyborem, polegającym na ujawnieniu posiadanej wiedzy i przyznaniu się do swojej roli w szeregach Armii Krajowej, albo na wywózce do łagru w głąb ZSRS. W rezultacie rozmowy z oficerem kontrwywiadu I Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej Łopuski został przewieziony do obozu w Bakończycach. Stamtąd transportem kolejowym został wywieziony do ZSRS.

Powracający emisariusz

Wspominając tę podróż, Jan Łopuski podkreślał, że wraz z nim do łagru wysłano ponad 300 żołnierzy AK. W jednym wagonie stłoczono 80 osób. Wszystkim podczas tej dwutygodniowej podróży towarzyszyły niepokój, jutro, dotkliwie odczuwalny mróz, fatalne warunki sanitarne, złe wyżywienie. Inną dokuczliwością było ciągłe budzenie (co trzy godziny) przez strażników obawiających się, aby nikt z transportu nie uciekł. Osadzony został w łagrze w Stalinogorsku (obecnie Nowomoskowsk), gdzie pracował w nieludzkich warunkach m.in. przy budowie nowego łagru, który przeznaczony był dla jeńców niemieckich. Uwięzionym towarzyszyły mróz oraz ciągły głód, gdyż do jedzenia otrzymywali zazwyczaj chleb oraz gorącą zupę z kapusty. W rezultacie Łopuski – podobnie jak wielu innych łagerników – zachorował na puchlinę głodową. Po latach dodawał: „Człowiek wygłodzony przestaje myśleć”. Przypominał, że głód pozbawia dążeń do wolności, sprawia że o niczym innym się nie myśli, tylko o jedzeniu.

W sierpniu 1945 r. został zwolniony z łagru i odesłany do Polski. Obawiając się ponownych przesłuchań, wykorzystał to, że transport do kraju nie był już tak pieczołowicie chroniony, opuścił pociąg i na piechotę dotarł do Warszawy. Tam – wygłodzony, wymizerniały – korzystając z gościny znajomych, rozkoszował się wolnością oraz... smakiem gorącej >>

>> herbaty i bułek z masłem i szynką. Już wówczas towarzyszyła mu refleksja, że w Polsce nie może zostać z obawy przed ponownym aresztowaniem. Nie ujawniając swojej służby w Armii Krajowej, zdecydował się na opuszczenie ojczyzny. Korzystając z pomocy mjr. Łukasza Cieplińskiego, działającego już wówczas w zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość, otrzymał od niego fundusze oraz kontakty umożliwiające mu wyjazd z kraju. Po zdobyciu fałszywych dokumentów nielegalnie przedostał się do Czechosłowacji, a potem docelowo do Włoch, gdzie został żołnierzem 2. baonu 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Służąc w szeregach Wojska Polskiego, po przetransportowaniu jednostki do Wielkiej Brytanii prowadził dla żołnierzy zajęcia z języka angielskiego oraz pełnił funkcję tłumacza. Po ogłoszeniu komunistycznej „amnestii” w 1947 r. za namową znajomych oraz matki postanowił wrócić do kraju. Jak sam wspominał, nie chciał być emigrantem. Nie wierząc w wybuch kolejnej wojny światowej, zgłosił chęć powrotu do Polski. Przedstawiciele angielskich służb specjalnych starali się odwieść go od tego kroku. Podczas pobytu w Wielkiej Brytanii spotkał się też z ppłk. Józefem Maciołkiem, szefem Delegatury Zagranicznej WiN, który poprosił Łopuskiego o przekazanie do kraju przesyłki zawierającej zaszyfrowaną korespondencję.

Na marginesie

Po przybyciu do Gdańska 20 sierpnia 1947 r. Jan Łopuski został przesłuchany i zobowiązany do meldowania się na posterunku milicji. Pomimo zachęt nie związał się też ze Stowarzyszeniem PAX, któremu przewodził Bolesław Piasecki. Z czasem podjął pracę w firmie handlu zagranicznego. Wówczas się ożenił. Po powstaniu PZPR stracił pracę, co zmusiło go do podjęcia zatrudnienia w branży ubezpieczeń morskich. Związany był z nią przez kolejne 50 lat. Traktowany jako osoba „niepewna politycznie” postanowił uzyskać nowe kwalifikacje. Dlatego w 1951 r. obronił na Uniwersytecie Poznańskim pracę doktorską z prawa morskiego. W latach 50. XX w. nie uchroniło go to przed szykanami, groźbami zwolnienia z pracy czy inwigilacją i przesłuchaniami przez funkcjonariuszy UB, dotyczącymi jego służby w Armii Krajowej, pobytu w łagrze, służbie w WP

i ewentualnych związków ze zrzeszeniem Wolność i Niezawisłość (WiN). Jeszcze na początku lat 60. XX w. był przesłuchiwany przez SB, co miało związek z prowadzonymi poszukiwaniami magazynów broni należących do AK.

W 1986 r. był prelegentem podczas II Katolickiego Tygodnia Historycznego w Rzeszowie, przywołującego pamięć o żołnierzach AK z terenu diecezji przemyskiej. Podczas niego wygłosił wykład prezentujący sylwetkę ppłk. Łukasza

W SIERPNIU 1945 r. ZOSTAŁ ZWOLNIONY Z ŁAGRU I WYSŁANY DO POLSKI. NA PIECHOTĘ DOTARŁ DO WARSZAWY. TAM – WYGŁODZONY, WYMIZERNIAŁY – KORZYSTAJĄC Z GOŚCINY ZNAJOMYCH, ROZKOSZOWAŁ SIĘ WOLNOŚCIĄ ORAZ... SMAKIEM GORĄCEJ HERBATY I BUŁEK Z MASŁEM I SZYNKĄ

Kustosz pamięci

Nowy rozdział w życiu Jana Łopuskiego rozpoczął się w 1970 r., kiedy uzyskał habilitację z prawa morskiego. Rok później rozpoczął pracę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W międzyczasie podjął współpracę z Ministerstwem Żeglugi. Ukoronowaniem jego kariery naukowej było uzyskanie w 1984 r. tytułu profesora zwyczajnego. Trzy lata wcześniej został wybrany na dziekana Wydziału Prawa i Administracji UMK w Toruniu. Łącznie opublikował ok. 230 prac naukowych z zakresu prawa.



Cieplińskiego, prezesa IV Zarządu Głównego WiN. Odwiedził też żyjącą wtedy w Rzeszowie w skromnych warunkach wdowę po Łukaszu Cieplińskim, Jadwigę, organizując dla niej pomoc.

W czasie stanu wojennego napisał wydaną w 1990 r. książkę o wymownym tytule „Losy Armii Krajowej na Rzeszowszczyźnie (sierpień–grudzień 1944). Wspomnienia i dokumenty”. W kolejnych latach wydał kilka publikacji o charakterze historycznym i wspomnieniowym.

Został odznaczony Orderem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych. W 2000 r. wyróżniono go tytułem Honorowego Obywatela Rzeszowa. 19.02.2006 r. władze UMK uhonorowały Jana Łopuskiego medalem Konwalaria Copernicana. W tym samym roku za wybitne zasługi w działalności na rzecz niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej prezydent Lech Kaczyński nadał mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W 2010 r. otrzymał nadany przez Instytut Pamięci Narodowej tytuł Kustosza Pamięci Narodowej.

Prof. Jan Łopuski zmarł 10.09.2019 r. Został pochowany na cmentarzu w Oliwie.

W trakcie prac nad artykułem korzystałem z książek autorstwa prof. Jana Łopuskiego oraz ze wspomnień „Zapiski ze współczesności cz. 1–5” zamieszczonych na Niniateka.pl.

HELENA KURCYSZOWA Z DOMU SŁOMIŃSKA

WYCHOWANIE, WYKSZTAŁCENIE I GŁĘBOKIE PRZYWIĄZANIE DO ZASAD KATOLICKICH UCZYNIŁY JĄ OSOBĄ WRAŻLIWĄ, NIEZALEŻNĄ, HONOROWĄ I NIEZWYKLE ZAANGAŻOWANĄ W REALIZACJĘ SWOICH CELÓW, SPOŚRÓD KTÓRYCH SPRAWY SPOŁECZNE NALEŻAŁY DO TYCH NAJWAŻNIEJSZYCH. PRZYNALEŻNOŚĆ DO ELITY PRZEDWOJENNEJ STOLICY I RELACJE TOWARZYSKIE STAŁY SIĘ DLA NIEJ OBCIĄŻENIEM I PRZYCYNĄ NIEUSTANNEGO NĘKANIA, ZARÓWNO PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ, JAK I PÓŹNIEJSZEJ SOWIECKIEJ



ARTUR KUBAJ

Przedwojenna Warszawa

Helena Kurcyszowa, z domu Słomińska, urodziła się 10 maja 1914 r., jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, na zachodnich kresach imperium carów Romanowów, w Sandomierzu. Wczesne dzieciństwo spędziła w miasteczku, którego nie miała szansy zapamiętać, a które tak przepięknie odmalował autor „Ucha igielnego” Wiesław Myśliwski uczęszczający tam do gimnazjum i liceum. Ojciec Heleny, Zygmunt, wywodził się z ziemiaństwa i szlachty grodzieńskiej, z rodziny, której majątek skonfiskowano po powstaniu styczniowym. Dyplom inżyniera otrzymał na Wydziale Inżynierjino-Budowlanym w Warszawskim Instytucie Politechnicznym, a zanim powrócił wraz z rodziną do Warszawy w 1925 r., pełnił funkcję architekta powiatowego i miejskiego w Sandomierzu, Radomiu i Lublinie. Matka Heleny, Teresa z Paszkiewiczów, rodzona ciotka Witolda Gombrowicza, zmarła rok po przeprowadzce do stolicy. Osierociła 12-letnią uczennicę pensji Cecylii Plater-Zyberkówny, jak powszechnie mówiono o zespole szkół katolickich mieszczącym się przy ul. Pięknej w Warszawie, przy której kilkanaście metrów dalej zamieszkała później młoda Helena zaraz po swoim ślubie. Uczennice pensji nosiły czarne aksaminne berety i trójkolorowo-biało-żółty. Pensja miała wybitnie patriotyczny charakter, sięgający korzeniami okresu zaborów, a kolor żółty został włączony do barw szkoły w nawiązaniu do barw papieskich,

w celu podkreślenia specjalnych względów, jakimi szkołę darzył warszawski nuncjusz apostolski Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI. Co ciekawe, ul. Piękna na początku lat 30., tj. za prezydentury ojca Heleny, przemianowana została na ul. Piusa XI, a do swej pierwotnej nazwy powróciła już po wojnie, pod koniec lat 40. ub. stulecia. Szkoła była prowadzona na bardzo wysokim poziomie, a żeby zostać do niej przyjętym, trzeba było znać język francuski w stopniu wystarczająco dobrym. Zarówno 17-latk, jak i dziewczynki z klas młodszych, trzymane były w ryzach – jedynie niedziele i sobotnie popołudnia były wolne od szkolnego ceremoniału. Wówczas często na dziewczęta czekał teatr, a dzięki pozycji ojca, pełniącemu w latach 1927–1933 funkcję prezydenta Warszawy, Helena często zapraszała do teatru swoje szkolne koleżanki do łoża prezydenckiej. Sama zresztą również korzystowała z zaproszeń Zofii Sikorskiej, córki

gen. Władysława Sikorskiego, uczącej się w jednej z młodszych klas.

Idąc w ślady ojca, Helena rozpoczęła po maturze studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, angażując się jako studentka nie tylko w naukę, ale też w działalność studencką i społeczną, m.in. w Bratnią Pomoc – organizację społeczną, której celem było organizowanie pomocy, zwłaszcza socjalnej, dla studentów (pełniła funkcję skarbniczki) i w działalność stowarzyszenia studenckiego Słuchaczy Wydziału Architektury. Helena przystąpiła także do korporacji studenckiej Sparta, powołanej już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przez osoby będące instruktorami harcerstwa, promującej idee patriotyczne i doskonalenie charakteru swych członków, słynącej z rygorystycznych zasad obyczajowych. Zaangażowana była też, naśladując swojego starszego brata Michała (1907), również absolwenta Politechniki >>



» Warszawskiej, w działalność stołecznego oddziału Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie” (Michał kierował oddziałem). Była też aktywnym uczestnikiem zakonspirowanych struktur Obozu Wielkiej Polski, angażując się np. w organizację kobiecą Zakonu Wielkiej Polski (zresztą wspólnie z Marią Rutkowską). Działając w Bratniej Pomocy, Helena miała okazję poznać swojego przyszłego małżonka, bardzo sprawnego mówcę, wówczas studenta Wydziału Prawa, później adwokata oraz działacza Organizacji Polskiej, wcześniej Obozu Wielkiej Polski, pełniącego funkcję przewodniczącego tej organizacji na Uniwersytecie Warszawskim. Jerzy Kurcusz, bo o nim mowa, swoją zaangażowaną postawą, przekonaniami i cechami osobistymi robił duże wrażenie na studentkach. Helena i Jerzy poznali się w 1932 r., a dwa lata później zawarli związek małżeński, który nie trwał jednak zbyt długo, bo gdy w 1938 r. Helena zorientowała się, że relacje Jerzego z Marią Rutkowską (z domu Sucheni) daleko wykraczają poza działalność polityczną, uznała, że nie pozostaje nic innego, jak tylko się rozstać. Pomimo trudnej sytuacji emocjonalnej, w jakiej się znalazła, udało się jej jeszcze przed wakacjami w roku 1939 uzyskać dyplom inżyniera architektury.

Z okresu przedwojennego Helena wyniosła z jednej strony zamiłowanie do kultury, w tym do teatru i bywania w towarzystwie, z drugiej zaś jej wychowanie, wykształcenie, i aktywność studencka i głębokie przywiązanie do zasad katolickich uczyniły ją osobą wrażliwą, niezależną, honorową i niezwykle zaangażowaną w realizację swoich celów, spośród których sprawy społeczne należały do tych najważniejszych. Niewątpliwa przynależność do elity przedwojennej stolicy, pochodzenie i relacje towarzyskie stały się także dla niej obciążeniem i przyczyną nieustannego nękania podczas okupacji zarówno niemieckiej, jak i późniejszej sowieckiej.

Od okupacji niemieckiej do opresji sowieckiej

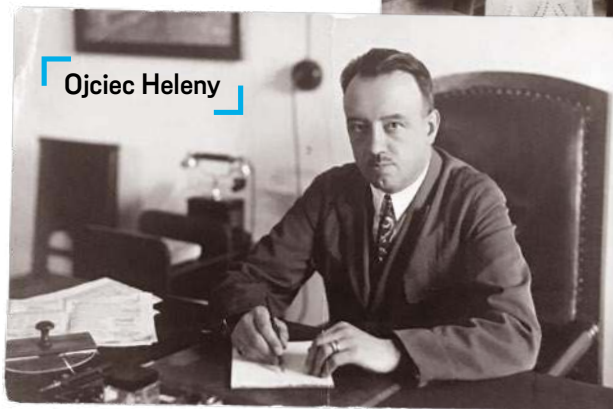
Po zakończeniu kampanii wrześniowej, podczas której Helena zaangażowana była w obronę stolicy, podjęła pracę – szklita okna, a później, po zdaniu egzaminu czeladniczego, imiała się różnych prac remontowo-budowlanych. Od 1941 r. zaangażowana

była w konspirację i przystąpiła, podobnie jak jej brat Michał, do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej (pod pseudonimem Teresa), a jej mieszkanie stało się skrywką pocztową.

9 października 1942 r. została aresztowana przez



**Helena
na uroczystościach
w szkole**



Ojciec Heleny

Gestapo. Przesłuchiowano ją w areszcie śledczym przy al. Szucha i więziono na Pawiaku. Poddana została przesłuchaniu dotyczącemu jej działalności, a później, w dniu aresztowania jej ojca (w nocy z 10 na 11 listopada 1942 r.), także na okoliczność jego działalności konspiracyjnej. Zygmunt Słomski po przesłuchaniach w siedzibie Gestapo i uwięzieniu na Pawiaku został ostatecznie zamordowany przez Niemców w Laskach Chojnowskich pod Stefanowem 12 lutego 1943 r. Helena z kolei dużym transportem została wywieziona z Warszawy do obozu koncentracyjnego na Majdanku, a później w kwietniu 1944 r. do KL Ravensbrück i jego podobozu w Neubrandenburgu. Podczas swego pobytu w Majdanku postanowiła się zająć przywożonymi tam dziećmi z Wołynia, których widok nią wstrząsnął. Wraz z kilkoma innymi więźniarkami stworzyła dziecięcą obozową brygadę pomocniczą, by pod pozorem takiej działalności, w miarę możliwości, zorganizować maluchy w jakąś wspólnotę, okazać im ciepło, bawić je i uczyć piosenek. Rysowała tam też portrety tych dzieci, które przetrwały do dziś (ich reprodukcje znalazły się w publikacjach o Majdanku).

W Ravensbrück obozowe losy połączyły, nie po raz pierwszy zresztą, Helenę Kurcusz z wcześniej wspomnianą Marią Rutkowską (Kurcuszową), późniejszą drugą żoną Jerzego Kurcusza – poetką, dziennikarką „ABC”, działaczką ONR.

zorganizowano wśród mokradeł, za miastem. Więźniarki komanda podzielone były na brygady mające obsługiwać różne oddziały fabryczne. Pracowały tam ponad swe siły, cierpiąc głód, strach i poniżenie. Ogromna liczba uwięzionych nie doczekała wyzwolenia. W dziennikach Heleny Kurcuszowej brak jednak szczegółowych wspomnień i opisów z obozu w Ravensbrück. Skupia się ona na okresie od wyzwolenia obozu do 5 czerwca 1945 r. i opisuje dalsze swe, już szczecińskie, losy. Być może wynika to z tego, że zgodnie z opinią znających ją osób (m.in. przyjaciółki Zosi Bocian) jej życiowa dewiza polegała na tym, by nie pamiętać o rzeczach złych i smutnych, ale żyć dniem dzisiejszym i przyszłością. Z pewnością przy tym pobyt w Ravensbrück należał do tych wspomnień najgorszych. Obydwie, Helena i Maria, konsekwentnie też milczały na swój temat, a niemal niemożliwe musiało być, by nie wiedziały o swojej obecności w gronie więźniarek obozu. W przeciwieństwie do Heleny Maria Rutkowska-Kurcuszowa pozostawiła szczegółowe zapiski swych wspomnień z obozu w Ravensbrück (a także z Komanda Neubrandenburg), zrelacjonowała okrutne warunki i atmosferę tych miejsc, opisywała spotkane tam osoby, ich postawy i emocje oraz różne losy. Wspomniła m.in. obozowe spotkanie z Zofią Uhmową, żoną jej ulubionego nauczyciela z warszawskiej pensji panny Plater, oraz z Ireną Panenkową, publi-

cystką Front Morges. Zwróciła uwagę na stopniowe organizowanie się społeczności więźniarek, dotyczyło to zwłaszcza kobiet z krajów mających wieloletnią tradycję walki z tyranią (w szczególności Polek) oraz tych z nich, które przed deportacją zaangażowane były w podziemną walkę.

Wyzwolenie i nowa okupacja. Szczecińska Helunia

Opuszczając barak obozu koncentracyjnego w Neubrandenburgu wraz z towarzyszkami niedoli, Helena planowała powrót do Warszawy. Traf chciał jednak, że w tej powojennej tułaczce po bezdrożach wschodnich Niemiec los rzucił ją do Szczecina, gdzie zatrzymała się tylko w celu opieki nad chorymi na tyfus koleżankami. W Szczecinie, mieście, którego przyszły status był wówczas jeszcze nieznany, znalazła się w gronie jego pierwszych kilkuset polskich mieszkańców. Podczas przypadkowego spotkania pracę w magistracie i pozostanie w mieście zaproponował jej pierwszy jego prezydent, także architekt, Piotr Zaremba. Zapewne mocno się wahała, czy pozostać na zachodnich rubieżach powojennej Polski, wymagających nowej organizacji i administracji. Udała się jeszcze do Warszawy, by spojrzeć na ruiny kamienicy, w której mieszkała, zapytać o los brata walczącego w powstaniu warszawskim i być może spotkać przedwojennych warszawskich przyjaciół. Ostatecznie zdecydowała się na osiedlenie w Szczecinie i ratowanie tamtejszych zabytków. Zamieszkała w zabytkowej willi przy ul. Wyspiańskiego, w pobliżu ulubionego miejsca spacerów szczecinian – parku Kasprowicza. Współorganizowała pierwsze powojenne służby architektoniczno-budowlane miasta i regionu. Była słynną inspiratorką przy nadawaniu polskich nazw ulicom i dzielnicom Szczecina, oprócz tradycyjnych imion wielkich Polaków Helunia Kurcyszowa wymyślała też inne, bliższe poezji, jak Ku Słońcu czy Wiatr od Morza i Jasne Błonia. W nowej szczecińskiej działalności niesłychanie pomocne były jej osobiste kontakty z kolegami i koleżankami z Politechniki Warszawskiej. Ścisłe współpracowała ze środowiskiem skupionym w Biurze Odbudowy Stolicy, m.in. z prof. Janem Zachwatowiczem, prof. Jerzym Hryniewieckim czy dr. Stanisławem Żarynem. Przyjaźniła się z żoną Żaryna, Aleksandrą z domu Jankowską, prawniczką, tłumaczką z języka francuskiego. W późniejszych latach

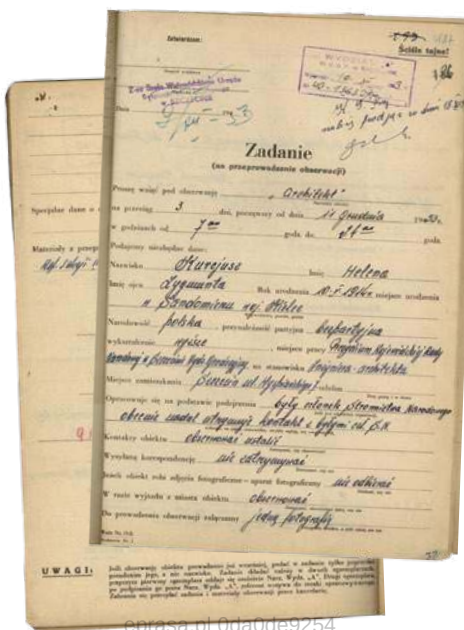
zawsze bardzo chętnie odwiedzała Warszawę, i to w celach zarówno zawodowych, jak i towarzyskich, które często się przeplatały, a z czasem doszły do nich jeszcze wizyty mające charakter działań opozycyjnych wobec systemu komunistycznego.

Pod koniec 1949 r. Helunią, osobą bardzo energiczną i pracowitą, a przy tym także niezwykle towarzyską, zainteresował się szczeciński Urząd Bezpieczeństwa. Kurcyszowa była wówczas przewodniczącą szczecińskiego SARP, inicjatorką i prezeską Klubu 13 Muz (zrzeszającego środowiska różnych twórców, którego działalność zainicjowała wraz z mieszkańcami wtedy w Szczecinie K.I. Gałczyńskim i J. Andrzejewskim), mieszczącego się wówczas przy szczecińskim radiu. Funkcjonariusze WUBP postanowili pozyskać ją do współpracy, by w ten sposób uzyskać także wiedzę o środowisku szczecińskich architektów. Plan ten jednak spalił na panewce. Inwigilując Helunię Kurcyszową, bezpieka zainteresowała się jej kontaktami poza Szczecinem oraz przedwojenną przeszłością, w szczególności byłym małżonkiem Jerzym. Przez kilkanaście miesięcy poszukiwano kompromitujących materiałów, by ostatecznie pod koniec listopada 1951 r. zwać ją, pod pretekstem spraw służbowych, do Warszawy, jednak bez żadnych rezultatów. Plan werbunku Heleny przygotowywał mjr Romuald Głowacki – ówczesny naczelnik Wydziału IV Departamentu III MBP, zasłużony dla Sowietów jako żołnierz Armii Czerwonej, absolwent szkoły specjalnej NKWD w Kujbyszewie, funkcjonariusz bezpieki

w Lublinie, Radomiu, Kielcach, Warszawie i Szczecinie, (m.in. szef szczecińskiej bezpieki w latach 1959–1971) współodpowiedzialny za masakrę robotników szczecińskich podczas rewolty grudniowej 1970 r. W zasadzie, po zaprzestaniu bezpośredniej presji, Helunia Kurcyszowa nękana była przez funkcjonariuszy UB/SB przez cały okres PRL. Nawet już jako emerytowana nauczycielka akademicka poddawana była inwigilacji, a to z uwagi na autorytet, jakim cieszyła się w środowisku szczecińskich architektów i studentów oraz ludzi kultury, a także z uwagi na swą współpracę z duszpasterstwem akademickim, tworzonym wokół jezuity o. Władysława Siwka i szczególnie aktywnym w latach 70. przy udziale ojca Huberta Czumy. Helunia organizowała w swym domu spotkania ludzi kultury, a z czasem jej willa stała się słynnym miejscem spotkań towarzyskich elit twórczych i naukowych oraz studentów, miejscem wykładów i dyskusji o architekturze, literaturze, malarstwie czy filmie. W latach 70., poprzez agenturę ulokowaną pośród młodzieży, donoszono na Helunię, że jako jedna z pierwszych przywoziła z Krakowa do Szczecina informacje na temat dramatu Stanisława Pyjasa z maja 1977 r., a później informowano o jej warszawskich wizytach w środowisku stołecznej opozycji. Bywała ona na Bednarskiej u Jana Józefa Lipskiego i na wykładach TKN. W Szczecinie wspierała młodzież zaangażowaną w tworzenie SKS, a także ROPCiO i KPN. Szczególny kontakt utrzymywała także ze środowiskiem warszawskich architektów i kombatanatów oraz z pisarzem Leszkiem Prorokiem. Powracając do Szczecina, często przywoziła ze sobą bibułę. Na początku 1979 r. przywoziła do miasta „Rozważania o wojnie domowej” Pawła Jasienicy, a zakwestionowana przez agenta bezpieki książka została przekazana bezpośrednio ówczesnemu pierwszemu sekretarzowi wojewódzkiemu PZPR w Szczecinie Januszowi Brychowi.

W pamięci szczecinian pozostała Helena Kurcyszowa kochającym miasto i ludzi animatorem kultury oraz zaangażowaną społecznie optymistką. Znana była także jako poetka, twórczyni opowiadań i malarka. Osoby, które miały przyjemność ją poznać, podkreślały jej nadzwyczajną umiejętność obcowania z różnymi ludźmi, pogodę ducha i ciepło, niezwykłą urodę, miłość do gór (w szczególności Tatr), zamiłowanie do... kapeluszy oraz bogobojność, pracowitość i wytrwałość. W Szczecinie mówiono do niej najczęściej Helunia. ■

Akta UB przeciw Helenie



ZDARZYŁO SIĘ



czytaniach z dnia Pismo Święte z XVII w. po grecku. Człowiek o niesamowicie szerokich horyzontach i bujnym życiorysie. Urodził się i wychował w Oranie, we francuskiej Algierii. Mama Francuzka, tato Hiszpan. Z życia codziennego wyniósł znajomość języka hiszpańskiego, francuskiego i arabskiego. W liceum nauczył się greki i łaciny. Jako student postanowił się uczyć... rosyjskiego. W ramach odwizły po śmierci Stalina jako jeden z pierwszych Francuzów skorzystał ze stypendium językowego w Moskwie w latach 1955–1956. Był jednym z niewielu intelektualistów Zachodu, którzy potrafili poznać prawdziwą Rosję i prawdziwy ko-

FARBA ZAMIAST ŚLIWEK, CZYLI Z ZIEMI FRANCUSKIEJ DO POLSKI



**PAWEŁ
BŁAŻEWICZ**

IPN

Przez dziewięć lat mieszkam w konspiracyjnej drukarni Solidarności, którą rodzice założyli w naszym mieszkaniu zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Tato od 1983 r. był zaprzysiężonym członkiem Solidarności Walczącej. Nie pamiętam dokładnie, w którym roku proboszcz naszej kapucyńskiej parafii zapytał, czy możemy przyjąć na nocleg państwa Martinezów, którzy przywieźli z Francji dary humanitarne. Kapucyni świetnie znali nasze zaangażowanie opozycyjne, bo sami często używali swojego klasztoru na działalność naszej drukarni. Proboszcz ojciec Adam Białek, lokując u nas Francuzów, chciał, żeby nawiązali kolejne kontakty z opozycją. Martinezowie wraz z dwudziestką przyjaciół zaraz po nocnym czuwaniu przy Najświętszym Sakramencie w intencji Polaków założyli stowarzyszenie Pologne – Liberté. Z czasem inicjatywa objęła ponad sto osób systematycznie płacących składki i angażujących się w działania.

**FERIE ŚWIĄTECZNE
I URLOPY
WYKORZYSTYWALI,
ŻEBY POMAGAĆ
POLAKOM PO
WPROWADZENIU PRZEZ
KOMUNISTÓW STANU
WOJENNEGO. OKOŁO
80 TRANSPORTÓW
HUMANITARNYCH
W CIĄGU SIEDMIU LAT
PRZYWIEŹLI DO POLSKI
WOŁONTARIUSZE
Z FRANCUSKIEGO
AIX-EN-PROVENCE**

Niesamowity człowiek

Duszą przedsięwzięcia był Luis Martinez, żarliwy, mocno stąpający po ziemi katolik. Poza niedzielną mszą św. często bywał w kościele na nieszporach, w domu na barokowym pulpicie miał otwarte na

munizm. Nie bał się nawiązywać kontaktów z opozycjonistami i ludźmi kultury, spychanymi na margines w sowieckiej rzeczywistości, jak Borys Pasternak. Był wybitnym tłumaczem literatury rosyjskiej na język francuski. Na stałe pracował jako wykładowca na Uniwersytecie w Aix-en-Provence, gdzie mieszkał. Jak wspomina jego żona Jacqueline, „języka polskiego nauczył się w trzy miesiące”.

Bogactwo darów

W maju 1982 r. poprowadził pierwszy transport pomocy do Polski. Drugim kierowcą był kapłan z parafii Saint Jean de Malte, Michel-Pierre Morin. Na początku transporty były wyłącznie humanitarne. Ale kolejne, oprócz żywności, ubrań i leków, ukrywały materiały dla solidarnościowej opozycji: farby drukarskie, papier, odczynniki chemiczne, a nawet sprzęt elektroniczny, np. do nadajników radiowych. Oczywiście był także przerzut polskich książek i czasopism, zwłaszcza paryskiej „Kultury”, drukowanej – specjalnie do szmuglowania przez granicę – na cieniutkim papierze biblijnym w formacie A7, czyli wielkości czterech pudełek od zapalek. Te materiały były ukryte w „fabrycznie” zamkniętych pudełkach z ryżem, proszkiem do prania lub w kon-

FOT. ARCHIWUM AUTORA (2X)

serwach z „konfiturą”. Tą drogą, ukryty w zakamarkach furgonetki, dotarł do nas duży francuski plakat przedstawiający Jaruzelskiego w formie pionka szachowego na zakrwawionym polu o kształtach Polski, z podpisem „Pion du Moscou”. Już wkrótce wydrukowaliśmy identyczny plakat z przetłumaczonym napisem „Pionek Moskwy”.

Z tej pomocy humanitarnej i konspiracyjnej korzystały także inne miasta. W Krakowie środowiska związane z klasztorem dominikanów i z tynieckimi benedyktynami. Ważnym punktem była tam również mistrzejowska parafia św. Maksymiliana Marii Kolbego, gdzie proboszczował ks. Kazimierz Jancarz. Trzecim docelowym miastem transportów był Tarnów, a konkretnie klasztor Zgromadzenia Sióstr Serca Jezusowego.

Bogate zaplecze

Taka wyprawa, tam i z powrotem ok. 4 tys. km, trwała co najmniej 10 dni. Francuscy dobrodzieje brali na to urlopy wypoczynkowe lub wykorzystywali przerwy w nauce, jak studenci Marie i Emmanuel, dzieci państwa Martinezów. Wśród kierowców warto wymienić także generała Jacquesa Laurenta, byłego francuskiego attaché wojskowego w Moskwie.

Oczywiście cały sztab ludzi dobrej woli w różnych okresach wspierał inicjatywę na miejscu, w Aix-en-Provence, poczynszyszy od arcybiskupa Bernarda Panafieu. Rada miejska użyczyła lokalu do działalności stowarzyszenia. Co roku odbywały się manifestacje organizowane w rocznicę stanu wojennego. Od początku inicjatywę wsparł finansowo oraz swoimi kontaktami przyjaciel rodziny, wybitny historyk Alain Besançon. Andrzej Wołkoński, rosyjski muzyk, który wyemigrował do Francji, koncertował, by zbierać pieniądze na paliwo. Dwaj transportowcy Wayland Dobson i Jean Eicher przewozili gratis instrumenty muzyczne z miasta do miasta. Marian i Marta Montagne wraz ze swoim sąsiadem sadownikiem zamykali firmowo w konserwach z „powidłami śliwkowymi” farbę drukarską oraz inne substancje chemiczne dla konspiracyjnych drukarni Solidarności. Także Marie-Jeanne Apprin wraz z bratem dzielnie pomagali maskować ryzyko papieru oraz sprzęt drukarski, który później polscy zakonnicy przekazywali konspiratorom. Claude Vaglio użył ciężarówkę na pierwszy konwój, ze swojej firmy nieruchomości Prism. Innym

razem furgonetkę dał do dyspozycji szef renomowanej czekoladziarni De Puyricard. Polski malarz, jeszcze od czasów dwudziestolecia wojennego działający we Francji, Jan Zawadowski, wraz z żoną Tamarą i córką Izabelą udostępnili swoją posiadłość na kolację dobroczynne oraz inne inicjatywy stowarzyszenia, lekarz Jean Default używał zaś przytulne zaplecze swojej przychodni na wieczorne narady. Wziął również udział w transporcie.

Trzy razy w roku Martinezowie organizowali wykłady, by działalności stowarzyszenia dać także bazę intelektualną. Odczyty odbywały się w prestiżowym Pałacu Kongresowym. Oczywiście listę prelegentów otwierał Alain Besançon. Pomysłodawca inicjatywy, Luis Martinez, był uznanym tłumaczem literatury rosyjskiej, przełożył m.in. „Doktora Żywago” Pasternaka czy „Pierwszy krąg” Sołżenicyna, więc parnas specjalistów od Rosji czy od komunizmu stał przed nim otworem. W kolejnych miesiącach i latach dla Pologne – Liberté wystąpiły



Autor z oryginalnym plakatem

więc m.in. takie sławy jak Michaił Heller, Jean-François Revel czy Norman Davies.

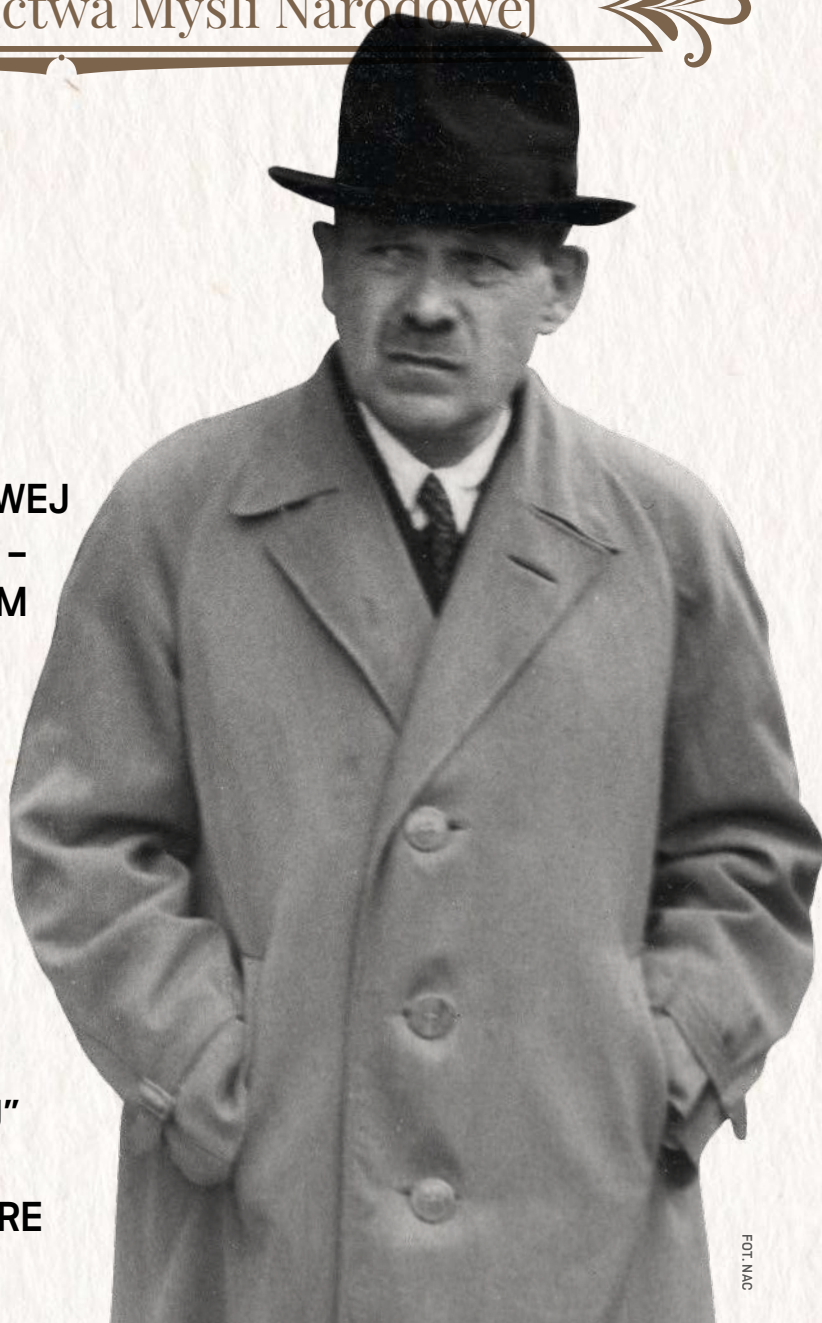
Powody

Intrygująca była motywacja udziału różnych osób w całej inicjatywie. Jacqueline, żona nieżyjącego już pomysłodawcy powstania stowarzyszenia, wspomina, że Luis, który pochodził z Oranu, przeżył głęboko istnienie obozów uchodźców francuskich z Algierii po tamtejszej wojnie domowej. Niemniej boleśnie odczuł także – nieformalną, ale bardzo skuteczną – francuską cenzurę na ten temat. „Nie chciał dopuścić – mówi Jacqueline – żeby cierpiący Polacy także zostali zapomniani. Wykorzystał możliwość pomocy humanitarnej, by wesprzeć moralnie i materialnie braci chrześcijan i Europejczyków jak my. Jednocześnie chciał, by zaangażowani w inicjatywę mieszkańcy Aix-en-Provence na własnej skórze doświadczyli, czym był komunizm”. Ze wszystkich środowisk, z którymi stykali się Martinezowie, stosunkowo najmniej licznie zaangażowały się w pomoc osoby z Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu w Aix-en-Provence, gdzie pracował pan Luis. Marksistowskie wpływy były tam porażająco rozległe. Postawy trzech znajomych Luisa, jedynych wykładowców tego fakultetu, którzy się zaangażowali, odzwierciedlają całą paletę motywacji różnych osób: „jeden z nich wziął udział jako kierowca w imię obrony praw człowieka – wspomina pani Martinez – drugi, z buntu wobec bierności, a nawet wrogości innych wykładowców, którzy inicjatywy sprzeciwiające się ideologii komunistycznej napiętnowali jako faszystowskie. Wreszcie trzeci, z przyjaźni”.

Hojnej działalności, a później także gościnności w domu rodziny Martinezów, doświadczyłem osobiście i wyryła mi się głęboko w sercu. W epoce intensywnej walki z komunistycznym reżimem Jaruzelskiego w latach 80. podobnych działań było wiele, zwłaszcza ze strony Francuzów i Niemców. Stanowiły istotny element do podtrzymania nadziei i odbudowy naszej niepodległości. Dzisiaj kolej na nas, by przekazać to dobro jeszcze dalej na Wschód. Nie brakuje też różnych trudności, o których dzisiaj wielu osobom nawet się jeszcze nie śni. Pomoc w Polsce i Ukrainie będzie potrzebna przez lata, nawet jeśli wojna skończy się szybko, o co tak wielu się modli i w tym kierunku działa.



„SZCZITY TWÓRCZOŚCI NARODOWEJ
– ARTYSTYCZNEJ CZY NAUKOWEJ –
WINNY SIĘ ŁĄCZYĆ I W DOJRZAŁYM
SPOŁECZEŃSTWIE ŁĄCZĄ SIĘ
RZECZYWIŚCIE JEDNĄ
NICIĄ TROSKI NARODOWEJ
Z NAJPOZIOMSZEMI
DZIEDZINAMI ŻYCIA. PRAWDY
TE POWOLI UGRUNTOWUJĄ SIĘ
W NASZEJ ŚWIADOMOŚCI. DUSZA
POLSKA CORAZ BARDZIEJ SIĘ
ZRASTA Z CIAŁEM. WYCHODZI TO
NA DOBRE JAK DUSZY, TAK I CIAŁU”
– OTO FRAGMENT ZNAMIENTEGO,
ACZ ZAPOMNIANEGO DZIEŁA, KTÓRE
UKAZAŁO SIĘ W WILNIE A.D. 1914



FOT. NAC

STANISŁAW CYWIŃSKI – WIELKI UCZONY OFIARĄ SANACYJNYCH SIEPACZY


**MARTA
CYWIŃSKA**

Jego autor przeszedł do historii literatury jako publicysta i badacz, jako znawca twórczości Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Władysława Syrokomli, Henryka Sienkiewicza, Stanisława Wyspiańskiego, ale przede wszystkim Cypriana Kamila Norwida, którego twórczość obdarzył mianem „literackiej Ewangelii”.

Stanisław Cywiński – bo o nim mowa – urodził się 29 stycznia 1888 r. w Mohylewie nad Dnieprem jako syn lekarza

W Warszawie przebywał do 1921 r., gdzie podjął pracę jako nauczyciel języka polskiego. Powrócił do Wilna w tym samym roku i w 1923 zawarł tam związek małżeński z uroczą nauczycielką Stanisławą Szemiotówną. Podczas studiów na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego wraz z Jerzym Gordyńskim oraz Tadeuszem Strumiłłą stworzył podwaliny polskiego skautingu.

Badacz romantyzmu, wielbiciel Norwida

W marcu 1924 r. złożył podanie do dziekana Wydziału Humanistycznego z prośbą o dopuszczenie do egzaminu doktorskiego z filozofii na podstawie krytycznego opracowania wyboru poezji Cypriana Kamila Norwida. Jednym z recenzentów pracy

była analogie między filozofią i poezją polską okresu romantyzmu. Doc. Stanisław Cywiński dopatrywał się w filozofii jego czasów pokrewieństwa ze sztuką. Rodzaj argumentacji charakteryzował bardziej filozofa oraz ideologa aniżeli literaturoznawcę. Uważał pozytywizm („Romantyzm a mesjanizm”, Wilno 1914) za wrogi chrześcijaństwu, mesjanizm zaś za źródło wartości. Rozważania oparł na obszernych źródłach historycznych oraz literackich.

Od „literackiej Ewangelii” do oniryzmu „Wesela”

Jego zainteresowania badawcze oraz popularyzatorskie skupiały się wokół twórczości m.in. Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Władysława Syrokomli, Henryka Sienkiewicza, Stanisława Wyspiańskiego, ale przede wszystkim Cypriana Kamila Norwida, którego twórczość nosiła dlań miano „literackiej Ewangelii”. W 1923 r. Cywiński przygotował do druku trzypięciowy wybór poezji Syrokomli w trzech tomach wraz ze wstępem biograficznym oraz charakterystyką dorobku poety. Twórczość Norwida reprezentowała dlań zbiór najwyższych wartości moralnych, których przyswojenie było pomocne w sprośnieniu zadaniom uwarunkowanym przemianami w okresie międzywojennym. Doc. Cywiński w dziele Norwida widział nie tylko najszlachetniejsze formy przewycięzania ujemnych stron romantyzmu, ale i materię badawczą traktowaną ze szczególną pieczołowitością. Dzieło Stanisława Wyspiańskiego poświęcił pracę „Symbolika Wesela” (1931), w której zaakcentował różne punkty widzenia krytyków oraz niejednoznaczność postaci Chochoła.

Złowieszczy konflikt

W 1928 r. Julian Tuwim otrzymał nagrodę literacką miasta Łodzi. Wówczas Stanisław Cywiński w tekście zatytułowanym „Też... laureat” zasugerował niechęć laureata do twórczości Adama Mickiewicza – w tym szczególnie do przesłania patriotycznego w „Panu Tadeuszu”. Tuwim długo tłumił wyolbrzymione pretensje do adwersarza. Dopiero w 1936 r. na łamach „Wiadomości Literackich” ukazał się jego tekst zatytułowany „Słówko o p. Stanisławie Cywińskim”. Cywiński – według Tuwima – rzekomo twierdził, iż Mickiewicz bluźnił wobec Boga i narodu. Redakcja >>

KILKU PUŁKOWNIKÓW I MAJORÓW ZE STACJONUJĄCYCH W WILNIE PUŁKÓW 1. DYWIZJI PIECHOTY LEGIONÓW DOKONAŁO BRUTALNEGO NAJŚCIA NA MIESZKANIE DOCENTA I DOTKLIWIE GO POBIŁO

Mariana Cywińskiego i Julii z Gintowtów. Ród Cywińskich miał podówczas rozległe koneksje na Wileńszczyźnie, a żywe wówczas tradycje powstania styczniowego oraz atmosfera domu wpłynęły na szybkie osiągnięcie dojrzałości intelektualnej, emocjonalnej oraz światopoglądowej młodzieńca, który podjął naukę w gimnazjum klasycznym w Mohylewie i ukończył je w 1906 r.

Między duchem a materią

Po maturze Staś podjął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i ukończył je w 1910 r. Jeszcze w czasie studiów opublikował krótką rozprawę „O Cyprianie Norwidzie słów kilka”. Wiedzę literacką pogłębiał na studiach polonistycznych. Jesienią 1910 r. podjął pracę nauczycielską w Wilnie. W 1908 r. został członkiem Eleusis – stowarzyszenia o profilu religijno-filozoficznym, zwalczającym upadek obyczajów, założonego przez narodowca prof. Wincentego Lutosławskiego. W 1919 r. wyjechał z Wilna.

był prof. Stanisław Pigoń. Oryginalność oraz nowatorskość pracy doktorskiej Cywińskiego zadecydowały o jej wysokiej ocenie i przypieczętowały rozwijanie zainteresowań badawczych opartych na literaturze romantyzmu. W 1928 r. obronił habilitację na podstawie rozprawy o Samuele Zborowskim Juliusza Słowackiego pt. „Misterium genezyjskie o Polsce”. W latach 1930–1931 Stanisław Cywiński był zatrudniony jako wykładowca literatury polskiej XIX–XX w. Prowadził wykłady z najnowszej literatury polskiej oraz dydaktyki literatury. W spisie nauczycieli akademickich na rok 1935/1936 figuruje jako członek Rady Wydziału oraz w spisie zatytułowanym „Inni członkowie grona nauczycielskiego, docenci: Stanisław Cywiński, doktor filozofii, docent literatury polskiej XIX i XX wieku”.

Zainteresowania badawcze Cywińskiego skupiały się przede wszystkim wokół warstwy ideowej dzieła literackiego, jego znaczenia dla kultury narodowej oraz wymiaru humanistycznego. Praca zatytułowana „Romantyzm a mesjanizm” uka-

» zamieściła wiersz skamandryty znany jako „Absztyfikanci Grubej Berty” (od pierwszych słów utworu) lub też „Całujcie mnie wszyscy w dupę” (od wersu końącego każdą zwrotkę) obrażający docenta: „Item profesor Cy... wileński”. Lansowany jako satyryczny opis przedwojennego społeczeństwa polskiego zawiera obelgi wymierzone w poszczególne jego grupy.

Brutalna napaść

30 stycznia 1938 r. w „Dzienniku Wileńskim” – organie Stronnictwa Narodowego, ukazała się recenzja broszury Melchiora Wańkowicza: „C.O.P. – ognisko siły”. Jej autor – Stanisław Cywiński użył zwrotu „pewien kabotyn”, przyrównując Polskę do obwarzanego, pustego w środku, wypełnionego po brzegach (mowa o Kresach Wschodnich). 13 lutego na łamach dwutygodnika „Naród i Państwo” redakcja zamieściła anonimową notatkę (przypisywaną następnie Bolesławowi Sroczkiemu lub Melchiorowi Wańkowiczowi), ukazującą Cywińskiego jako autora inwektiw skierowanych przeciw marszałkowi Piłsudskiemu. Nazajutrz, 14 lutego, kilku pułkowników i majorów ze stacjonujących w Wilnie pułków 1. Dywizji Piechoty Legionów dokonało brutalnego najścia na mieszkanie docenta i dotkliwie go pobiło.

Rektor Uniwersytetu Stefana Batorego ks. prof. Aleksander Wóycicki zawiesił docenta Cywińskiego w obowiązkach nauczyciela akademickiego oraz przekazał jego sprawę do komisji dyscyplinarnej. O uchwalonym wniosku bez zarządzenia dyskusji powiadomiono Cywińskiego przebywającego w areszcie śledczym. W obronie ulubionego wykładowcy stanęli studenci. W piśmie z 16 lutego Organizacja Polskiej Młodzieży Akademickiej żądała „ujawnienia sprawców na-

padu i pociągnięcia ich do odpowiedzialności” oraz na znak protestu proklamowała jednodniowy strajk protestacyjny. By nie doszło do niepożądanego konfrontacji studentów z wojskiem, rektor zezwolił na konferencję społeczności akademickiej. 19 lutego na zebraniu Zarządu Stowarzyszenia Bratniej Pomocy Polskiej Młodzieży wyrażono poparcie strajkującym studentom. Zarazem jednak rektor i senat USB jawnie okazywali nieprzychylność wobec docenta. Nie uczyniono żadnego kroku w kierunku wyjaśnienia genezy zaistniałej sytuacji. Jedynie prof. Stanisław Kościółkowski w liście do prof. Stanisława Zajęczkowskiego – dziekana Wydziału Humanistycznego USB – wziął w obronę doc. Cywińskiego, stwierdziwszy, że Senat nie rozpatrzył należycie sprawy wykładowcy uczelni.

„Naruszona” cześć Marszałka

Pułkownik Rudolf Eugeniusz Dreszer w gwałtownym wystąpieniu napaść i pobicie Cywińskiego nazwał żołnierskim obowiązkiem manifestacji patriotycznych uczuć, w obronie czci Marszałka. Wypowiedź Dreszera nagłośniona przez Polską Agencję Telegraficzną pogłębiła właśnie nie tylko na macierzystej uczelni doc. Cywińskiego; w jego obronie wystąpili głównie studenci, pracownicy w większości nie mieli odwagi. W tle iskrzyło bowiem z racji sporu politycznego między narodowcami i piłsudczykami.

Prasową wypowiedź Stanisława Cywińskiego płk Dreszer określił dowodem działania na rzecz obcych agentur, które narażają polską armię na dywersję i szpiegostwo oraz jako napaść na Wodza. Potępił również młodzież akademicką, która wystąpiła w obronie swego wykład-

dowcy. Stwierdził, że postawa studentów jest wroga armii oraz narodowi i stanowi „szalone niebezpieczeństwo dla Polski”.

Na procesie wystąpili profesorowie Stanisław Kościółkowski, Stanisław Pigoń oraz Marian Zdziechowski. Ich obrona zmierzała w kierunku uspokojenia opinii publicznej z góry skazującej Cywińskiego na śmierć cywilną. Świadkowie dołożyli wszelkich starań, by podkreślać przede wszystkim zasługi oskarżonego dla środowiska humanistyki wileńskiej, dorobek naukowy i sukcesy dydaktyczne oraz jego wkład w odbudowę szkolnictwa polskiego. Na łamach „Kuriera Codziennego”, „Kuriera Polskiego”, ale także „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, „Głosu Narodowego” ukazywały się artykuły skalujące, choć z innych powodów, dobre imię Stanisława Cywińskiego. Wyrokiem sądu został skazany na trzy lata pozbawienia wolności. Zwolniony za kaucją 17 czerwca 1938 r. utracił posadę na uczelni i nie został zrehabilitowany przez władze uniwersyteckie.

W areszcie i na zesłaniu

15 lutego 1938 r. doc. Stanisław Cywiński został aresztowany i osadzony w wileńskim więzieniu na Łukiszkach, a następnie w Warszawie na Rakowieckiej. Wniesienie apelacji skutkowało zmniejszeniem kary o połowę. Tuż przed wybuchem wojny doc. Cywiński wrócił do Wilna. Aresztowany w październiku 1939 r. i przesłuchiwany w sowieckich kazamatach zmarł w Kirowie (Wiatka) w szpitalu więziennym 25 marca 1941 r. Doceniony dopiero po latach, i to przede wszystkim przez norwidologów, zasługuje na szczególne miejsce w Panteonie polskiej humanistyki. A taki oto testament ideowy nam pozostawił:

„Największą niewątpliwie zdobyczą polską w ostatnich czasach jest to, żeśmy bodaj powszechnie uświadomili sobie, że w życiu narodowym niema dziedziny błahszej, nieistotnej, której zanik lub choćby tylko niedorozwój możnaby ostatecznie powetować zdobyczami na innym polu. Odnosi się to zarówno do dziedzin natury materialnej, jak i duchowej. Pojmujemy wreszcie, wchodzi to w naszą krew i wolę, że jak ciało bez ducha jest martwe, tak w rozwoju narodu jest konieczną, nieodzowną całą stroną życia t. zw. teoretyczną”. Bez polskiej literatury romantycznej bylibyśmy bowiem duchowo martwi jako naród.



NIEZWYKŁE ŻYCIE

KATARZYNA Z OPALIŃSKICH LESZCZYŃSKA JEST OSTATNIA
POSTACIĄ, KTÓRA ZASŁUGUJE NA MIANO POLSKIEJ WŁADCZYNI



MAREK
BARAŃSKI

Katarzyna, córka kasztelana poznańskiego Jana Opalińskiego i Zofii Czarnkowskiej, urodziła się w Poznaniu w 1680 r. Podobnie jak inne panny z jej sfery odebrała staranne wykształcenie i wychowanie w duchu religijnym. W 1698 r. wyszła za mąż za Stanisława Leszczyńskiego, w owym czasie podczaszego koronnego. Wniosła mu w posagu duży majątek.

Pierwsze lata wspólnego życia były spokojne i szczęśliwe – w 1699 r. małżonkom urodziła się córka Anna, a cztery lata później – Maria. Spokój ten zakłóciły dopiero wydarzenia polityczne i wspaniałe perspektywy, jakie otworzyły się przed Stanisławem. Wysunięty przez władcę Szwecji Karola XII, został on po detronizacji Augusta II Mocnego wybrany na króla Polski i Wielkiego Księcia Litewskiego. W październiku 1705 r. odbyła się koronacja obojga małżonków. Jednak nie mogli oni spokojnie zasiadać na tronie, gdyż trwała wojna, przez Polskę przetaczały się różne wojska, a August II nie zrezygnował z polskiej korony. Katarzyna i Stanisław usunęli się do Prus Królewskich, Katarzyna przebywała w Elblągu, we Fromborku i w innych miejscowościach na Warmii. W czasie tych wędrówek starała się stworzyć stronnictwo wspierające jej męża. Wobec trudnej sytuacji w 1708 r. opuściła Rzeczpospolitą, by na wyjaśnienie sytuacji oczekiwać w Szczecinie. Tam, po klęsce Karola XII w bitwie pod Połtawą, doczekała się na przyjazd męża. Jednak Katarzyna nie przebywała w Szczecinie długo. Już w 1711 r. musiała wyjechać do Stralsundu, a stamtąd – do Skanii.

Cały czas borykała się z brakiem pieniędzy, a poza tym czuła się osamotniona

pośród protestantów. Jej mąż był ciągle zajęty działalnością polityczną. W 1712 r. wraz z Karolem XII wyruszył na ryzykowną wyprawę do tureckiego Benderu. Gdy wrócił, oboje przenieśli się do Stralsundu, a stamtąd, w 1714 r., do nadanego Leszczyńskiemu księstwa Zweibrucken. Wydawać by się mogło, że życie małżonków zaczyna się stabilizować. Jednak prześladowali ich zamachowcy nasyłani przez Augusta II Mocnego. Spotkała ich też tragedia, w 1717 r. zmarła ich ukochana córka Anna.

Wobec zagrożenia Leszczyńscy przenieśli się do Alzacji i osiedli w Wissemburgu. Tam jednak dokuczały im problemy materialne. Sytuacja zmieniła się nagle, gdy król Francji Ludwik XV poprosił o rękę ich córki Marii. Ślub odbył się w 1725 r. i Maria zamieszkała w Wersalu, a Katarzyna z mężem – w zamku Chambord. Mimo zmiany losu Katarzyna nie była szczęśliwa, czuła się samotna, często chorowała.

W 1733 r. zmarł August II Mocny, Stanisław Leszczyński wyruszył do Warszawy na elekcję, Katarzyna z oddali śledziła jego losy. Mieszkała nadal w Chambord, potem przeniosła się do Saint-Cyr w pobliżu Wersalu. Na dworze francuskim zabiegała o pomoc dla swego męża.

Choć to Stanisław Leszczyński został wybrany na króla, dzięki obcej interwencji koronę uzyskał syn Augusta II, August III. Stanisław próbował walczyć, schronił się w Gdańsku, musiał jednak uznać swą przegraną i wrócić do Francji. Ludwik XV, choć coraz bardziej miał dosyć swojej polskiej żony, nie mógł teścia pozostawić z niczym. W 1735 r., na mocy układu między Francją, Austrią i Rosją, nadano Stanisławowi Leszczyńskiemu księstwo Lotaryngii i Bar, pozwolono mu też zachować tytuł królewski. Katarzyna i Stanisław zamieszkali w Luneville.

Choć skończyły się ciągłe kłopoty finansowe, choć mąż Katarzyny cieszył się uznaniem w księstwie, w którym panował, choć córka Katarzyny była władczynią najpotężniejszego europejskiego królestwa, Katarzyna nie była szczęśliwa.

Źle się czuła na obczyźnie, marzyła o powrocie do Polski. Nie najlepiej układały się też jej stosunki z mężem. Stanisław bowiem ciągle zdradzał swą żonę, w końcu zaczął utrzymywać niemal legalną metresę. Choć w ostatnich latach życia Katarzyna zbliżyła się do swej córki, kontakty między paniami były z powodów etykiety utrudnione. Smutki i oddalenie od ojczyzny spowodowały, że stała się zgryźliwa i nerwowa.

Katarzyna zmarła w 1747 r. Mąż urządził jej wspaniały pogrzeb, zięć Ludwik XV ogłosił długą żałobę. Katarzyna została pochowana w Nancy w kościele Notre Dame de Bonsecours.



Katarzyna
Leszczyńska

Słowo „patriotyzm” przywołuje dziś różne, często skrajne konotacje... Jakie postawy kryją się za odmianami tego pojęcia?

Łukasz Ofiara: Rzeczywiście, patriotyzm jest wartością jednocześnie bardzo pojemną, zawiera w sobie wiele znaczeń, i zarazem wartością wrażliwą, która wywołuje graniczne emocje. Z jednej strony mamy do czynienia z patriotyzmem walczącym, patriotyzmem ulicy pełnej świetlnych rac, kojarzącym się nam z karabinami. To może budzić obawę przed nacjonalizmem, nazizmem, faszyzmem, narodowym szowinizmem, a więc postawami skrajnymi, negującymi takie wartości jak tolerancja, demokracja czy szacunek dla innego, obcego, na rzecz bezgranicznego uwielbienia własnej nacji. Z drugiej strony ten walczący patriotyzm może przywołać też jak najbardziej pozytywne skojarzenia z osobami, które walczyły i umierały za ojczyznę. Recepcja patriotyzmu jest zatem bardzo różna, w zależności od wrażliwości ludzkiej, czynników społecznych i politycznych.

W Centrum Myśli Jana Pawła II pojawił się pomysł, żeby spotkać ze sobą te różne spojrzenia na patriotyzm i rozmawiać o nim jako o wartości wspólnototwórczej, a nie polaryzującej. Dlaczego w ogóle postanowiliście poruszyć ten temat właśnie teraz?

O współczesnych odcieniach patriotyzmu z **ŁUKASZEM OFIARĄ**, koordynatorem projektu „Dwa kolory – między buntem a posłuszeństwem” organizowanego przez Centrum Myśli Jana Pawła II, rozmawia Agata Madaj

SOLIDARNOŚĆ JAKO MARKA

Punktem wyjścia były stosunki społeczne, które obserwowaliśmy w Polsce, oraz wspomniane wcześniej różne konotacje samego terminu. Takim najbardziej powszechnym rozumieniem słowa „patriotyzm” jest po prostu „miłość ojczyzny”. Ten temat leżał także bardzo głęboko na sercu Janowi Pawłowi II, którego przesłanie podejmujemy w Centrum. Jego myśl o narodzie i o realnej, bardzo dojrzałej miłości do ojczyzny, opartej na tożsamości narodowej, bez wkraczania w jakieś agresje personalne, jest bardzo aktualna. Obserwując nasze społeczeństwo, jego spolaryzowanie polityczne, widzimy, jak pojęcie patriotyzmu jest wykorzystywane do doraźnych celów. Dzieje się tak przy różnych narracjach historycznych czy np. sporach o uczestnictwo we wspólnotie europejskiej. My chcemy podjąć znacznie szerszą refleksję. I nie chodzi nam w żadnym razie tylko o promowany teraz nowoczesny patriotyzm ekonomiczny, wyrażający się m.in. w płaceniu podatków, co jest oczywiście bardzo ważne. Jednak nie mniej istotne konteksty to niepokoje na granicy, pozycja kobiet w społeczeństwie, głębszy patriotyzm gospodarczy, czyli np. uczciwe wynagradzanie pracowników czy emigracja zarobkowa. To takie aspekty tego tematu, które są bardziej istotne niż tylko sprzątanie w parku po swoim psie, choć to też ważny przejaw patriotyzmu lokalnego. Ale naszym założeniem jest sięgać zdecydowanie głębiej, szukając tego, co nas w temacie patriotyzmu tak naprawdę łączy, a nie dzieli.

Pretekstem do debat, które organizuje Centrum Myśli Jana Pawła II, są pewne ważne rocznice historyczne. Dlaczego akurat te wydarzenia?

Tak, debaty będą sąsiadować z terminami rocznic, które są jednak tylko pewnym tłem, punktem wyjścia. Przykładowo podczas pierwszej debaty, która odbędzie się już 27 kwietnia na Zamku Królewskim i będzie nosić tytuł „Za, a nawet przeciw”, chcemy nawiązywać do uchwalenia Konstytucji 3 maja, ale też rozmawiać o naszym stosunku do prawa dzisiaj, o granicach pewnego obywatelskiego nieposłuszeństwa. Gdzie możemy się buntować i w jaki sposób wyrażać swój sprzeciw? Jaki mamy stosunek do stanowienia prawa – czy jesteśmy bardziej aktywni i chcemy to prawo stanowić, czy jesteśmy bardziej receptywni? Rocznica, która towarzyszy drugiej de-

bacie w Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego, jest mniej oczywista: nawiązujemy do 12 czerwca 1987 r., kiedy Jan Paweł II na gdańskim osiedlu Zaspą wskazywał na konieczność budowy społeczeństwa opartego na solidarności. Zastanowimy się zatem, na ile patriotą jest człowiek solidarny. Czy rzeczywiście solidarność, ta pisana solidarycą, czyli cały ruch społeczny NSZZ „Solidarność”, ale też solidarność w kontekście patriotyzmu gospodarczego – płacenia podatków, dbałości o pracownika czy nawet w kontekście ostatnich wydarzeń wojennych i solidarności z Ukrainą, to nasza polska marka? Może solidarność, o której można powiedzieć, że została w pewnym momencie trochę zapomniana, zdruzgotana, upolityczniona, jednak wciąż gdzieś tkwi w nas jako ważna wartość i daje o sobie znać w momentach kryzysowych, np. w kontekście tego, co zrobiliśmy ostatnio dla Ukraińców? Może inne narody nie znają nas z pięknej architektury czy nowoczesnych samochodów, ale za to wciąż kojarzą nas właśnie z solidarnością, która jest pewną perełką w Europie, i możemy być z niej dumni?

Kiedy opracowywaliście program spotkań, nawet w najczarniejszych scenariuszach trudno było przewidzieć wojnę w Ukrainie. Czy ta wojna wymusiła jakąś rewizję waszych planów, wprowadziła do nich nowe wątki?

Rzeczywiście w tym momencie patriotyzm rozumiany jako gotowość obrony ojczyzny wydaje się nam bliższy niż wszystkie piękne hasła o patriotyzmie w wymiarze gospodarczym czy społecznym. To, z czym mamy dziś do czynienia, to wróg u granic. I, siłą rzeczy, pytamy siebie, obserwując naszych braci Ukraińców, na ile jesteśmy gotowi do bardzo drastycznego i radykalnego poświęcenia swojego życia. Niekoniecznie mówię tutaj o wstępowaniu do wojska, chociaż wiele osób się dziś nad tym bardzo konkretnie zastanawia... To zatem pierwsza kwestia, która dynamizuje nam myślenie o projekcie. Druga to pewne zachowania dotyczące współpracy z Rosją na polu gospodarki, kultury czy sportu. Obserwujemy akcje społeczne typu niekupowanie rosyjskich produktów, na kanałach sportowych trwają dyskusje, czy grać eliminacje z Rosjanami, czy konkretny zawodnik powinien być wykluczony z jakiegoś związku sportowego, czy dany artysta

powinien u nas wystąpić... Zadajemy sobie pytanie: jak jako Polacy, Europejczycy i patrioci powinniśmy się zachować w momencie agresji na Ukrainę?

W tym momencie w Polakach mocno rezonuje postawa młodych Ukraińców, którzy masowo wracali z Polski, by bronić swojego kraju... A jak to jest na co dzień: kto ma największy wpływ na kształtowanie postaw patriotycznych u młodych ludzi? Rodzina, a może szkoła z jedną godziną historii w tygodniu?

Tak, rodzina i szkoła z jednej strony, ale nie zapominajmy o TikToku i innych mediach społecznościowych. Wiadomości z tego źródła często nie są skanalizowane ideowo, stanowią pewną masę, bywają fake newsami, ale to jest podstawowy kanał informacji. Moje dziecko wróciło ze szkoły pierwszego dnia wojny z hasłem „Stop Putin” i jednym mocnym przekazem, że bandycka Rosja czy bandycki Putin zaatakował niewinną Ukrainę, że dzieje się nieszczęście. I młody człowiek do końca nie wie, co zrobić z takim przekazem. Dopiero drugi przekaz jest taki, że skoro jest jakieś nieszczęście, powinniśmy pomóc. I to jest rola szkoły czy rodziców, by treści, które młodzież dostaje jako informacyjną papkę, przefiltrować i ukierunkować. Ideą naszego projektu jest dotarcie do uczniów, którzy są na co dzień odcięci od mocnej dyskusji intelektualnej. Struktura projektu jest kaskadowa: treści z debat trafiają przez nauczycieli do uczniów, w atrakcyjnej, przyswajalnej dla nich formie.

W jakie konkretnie narzędzia wyposażacie nauczycieli?

Nauczycieli zapraszamy na debaty i spotkania fokusowe, które dadzą przestrzeń do dyskusji, refleksji, będą inspiracją. To do nich tak naprawdę będzie należeć stworzenie scenariuszy lekcji czy wydarzeń. Wierzmy, że uda nam się obudzić w nich takich superbelfrów, którzy będą mieli energię i pomysły, by przełożyć dyskutowane idee na język bliski uczniowi i też na te kanały, którymi on się posługuje. Nasz przekaz jest naprawdę prosty: patriotą może być zarówno ktoś, kto należy do drużyny harcerskiej i chodzi na wszystkie uroczystości patriotyczne, jak i ktoś, kto na te uroczystości nie chodzi, ale np. realnie opiekuje się uchodźcami. Nasza flaga mieści dwa kolory.

Dziękuję za rozmowę.

KA-CA-PY DO DO-MU!



Eliminacje do mistrzostw świata w Szwecji, mecz
Polska-ZSRR w Chorzowie, 20 października 1957 r.
Na zdjęciu Henryk Kempny w starciu z Lwem Jaszynem

W REAKCJI NA AGRESJĘ ROSJI NA UKRAINĘ NA WIELU LIGOWYCH STADIONACH POPULARNA STAŁA SIĘ NIECENZURALNA PRZYŚPIEWKA „JE... PUTINA! TO K... I ŚWINIA”. PREZENTOWANIE ANTYROSYJSKIEJ POSTAWY PRZY OKAZJI ROZGRYWEK SPORTOWYCH TO NIC NOWEGO. NIE INACZEJ BYŁO RÓWNIEŻ W OKRESIE POLSKI LUDOWEJ, ZWŁASZCZA W PRZYPADKU MECZÓW PIŁKARSKICH



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Biurowa Badań
Historycznych IPN

Najpoważniejszy incydent miał miejsce najprawdopodobniej podczas towarzyskiego spotkania między Rakowem Częstochowa a Iskrą Smoleńsk, które rozegrano 6 kwietnia 1987 r. Doszło

wówczas do spalenia flagi Związku Radzieckiego. Jego sprawcą był niespełna 18-letni uczeń I klasy zasadniczej szkoły zawodowej w Częstochowie. Został on zatrzymany na gorącym uczynku – zajął się nim najpierw Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Częstochowie, a następnie Prokuratura Rejonowa w tym samym mieście. Tym poważnym incydem między państwami interesowała się również Prokuratura Generalna PRL. Chłopak – jak potem pisano – początkowo „nie potrafił w sposób logiczny wytłumaczyć swojego postępowania”,

a później twierdził, że zdenerwował się prowadzeniem gości ze Wschodu i spalił flagę z zemsty. Miał sporo szczęścia – został co prawda aresztowany, ale po nieco ponad miesiącu (8 maja 1987 r.) prokuratura zdecydowała się na warunkowe umorzenie postępowania, nakazując mu jedynie przeproszenie w czynie społecznym 20 godzin. Na tak zaskakującą łagodny werdykt wpływ miały jego postawa podczas śledztwa, ograniczona poczytalność (był uczniem szkoły specjalnej), dotychczasowa niekaralność i pozytywna opinia środowiskowa.

W latach 80.

O ile częstochowski przypadek przeszedł bez echa, o tyle wydarzenia z 20 października 1983 r. ze Stadionu Olimpijskiego we Wrocławiu już nie. Tego dnia Polska rozgrywała mecz eliminacji mistrzostw Europy z Portugalią. Nasza reprezentacja nie miała już szans na awans, natomiast goście zachowywali je w przypadku wygranej – wówczas potrzebowali jeszcze pokonać Związek Radziecki u siebie, co zresztą uczynili. Wracając do meczu z Polską, to – ku zdziwieniu zarówno gości, jak i gospodarzy – widzowie zgromadzeni na stadionie w stolicy Dolnego Śląska dopingowali, ale Portugalię... Jak potem wspominał Władysław Ciołek: „Gdy tylko zaczęła się gra, kibice cieszyli się z naszych błędów, a nagradzali owacją każde dobre zagranie Portugalczyków”. Kiedy w końcu w 31. minucie goście strzelili – jak się później okazało – zwycięską bramkę, widzowie w euforii przez kilka minut skandowali „Portugalia, Portugalia!”. A kiedy sędzia zakończył mecz, na trybunach rozległo się z kolei „Ka-ca-py do do-mu!, Ka-ca-py do do-mu!”. Również Polaków – mimo porażki – żegnały brawa...

Kilka lat wcześniej 15 września 1982 r. na tym samym Stadionie Olimpijskim Śląsk Wrocław rywalizował w 1/32 Pucharu UEFA z Dynamem Moskwa. Jak potem opisywał „Tygodnik Mazowsze”, stadion został „otoczony szczelnym kordonem ZOMO”, z kolei trybunę honorową „obstawili komandosi”, a „co drugi sektor wypełnili żołnierze w hełmach i z bronią”. A mimo tego „w trakcie meczu z trybun padały antyradzieckie okrzyki”. Pół roku wcześniej (3 marca 1982 r.) w ćwierćfinale Pucharu Zdobywców Pucharów przy Łazienkowskiej rywalizowały Legia Warszawa z Dynamem Tbilisi. To był również dla władz mecz wysokiego ryzyka. Jak stwierdzano w ankiecie operacji milicyjnej o kryptonimie „Puchar”: „Mając na uwadze fakt, że w przeszłości niejednokrotnie, zwłaszcza w czasie spotkań z drużynami ZSRR, zdarzały się nieprzyjemne reakcje widzów (np. gwizdy, rzucanie butelek, chuligańskie ekscesy), zaszła konieczność – zwłaszcza w stanie wojennym zapewnienia właściwych warunków rozegrania meczu i niedopuszczenia do jakichkolwiek incydentów”. W obawie przed wrogim zachowaniem sięgnięto po środki nadzwyczajne. Na trybunach stadionu Legii znalazło się

kilka tysięcy żołnierzy i milicjantów, którzy mieli pilnować, by nie doszło do antyradzieckich rozruchów. Rozmieszczono ich w „sektorach najbardziej zagrożonych działalnością chuligańską. Sukces był polowiczny – do wrogiej demonstracji nie doszło, ale widzowie (na trybunach było łącznie ok. 20 tys.) wyrazili poparcie dla NSZZ „Solidarność” i niechęć do Związku Radzieckiego. Co prawda Dynamo było zespołem gruzińskim, reprezentowało jednak Związek Radziecki, więc kibice w trakcie meczu śpiewali: „Dym... Dynamo!, Dym... Dynamo!”. Tak na marginesie w dokumentach MSW o tym nie informowano, stwierdzając jedynie, że „nie uniknięto reakcji widzów, którzy w większości witali wszelkie poczynania drużyn, jak i zespołu sędziowskiego [...] gromkimi gwizdami”.

„Spiski i przekupstwo”

Również 20 lat wcześniej – w 1962 r. – z obawy przed demonstrowaniem przez kibiców antyradzieckich nastrojów na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, gdzie kończył się kolejny XV Wyścig Pokoju, podjęto wiele działań. Przy okazji rozprowadzania biletów w zakładach pracy przedstawicielom Komitetów Zakładowych PZPR nakazano przeprowadzenie rozmów na temat konieczności sportowej postawy w czasie zawodów, podobny apel wygłaszano, kiedy już widzowie zasiedli na trybunach. Z kolei dziennikarzom gazet warszawskich zlecono kształtowanie odpowiednich nastrojów mieszkańców stolicy. To jednak nie wszystko – zmieniono również regulamin wyścigu i zamiast jednej zwycięskiej drużyny (ZSRR) rundę honorową na stadionie wykonywały trzy pierwsze zespoły w klasyfikacji drużynowej (Związek Radziecki, Polska i Niemiecka Republika Demokratyczna). Chciano uniknąć w ten sposób wrogiej reakcji publiczności na widok drużyny zza wschodniej granicy. To się jednak nie udało. Jak podsumowywał Komitet Warszawski PZPR: „W czasie przyjazdu kolarzy, dekoracji i rundy honorowej zwycięzców wyścigu dały znać o sobie elementy niesportowe – chuligańskie. Przejawiało się to przede wszystkim w wygwizdywaniu zawodników radzieckich przez część zgromadzonych na stadionie”. To zresztą nie był pierwszy taki przypadek. Tak się działo na mecie w Warszawie w poprzednich latach, kiedy triumfowali sowieccy he-

rosi dwóch kółek, czy w 1962 r. podczas etapów z Opola do Wrocławia, gdy drużynową jazdę na czas wygrała drużyna radziecka, oraz ze stolicy Dolnego Śląska do Poznania zakończzonego podwójnym (indywidualnym) zwycięstwem reprezentantów Kraju Rad.

Do antyradzieckich incydentów na polskich stadionach dochodziło również wcześniej, np. 21 maja 1961 r. podczas towarzyskiego spotkania Polska – Związek Radziecki. Kiedy zawodnik gości Giennadij Krasnicki sfaulował polskiego bramkarza Edwarda Szymkowiaka, i to tak nieszczęśliwie, że ten po ciosie w głowę stracił przytomność, a na boisko wjechała karetka, trybuny zawrzały. Tym bardziej że obawiano się nie tylko o jego zdrowie, ale wręcz o życie – wśród widzów rozeszła się wręcz plotka, że „Ruski zabił Polaka!”. W tej sytuacji publiczność (na stadionie było ok. 70 tys. osób) zaczęła wznosić antyradzieckie hasła, a co bardziej zapalczywi kibice nawet rzucać butelkami w kierunku boiska i zawodników radzieckich.

Inna sprawa, że po przegranej z Wielkim Bratem dostawało się zarówno naszemu piłkarzom, jak i działaczom. I to nawet gdy to nasi przeciwnicy byli zdecydowanymi faworytami. Tak było np. po dodatkowym spotkaniu eliminacji mistrzostw świata rozgrywanym na „neutralnym” stadionie w Lipsku 24 listopada 1957 r. – neutralnym jedynie z nazwy, bo na trybunach przeważali sowieccy żołnierze stacjonujący w tym mieście. Po meczu tym anonimowy nadawca listu z Legnicy do Polskiego Radia pisał m.in.: „Ile piłkarze polscy wzięli rubli od piłkarzy radzieckich za to, by dać wygrać mecz piłki nożnej w Lipsku drużynie radzieckiej?”. I dodawał, że jego uczniowie mówią, iż „Lipsk – to targowica, że piłkarze polscy zdradzili swój naród za pieniądze. Inni mówią, że się bali strzelać bramki bolszewikom, bo za strzelenie bramki strzelą im z tyłu w łeb, tak jak strzelali oficerów polskich w Katyniu”. Również „Kibic ze Śląska” pytał: „Dlaczego myśmy tak darmo ten mecz sprzedali?”. Przy czym on akurat oskarżał nie tyle samych piłkarzy, ile raczej trenerów, działaczy sportowych, a nawet władze PRL. „Dlaczego nie dopuścili tych dwóch chłopaków ze Śląska – to jest [Romana] Lentnera i [Ernesta] Pohla, bo u nas to już w tej Polsce Ludowej tak jest, że nie dość żeśmy ZSRR dawali węgiel za darmo i inne materiały, to nareszcie żeście >>

» się dali przekupić, żebyśmy ten mecz przegrali. To było już naprzd zrobione» – pisał dalej.

Pompka Królaka i gest Kozakiewicza

Polscy widzowie swoją niechęć wobec Wielkiego Brata demonstrowali również poza granicami kraju, nawet na jego terenie. Tak było np. podczas letnich igrzysk olimpijskich rozgrywanych w 1980 r. w Moskwie. Mimo starannej selekcji osób wyjeżdżających z PRL na pierwszą olimpiadę rozgrywaną w kraju demokracji ludowej sowieccy towarzysze z KGB skarżyli się swoim kolegom ze Służby Bezpieczeństwa, że podczas meczu piłki nożnej między Związkiem Radzieckim a Wenezuelą „dwaj turyści z Polski demonstracyjnie kibicowali drużynie Wenezueli oraz wymachiwali flagą, przeszkadzając innym”. To zresztą niejedyny tego rodzaju incydent. Z kolei kilka dni później podczas meczu gospodarzy – tym razem z Jugosławią – jeden z polskich widzów rzucił butelką w kibica radzieckiego. Do incydentów dochodziło także poza stadionami. I tak Andrzej Orzechowski, „będąc w restauracji hotelowej k[oto] stadionu olimpijskiego na Prospekcie Pokoju, w obecności gości restauracji wykrzykiwał zdania o treści antyradzieckiej, niszczył banknoty rublowe, wszczął awanturę z obywatelami ZSRR, zachowywał się prowokująco”. Z kolei Andrzej Grzywacz i Józef Łukasik „podczas dyskusji w autobusie wobec pilotki radzieckiej i turystów stwierdzili, że jak przyjedzie do Wilna papież, to może zostanie ono włączone do Polski”.

Z kolei polscy sportowcy, którzy czy to pokonali Rosjan, czy też im się – mówiąc kolokwialnie – postawili, cieszyli się powszechnym szacunkiem, a niektóre zdarzenia z ich udziałem obrosły wręcz mitami. Takim doskonałym przykładem jest historia o kolarzu Stanisławie Królaku, który w latach 50. podczas jednego z etapów Wyścigu Pokoju miał rzekomo – w tunelu prowadzącym na bieżnię stadionu – zdzielić jednego z reprezentantów Kraju Rad rowerową pompką. Inne – np. o Władysławie Kozakiewiczu, który pokazał Ruskim w czasie olimpiady w Moskwie wała – są z kolei prawdziwe. Jak sam potem zresztą wspominał, zrobił to dwukrotnie: „5.70. Skaczę oczywiście jako pierwszy i... zaliczam w pierwszej próbie. Wielka radocha. I wtedy pokazałem wała.

Po raz pierwszy [...] 5.75 [...] Stałem na rozbiegu, popatrzyłem, pobiegłem. Dokładnie tak samo jak wcześniej – przeleciałem nad poprzeczką, nawet jej nie dotknąłem. I wtedy pokazałem wała nr 2”. Ten gest znakomitego polskiego tyczkarza wobec szowinistycznej, wygwizdującej go sowieckiej widowni miał zresztą ciąg dalszy – tym bardziej że obejrzały go w telewizji miliony widzów. Ambasador ZSRR w Polsce Boris Aristow zażądał dyskwalifikacji zawodnika i odebrania mu olimpijskiego złota za obrazę radzieckiego narodu. W Polsce stał się natomiast – szczególnie dla zwykłych Polaków – idolem. Zresztą i działacze sportowi po cichu mu gratulowali: „Ale dobrze, że pan Ruskim wała pokazał”. I – przynajmniej początkowo – bronili go.

Rosjanie pokonani

W pamięci wielu Polaków zachowały się również triumfy nad sąsiadem zza Bugu. Tak było w przypadku mistrzostw Europy w boksie w 1953 r. w Warszawie,



kiedy polscy pięściarze wywalczyli pięć złotych, dwa srebrne i dwa brązowe medale, dzięki czemu wygrali klasyfikację drużynową, wyprzedzając Związek Sowiecki, którego czempioni zdobyli zaledwie dwa złote, dwa srebrne i trzy brązowe medale. Tak też było z triumfem polskich siatkarzy podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w 1976 r., kiedy ci po dramatycznym meczu pokonali Sborną 3:2 w setach, ze zwycięskim remisem (0:0) podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w 1982 r. w Hiszpanii, czy z wygranym 20 października 1957 r. meczem eliminacyjnym do czempionatu w Szwecji, kiedy na Stadionie Śląskim w Chorzowie Polska sensacyjnie wygrała 2:1. Bohaterem tego meczu został strzelec dwóch bramek Gerard Cieślak. Jego, Lucjana Brychczego oraz Edwarda Szymkowiaka kibice, którzy w euforii wdarli się na płytę stadionu, zanieśli na rękach do szatni. W przypadku Szymkowiaka był to mały rewanż za ojca zamordowanego w Katyniu. Tak na marginesie tego sukcesu zapewne by nie było, gdyby pod koniec wojny Cieślak nie uciekł z sowieckiej niewoli, do której dostał się po wcześniejszej ucieczce z Wehrmachu... Podobnie jak „śląski łącznik” w 1957 r., tak ćwierć wieku później idolem całej Polski stał się Włodzimierz Smolarek, który w końcówce meczu z ZSRR tańczył w narożniku z piłką, zyskując cenne sekundy i wręcz ośmieszając bezradnych piłkarzy radzieckich. Co ciekawe, nie miał takiego indywidualnego bohatera „cud w Spodku”, czyli jedyna w dziejach polskiej reprezentacji w hokeju na lodzie wygrana (6:4) z drużyną Związku Radzieckiego podczas mistrzostw świata w Katowicach w 1976 r. Był to tym większy cud, że Sowieci regularnie wręcz gromili reprezentację Polski – dwa ostatnie spotkania przed czempionatem zakończyły się wynikami 1:15 oraz 1:16. W pamięci widzów zapisały się również polskie triumfy podczas Wyścigu Pokoju. I to nie tylko wygrane całego wyścigu (np. Ryszarda Szurkowskiego czy wspomnianego wcześniej Królaka), ale też zwycięstwa etapowe, jak 10 maja 1985 r. na trasie Moskwa – Kryłatskoje, kiedy po dwójkowej ucieczce triumfował Andrzej Mierzejewski przed Lechem Piaseckim. To był tym bardziej cenny zresztą sukces, że na wyścig – z drobnymi wyjątkami – nie gościł w Kraju Rad, a i sukces został odniesiony w samym sercu nie lubianego przez Polaków sąsiada...

1960 – rok Afryki



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

W peerelowskiej propagandzie 1960 nazywano rokiem Afryki, w ciągu 12 miesięcy na Czarnym Lądzie powstało bowiem aż 17 formalnie niepodległych państw, co było przede wszystkim wynikiem rozpadu Francuskiej Afryki Zachodniej. Między innymi powstały wówczas republika Senegal oraz republika Mali, przez pierwsze dwa miesiące tworzące wspólną federację, która jednak w szybko się rozpadła.

Na czele niepodległego Senegalu stanął pierwszy prezydent tego kraju – Léopold Sédar Senghor. Senghor – w 1960 r. mający 54 lata – rodowity Serer, w młodości uczęszczał do szkoły katolickiej i miał zamiar zostać księdzem, choć wkrótce porzucił seminarium duchowne. Jako 22-latek przybył dzięki stypendium ufundowanemu przez administrację kolonialną do Francji. Tu został absolwentem prestiżowego paryskiego liceum Ludwika Wielkiego w dzielnicy łacińskiej, a następnie studiował literaturę francuską na Sorbonie. Podczas swoich studiów spotkał wielu przedstawicieli francuskiej elity, m.in. przyszłego prezydenta Francji – Georges'a Pompidou.

Senghor następnie wywalczył sobie stanowisko nauczyciela francuskiego w szkole średniej jako pierwszy kandydat pochodzący z Afryki. W latach 30. XX w. wstąpił też do SFIO – czyli francuskiej partii socjalistycznej.

Podczas II wojny światowej walczył w szeregach armii francuskiej i dostał się do niewoli niemieckiej, w której spędził kolejne dwa lata. Zwolniony ze względu na zły stan zdrowia zaangażował się z kolei we francuski ruch oporu.

Po wojnie przyszły prezydent Senegalu został wykładowcą akademickim w szkole przygotowującej francuską administrację kolonialną. Jednocześnie został wybrany na socjalistycz-

nego deputowanego reprezentującego w parlamencie francuskim posiadłości zamorskie.

Senghor był zwolennikiem tzw. socjalizmu afrykańskiego – kierunku, który domagał się sprawiedliwego podziału dóbr między Europą i Afryką, ale jednocześnie stanowił lewicową propozycję konkurencyjną wobec marksistowskiego komunizmu i odrzucającą walkę klas.

Po objęciu władzy w niepodległym państwie senegalskim Senghor utrzymał się na jego czele przez 20 lat – od 1960 do 1980 r. W międzyczasie dokonał kilku kolejnych zmian ustrojowych. W swej karierze przewodził więc przez wiele lat państwu jednopartyjnemu, by pod koniec swych rządów przekształcić ustrój Senegalu w demokratyczny system wielopartyjny.

Senegalski polityk był jednocześnie uznanym francuskojęzycznym poetą, reprezentującym kierunek tzw. négritude – stawiający sobie za cel upodmiotowienie kultury afrykańskiej. Jednocześnie jednak był zwolennikiem pozostania francuskojęzycznych krajów afrykańskich w ścisłym kulturowym związku z dawną metropolią. W związku z tym Senghor stał się jednym z założycieli Międzynarodowej Organizacji Frankofonii – odpowiednika Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Jego twórczość poetycka była naprawdę ceniona. Już po zakończeniu swej prezydentury Senghor został w 1983 r. przyjęty do Akademii Francuskiej – najważniejszego ekskluzywnego grona luminarzy kultury francuskiej. Był zresztą pierwszym członkiem Akademii pochodzącym z krajów afrykańskich. Na jego fotelu – nr 16 – zasiadał przed wojną tradycjonalistyczny polityk prawicowy Charles Maurras, a po Senghorze zasiadł na nim były prezydent Francji i znany mason Valerie Giscard d'Estaing.

Senghor był dwukrotnie żonaty. Po raz pierwszy ożenił się z Ginnette, córką Felixa Eboue, pierwszego czarnoskórego gubernatora francuskiej Afryki Równikowej. Małżeństwo to trwało 10 lat i skończyło się rozwodem pięć lat przed objęciem prezydentury przez Senghora.



Léopold Sédar Senghor

Dwa lata później senegalski polityk ożenił się ponownie – tym razem z Colette Huber, Francuzką pochodzącą ze szlacheckiej rodziny z Normandii. Druga żona stała u boku Senghora podczas jego prezydentury, ale nie pełniła wówczas funkcji publicznych.

Po ustąpieniu Senghora ze stanowiska prezydenta kraju w grudniu 1980 r., Colette skłoniła męża do powrotu do Francji. Małżeństwo mieszkało przez lata w jej rodzinnej Normandii i tam też w 2001 r. zmarł pierwszy w historii prezydent Senegalu.

Francja żegnała go z prawdziwym smutkiem, nie na tyle jednak wielkim, by skłonić najwyższe osobistości Republiki do osobistej obecności na pogrzebie afrykańskiego lidera. Na pogrzeb Senghora nie przybyli bowiem ani prezydent, ani premier Francji.

GAWLINA ŻYWY IN AETERNAM

**DZIĘKI NIESTRUDZONEJ AKTYWNOŚCI
ŚLĄSKIEGO UCZONEGO KSIĘDZA PROFESORA
JERZEGO MYSZORA OTRZYMALIŚMY KOLEJNĄ
PORCJĘ ARCYCIEKAWYCH DZIENNIKÓW JEGO
KRAJANA ARCYBISKUPA JÓZEFA GAWLINY**



**JACEK
ŻUREK**

Autor tych zapisków, urodzony pod Raciborzem w roku 1892, ukończył wrocławskie seminarium duchowne, z przerwą na służbę wojskową w armii niemieckiej na froncie zachodnim oraz w Syrii i Palestynie. Następnie ksiądz diecezji katowickiej, proboszcz w Królewskiej Hucie, skąd awansował niespodziewanie na stanowisko biskupa polowego w niepodległej Polsce. Od roku 1939 na emigracji, towarzyszył polskim żołnierzom we Francji, w Anglii i Szkocji, daleko w Rosji i radzieckich republikach południowoazjatyckich (Polskie Siły Zbrojne w ZSRR), na Bliskim Wschodzie, następnie w kampanii włoskiej oraz w Holandii i Niemczech. Jako opiekun polskiego wychodźstwa na całym świecie, od roku 1947 Gawlina, po złożeniu urzędu biskupa polowego, przebywał na stałe w Rzymie, nie mogąc powrócić do kraju pozostającego pod obcą okupacją.

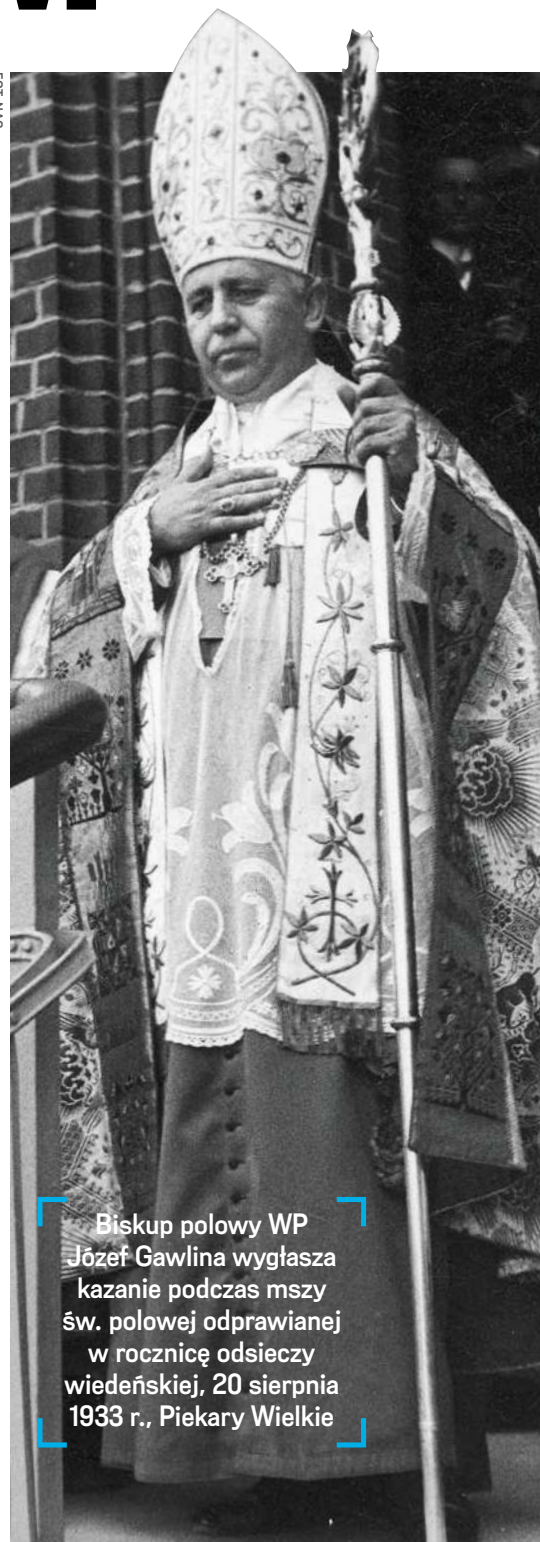
Ostatni etap

Po wydaniu wspomnień Gawliny oraz tomu jego dzienników wojennych z lat 1939–1945, śląski badacz postanowił udo-

stępnić czytelnikom ostatnią, chronologicznie rzecz biorąc, partię dzienników, obejmującą lata 1959–1964, stanowiącą niezwykle bogaty w wydarzenia kres życia ich autora. Będzie ona ciekawa przede wszystkim dla historyka Kościoła katolickiego, arcybiskup Gawlina czynnie uczestniczył bowiem w przygotowaniach i następnie w przebiegu soboru watykańskiego II, biorąc bardzo aktywny udział w pracach komisji soborowych zajmujących się reformą urzędu biskupiego oraz diecezji, kwestią liturgii, statusu duszpasterstwa emigrantów, a także sprawami ekumenizmu i, siłą rzeczy, Kościoła polskiego oraz w ogóle kościołów katolickich pod dominacją komunistyczną, katolickich obrządków wschodnich i cerkwi prawosławnych.

Spośród wielu wątków czytelnika na pewno zainteresuje przewijający się na kartach dziennika, już od pierwszego zapisu, konflikt pomiędzy biskupem polskiej emigracji a aspirującym od roku 1949 do przejścia tej funkcji arcybiskupem gnieźnieńsko-warszawskim Stefanem Wyszyńskim. Dziennik zaczyna się więc od mocnego uderzenia: „Stosunki moje z ks. prymasem Wyszyńskim, do którego od chwili jego nominacji [w 1948] podchodziłem z sercem na dłoni, ostudziły się bardzo w ostatnim trzyleciu. Przyczyniło się do tego nie tylko jego kazanie w listopadzie 1958 r. u św. Stanisława, równające się publicznej krytyce pod moim

FOT. NAC



**Biskup polowy WP
Józef Gawlina wygłasza
kazanie podczas mszy
św. polowej odprawianej
w rocznicę odsieczy
wiedeńskiej, 20 sierpnia
1933 r., Piekary Wielkie**

adresem, ale również jego tendencja [do] stałego spychania mnie. Nauczyłem się milczenia wobec niego, gdyż przekonałem się, że osoby przeze mnie mu polecane tylko na tym ucierpiały. Zapytany przez niego o moją opinię o kimś, musiałem się później przekonywać, że [tego], co o nich powiedziałem, dowiadawali się od ks. prymasa. Zorganizował sobie całą sieć »ludzi zaufania«, donosiciele, co wytwarza ciężką atmosferę zagraniczną. Byłem w Ameryce we wrześniu br. Słyszając krytyczne o nim głosy, broniłem jego pozycji, bo nie mogę mieć innej kościelnej »racji stanu«. Przemawiałem o nim na sześciu wielkich zebraniach księży. Trudne to zadanie, gdy ma się do niego żal. Inaczej jednak nie mogę postępować. Niepokoi mnie ogromnie wzrastające we mnie przekonanie, że buduje on w Polsce swój »kościół prywatny« (bynajmniej nie antyrzymski), z obsadą [złożoną] wyłącznie [ze] swoich ludzi" (zapis z 18.11.1959).

W centrum Kościoła

Brak miejsca nie pozwala na zaznaczenie obecności w tych codziennych zapisach wszystkich najważniejszych problemów religijnych i politycznych ówczesnego świata, które porusza autor będący nie tylko świadkiem, ale i aktywnym uczestnikiem dziejącej się na jego oczach historii. Czytelnika zadziwi nadal żywa aktualność tych wydarzeń i opinii autora. Oglądamy więc jego oczami wielkie, publiczne i zakulisowe soborowe spory o rolę tradycji i współczesności w reformie kościelnej liturgii (łacina czy języki narodowe?), funkcję krajowych episkopatów oraz samego biskupiego urzędu (kolegialność czy samodzielność?), genezę i znaczenie urzędu papieskiego (primus inter pares czy też Opoka, „książę apostołów“?), sporów o charakter kapłaństwa (celibat czy małżeństwo? diakoni żonaci czy bezżenni?) itd. Jeden z ciekawszych wątków dotyczy odwiecznego marzenia Rzymu o unii z prawosławiem, na którego ołtarzu kurialna hierarchia oraz sami papieże byli gotowi złożyć wiele. Oglądamy więc nieco od kuchni papieską dyplomację wschodnią, zapoczątkowaną przez Jana XXIII proces odejścia od eksponowania „kościół milczenia” w krajach komunistycznych i próby porozumienia z radziecką Rosją oraz Patriarchatem Moskiewskim, który odgrywał czynną rolę na soborze, posiadając nawet na nim swoich przedstawicieli (obserwatorów). O słabości spraw

polskich w Rzymie i na emigracji świadczą zapisy autorskie na temat czynnej działalności biskupów greckokatolickich z Ukrainy, którzy, choć nie posiadali zaplecza w postaci własnego państwa, potrafili skutecznie lobbować, mówiąc językiem polityki, za interesami diaspory ukraińskiej. Niemożliwe tylko było jedno – wła-

„ODPRAWIŁEM MSZĘ ŚW. RÓWNIEŻ NA INTENCJĘ, BY PAN BÓG RACZYŁ MNIE ZABRAĆ, JEŻELIBYM MIAŁ STAĆ KOMUŚ W DRODZE”

sny patriarchat w Kijowie, który godziłby w relacje rzymskie z Cerkwią moskiewską oraz Konstantynopolem. Równie ciekawą są bardzo krytyczne obserwacje autora na temat Kościoła i państwa niemieckiego, posiadających wyjątkowo silną pozycję w Rzymie, nie tylko ze względów historycznych, ale i bardzo przyziemnych (podatek kościelny oraz finansowanie katolickich misji). Autor opisuje także dążenie części niemieckich hierarchów do protestantyzacji Kościoła, biorące się z widocznej konkurencji katolicyzmu z wyznaniem ewangelickimi w Niemczech, które oferowały daleko wygodniejszą, zlaicyzowaną wersję chrześcijaństwa.

O przyszłym papieżu

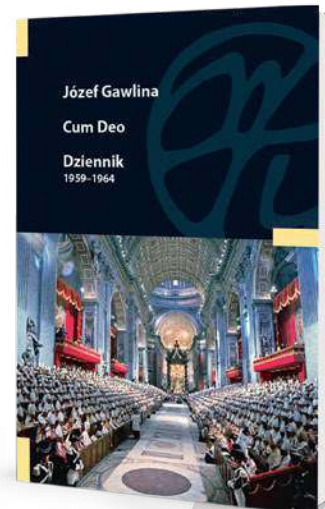
Spośród spraw personalnych warto zaznaczyć incydentalną, ale wymowną, obecność na kartach dziennika młodego biskupa krakowskiego Karola Wojtyły. Autor nie tylko go dostrzegł podczas jego obecności w Rzymie, ale szybko wysoko ocenił, co przełożyło się od razu, jak zwykle u Gawliny, na działanie. Właśnie dzięki staraniom polskiego arcybiskupa w Rzymie to właśnie Wojtyła został w roku 1964 mianowany, po śmierci swego poprzednika, nowym arcybiskupem krakowskim, stając się tym samym osobą numer dwa w polskim Kościele.

W roku 1961 autor dziennika zapisał: „Niedziela, 19 marca. Moje imieniny i rocznica sakry biskupiej. Odprowadziłem mszę św. również na intencję, by Pan Bóg raczył mnie zabrać, jeżelibym miał stać komuś w drodze”. Trzy i pół roku później, w czwartek 17 września 1964 r., zaraz po rozpoczęciu trzeciej sesji soboru, wygłosił płomienne przemówienie w obronie osoby Matki Boskiej, dezawuowanej przez część biskupów jako przeszkoda do połączenia z protestantami. Wśród argumentów użył i tego, że Jej wielkim czcicielem był sam Marcin Luter, który stwierdził w swej dysertacji na temat „Magnificat”: „Co może być Jej miłsze, niż to, że przez Nią człowiek może dojść do Boga, a także przez Nią nauczyć wierzyć w Boga i ufać Mu... Maryi nie zależy na tym, aby przychodzić do Niej, lecz aby przez Nią przyjść do Boga”.

Trzy dni później wieczorem autor dziennika zdążył nakreślić w nim jedno krótkie zdanie, podobne do tylu innych, oddających prozaicznie jego niezwykle czynne życie: „Niedziela. Wyjazd do Albano do ss. nazaretanek do drukarni. Powrót wieczorem do Rzymu”. Obca ręka dopisała ostatnie zdanie: „Tego dnia nie napisał [już] nic. Po północy zmarł. Dokładnie godz. 0.15, 21 września 1964 roku”.

Prosty grób arcybiskupi, zgodnie z wolą lokatora, znajduje się pośród mogił jego żołnierzy, na polskim cmentarzu pod Monte Cassino, które zdobył wraz z nimi 20 lat wcześniej.

Józef Gawlina, „Cum Deo. Dziennik 1959–1964”, wstęp i opracowanie Jerzy Myszor, Centrum Badań nad Historią Kościoła im. ks. Wincentego Myszora, Katowice 2002, ss. 411 (Źródła do Dziejów Kościoła Katolickiego na Górnym Śląsku, Nr 31)





Fragment miedziorytu wg obrazu Tomasza Dolabelli „Konny portret króla Zygmunta III Wazy na tle pola bitwy pod Smoleńskiem”

**PRZEZ CAŁY WIEK XVI
I ZNACZNĄ CZĘŚĆ WIEKU
XVII RZECZPOSPOLITA
DZIELNIE
POWSTRZYMYWAŁA
MOSKWĘ PRZED
ZAKUSAMI NA PODBICIE
ZACHODNICH
OBSZARÓW EUROPY.
W TYCH DNIACH
UKRAINA, PRZEZ
WIEKI TRAGICZNIE
DOŚWIADCZANA
PRZEZ ROSYJSKI
IMPERIALIZM, STAŁA
SIĘ PRAWDZIWYM
PRZEDMURZEM EUROPY.
PRZYPOMNIJMY
KILKA WIZERUNKÓW
HEROICZNEJ WALKI
O WSCHODNIĄ
GRANICĘ DAWNEJ
RZECZYPOSPOLITEJ**

W OBRONIE WRÓT DO EUROPY



**Jerzy
MIZIOŁEK**

Pośród dzieł prezentowanych w murach Zamku Królewskiego w Warszawie na wystawie poświęconej Tomaszowi Dolabelli pokazano m.in. sporych rozmiarów rycinę opisaną jako „Portret konny

Zygmunta III na tle Smoleńska”. Rycina ta jest jednym z dzieł sławiących odzyskanie Smoleńska z rąk moskiewskich 13 czerwca 1611 r., czego świadkiem był sam król Zygmunt III. Z okazji tego wielkiego zwycięstwa, poprzedzonego triumfem militarnym hetmana Stani-

sława Żółkiewskiego pod Kłuszynem (14 lipca 1610 r.), powstały jeszcze inne jego artystyczne upamiętnienia. Jednym z nich był kolejny obraz Dolabelli, ukazujący monarchę, tak jak w poprzednim dziele, jako jeźdźcę z ogromną buławą w prawej dłoni, tyle że tym razem ten symbol władzy wzniesiony jest wysoko, dominując nad wizerunkiem miasta forticy widocznym w lewym górnym rogu kompozycji. Istnieją jeszcze inne różnice pomiędzy oboma portretami konnymi króla. W tej drugiej wersji widzimy go nie w ujęciu z prawej, lecz z lewej strony, ponadto tym razem traktuje powalonego na ziemię wroga, podczas gdy z lewej strony nadchodzi – mniejszy w skali od króla – pochód triumfalny. Sześciu jeźdźców eskortuje grupę pieszych, dostojnie wyglądających, ubranych w długie szaty jeńców, za którymi kroczy dwóch trębaczy ogłaszających zwycięstwo. W znacznie skromniejszej wersji, jakby w formule pars pro toto, pochód pojmanych jeńców ukazany jest też na wspomnianej rycinie; widnieje w dolnym lewym rogu, tuż za rumakiem króla triumfatora. Niestety drugą, malowaną przez Dolabellę, wersję portretu konnego Zygmunta III spotkał jeszcze okrutniejszy los niż w przypadku wersji pierwszej, gdyż nie zachowała się nawet jej rycina; znamy ją tylko dzięki fotografii Karola Beyera. Oto treść inskrypcji umieszczonej poniżej postaci

króla na koniu i wspomnianego pochodu triumfalnego:

NA WIZERUNEK ZYGMUNTA III,
KRÓLA POLSKI I SZWECJI
*Tak król jechał na koniu, gdy zdobył
wielki Smoleńsk i Moskali poddał
imperium sarmackiemu.
Wcześniej żadnemu z królów nie
ustępował pobożnością, teraz
przewyższa wszystkich siłą oręża.
Żyć długo, Zygmuncie, z latami
pobożnością ujarzmisz harde królestwa,
które dzierżą Boreasz i Eurus.
Tomasz Dolabella, malarz Jego
Królewskiej Mości, przedstawił,
wyrzeźbił i odbił w Krakowie, 1611*

Wspomniany pochód triumfalny nie jest w inskrypcji wcale przywołany. Nie zwrócił on też szczególnej uwagi badaczy epoki Wazów. Rodzi się tu pytanie, kim są ci jeńcy, spośród których jeden ma koronę na głowie i zdaje się skowany, jakby to powiedzieli kronikarze tamtych czasów. Czy jest nim sam car Szujski poprzedzany przez patriarchę Filareta? Czy jest to historyczne wydarzenie, czy może tylko propagandowy wizerunek triumfu, jakże potrzebny dla dalszych walk z Moskwą? Zanim spróbujemy odpowiedzieć na te pytania, warto tu przywołać także inne wydarzenia wojenne z XVI i pierwszej połowy XVII w.

Wojny na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej w czasach Jagiellonów...

W Rzymie na początku stycznia 1515 r. świętowano wielkie polsko-litewskie zwycięstwo pod Orszą, odniesione 8 września 1514 r. nad wojskami Wasyła III, wielkiego księcia moskiewskiego. Triumfator, hetman Konstanty Ostrogski, zyskał miano Scipio Ruthenus – Scypion Ruteński, a sama bitwa doczekała się wspaniałego upamiętnienia słynnym obrazem przechowywanym w Muzeum Narodowym w Warszawie. Uroczystości rzymskie – o klarownym propagandowym akcencie – zorganizowali prymas Jan Łaski i Bernard Wapowski. Pomimo wielkiej radości nad zwycięstwem orszańskim unosił się posmak niedosytu, utraconego kilka lat wcześniej Smoleńska nie udało się bowiem odzyskać; nie wyrwał tej twierdzy Moskwie nawet jeden z najbardziej walecznych monarchów Rzeczypospolitej.

...Batorego...

Sława wojenna króla Stefana Batorego jest powszechnie znana, a o zatrzymaniu przez niego w 1581 r. rosnącej w siłę Moskwy daje dobre wyobrażenie jeden z najsłynniejszych obrazów Jana Matejki „Batory pod Pskowem”. Pomimo >>



Jan Matejko,
„Stefan Batory
pod Pskowem”

» niepełnego sukcesu wojennego na rynku w Krakowie miał miejsce wspaniały triumf, który odbył się dopiero w czerwcu 1583 r. i połączono go z zaślubinami Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną, bratanicą króla. Cały pomysł wyszedł od samego Zamoyskiego. Uroczystość miała kilka sekwencji, ale najważniejszy był triumf moskiewski zawierający wiele elementów triumfu antycznego, choć król Stefan Batory nie jechał osobiście na rydwanie, lecz przyglądał się całej uroczystości z okna jednej z kamienic. Kronikarz tego wydarzenia zapisał: „[Następnie jechał] wóz kosztowny (currus) ku triumfowi należący, ze wszystkich wozów najwyższy, we cztery białe konie. Na przodku orzeł biały wyciągał szyję”. Zamiast króla zwycięzcy na owym currus wieziono wyobrażenie Strzelca (Batory został wybrany na króla 15 grudnia, był więc niejako spod znaku Sagittariusza), „a w tyle u niego Panna, która w prawej ręce trzymała wieniec złoty [...], a za wozem więźniów ubranych po moskiewsku nie mała gromada”. Triumf moskiewski był niezwykle rozbudowany i prawdziwie all'antica, zawierał bowiem, jak antyczne triumfy, także wyobrażenia zdobytych miast, prezentację zdobyczy wojennych – spolia hostium, czyli zbroi, pancerzy,

oszczepów i innej moskiewskiej broni. Dla nas istotne jest to, że w pochodzie prowadzono „więźniów ubranych po moskiewsku nie małą gromadę”.

Krakowski triumf Batorego, tak dobrze uchwytany w źródłach pisanych, nie posiada niestety żadnej ikonografii. Nie wiele lepiej jest też w przypadku warszawskiego triumfu hetmana Żółkiewskiego. Tytułami do jego chwały – i triumfu 29 października 1611 r. – było nie tylko błyskotliwe zwycięstwo pod Kłuszynem i zajęcie Moskwy, ale również powszechnie znana rozważa i mądrość, z których król Zygmunt III nie zawsze chciał korzystać. O mądrości i virtus bellica hetmana zaświadcza jego pisma: „Początek i progres wojny moskiewskiej” z 1612 r. i „Zachęta do cnoty [wojennej]” z 1618 r. W tej ostatniej na kanwie jednej z batalii, podczas której ze swym nielicznym wojskiem musiał się opierać przeważającym siłom wroga (tak jak potem pod Cecorą), przywołuje Termopile i zmagania Greków z Persami.

...i Wazów

Uroczystość warszawska miała charakter ovatio (triumfator jechał konno), ale 64-letni hetman polny (buławę hetmana wielkiego otrzymał dopiero w roku 1618) z powodu rany nie jechał konno (jak niegdyś hetman Tarnowski), lecz w jakimś skromnym pojeździe, podczas gdy car Wasyl – mimo że był jeńcem – wieziony był w wystawnej, otwartej karecy. Z niektórych źródeł wynika jednak, że hetman jechał w królewskiej karecie, a ta zapewne nie była skromna. Triumf ten, w którym rolę via triumphalis odegrało Krakowskie Przedmieście, rolę Kapitolu zaś Zamek Królewski, znany jest z jednego tylko przekazu ikonograficznego. Interesująco pisze o tym triumfie Szymon Starowolski, który w krótkim, ale treściwym żywocie hetmana dwa razy powraca do tego wydarzenia. „Na polach Kłuszyna – pisze nasz dziejopis – tak pobił wojska moskiewskie, że wybiwszy wiele tysięcy Rusinów [...], poprowadził królowi do Warszawy w triumfie

samego wielkiego księcia moskiewskiego z jego braćmi i z prawie całym senatem oraz z patriarchą”. W zakończeniu zaś dodaje: „W pochodzie tryumfalnym przyprowadził królowi Zygmuntowi samego wielkiego księcia Iwana Szujskiego wraz z jego braćmi Dymitrem i Wasylem”. Nastąpiło tu pomylenie imion – wielkim księciem czy raczej carem (już wówczas zdetronizowanym), był oczywiście nie Iwan, Wasyl Szujski.

Zachował się taki oto opis Wasyla Szujskiego, gdy przewożony był przed oblicze polskiego króla: „Siedział sam car w złotogłowej białej szacie długiej, w szyku marmurkowym [czapa ze srebrnego lisa], zsiadły, niezbyt wysoki, twarzy okrągłej, śniadej, postrzyżoną, okrągłą, niską brodą, większą połowicę mając siwą, oczu oparzystych, ponurych, surowych, nosa pociągłego, trochę garbatego, ust pociągłych”.

Wspomniane przedstawienie triumfu warszawskiego w 1611 r. powstało zapewne po 1634 r., gdy królowi Władysławowi udało się obronić Smoleńsk przed kolejnym atakiem Moskwy, i należy do rozbudowanego cyklu malowideł o charakterze militarno-triumfalnym, jakimi ozdobiono jeden z pałaców Krakowa. Cykl ten nie przetrwał do naszych czasów, a interesująca nas scena triumfu znana jest z przerysu wykonanego na początku XIX w. przez jednego z uczniów Józefa Brodowskiego. To, co widzimy na rysunku kolorowanym gwaszem i akwarelą, przechowywanym w Muzeum Historycznym Krakowa, jest rodzajem kontaminacji triumfu Żółkiewskiego i zapewne triumfów króla Zygmunta III, o których mowa poniżej. Niezwykle ciekawi to, że na końcu pochodu, za skutym łańcuchami carem i jego braćmi, w towarzystwie Żółkiewskiego jedzie konno przyszyły król Władysław IV z łańcuchem orderu Złotego Runa na piersi i buławą w prawej ręce. Zatem to wybitnie propagandowe przedstawienie wpisano w tematykę sławienia wiktorii króla Władysława IV. Mamy tu pewien rodzaj manipulacji historią, w triumfie warszawskim bowiem – jak już zostało powiedziane – car i jego bracia nie szli pieszo w łańcuchach, lecz jechali karetą.

Król Zygmunt, który w Warszawie wołał oczekiwać na doprowadzenie Szujskich przed swoje oblicze, niż brać udział w paradzie, osobiście odbył triumfy w Wilnie i Poznaniu. Pamiątką po drugim z nich jest okolicznościowy wiersz Jana Krajew-

Kolumna
Zygmunta III
Wazy przed
Zamkiem
Królewskim
w Warszawie

skiego pt. „Triumf poznański na radosną wiktoryją K. J. M. po wzięciu Smoleńska, który się odprawował 3 lipca 1611” z takim m.in. dwuwierszem: „Już teraz nikt nie wspomni o słuszności wojny/Jeśli to był potrzebny zaciąg i przystojny”.

Łatwo możemy się domyślić, że triumfy i poezja okolicznościowa odgrywały niezwykle ważną rolę w propagandzie, by wojna moskiewska, z początku niepopularna z powodu jej kosztów, otrzymała silniejsze wsparcie wśród szlachty i magnaterii. Sięgnijmy tu po wiersz anonimowego poety o tym, jak zgotowano triumf zwycięzcy:

*„Który moskiewskie grody niedobyte
Posiadł, odebrał skarby znamienite,
Uskromił zdrającą Szujskie, Golicyny,
Bojarskie syny”.*

Wiersz ten oraz cytowany już wcześniej fragment żywota hetmana Żółkiewskiego autorstwa Szymona Starowolskiego, zwłaszcza słowa: „poprowadził królowi do Warszawy w tryumfie samego wielkiego księcia moskiewskiego [cara] z jego braćmi i z prawie całym senatem oraz z patriarchą”, dają właściwie odpowiedź na pytanie, kim są jeńcy przedstawieni na rycinie ukazującej kompozycję z zaginionego obrazu Dolabelli. Wspomniany patriarcha to Filaret; jego syn, Michał, stanie się pierwszym carem nowej dynastii Romanowów, która w ogromnym stopniu – wsparta przez Niemkę ze Szczecina, znaną pod imieniem Katarzyny II – przyczyni się do unicestwienia I Rzeczypospolitej.

Pochód triumfalny w takim kształcie raczej nie mógł mieć miejsca pod murami Smoleńska po zdobyciu miasta. Wiadomo wszakże, że pod koniec stycznia 1610 r. patriarcha Filaret i Wasyl Golicyn udali się do oblegającego miasto króla i najrozmaitszymi zabiegami oraz krętownictwami grali na zwłokę, stąd mowa o „zdradzieckich Szujskich i Golicynie”. Filaret i Golicyn zostali internowani i pod koniec kwietnia 1611 r. wysłani przez Mińsk do Polski; pierwszy z nich miał trafić do Witowa lub Sulejowa, drugi zaś – do Malborka. Nie mogli być zatem świadkami zdobycia Smoleńska półtora miesiąca później. Tak więc triumf ukazany na zaginionym obrazie Dolabelli miał, podobnie jak wizerunek monarchy na koniu, charakter czysto propagandowy, ale oddawał atmosferę i ducha sytuacji zaistniałej po odzyskaniu twierdzy.

Dalsze losy trzech braci Szujskich oraz Filareta, Golicyna i innych jeńców są dobrze znane. Szujscy po triumfie warszawskim trafili w grudniu 1611 r. do zamku w Gostyninie, gdzie Wasyl i Dymitr – zapewne z powodu powietrza morowego – niebawem umarli, Iwan zaś został przez króla uwolniony. Zmarły car i jego brat, Dymitr, wraz z żoną, Katarzyną, zostali pochowani w Kaplicy Moskiewskiej w Warszawie. W 1635 r. Władysław IV zwrócił Moskwie doczesne szczątki całej trójki. Gorzko napisał o tym Adam Jarzębski w swoim dziełku „Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy”. W wierszu zawarta jest krytyka decyzji króla, tym bardziej że cara, pokonanego niegdyś wielkim wysiłkiem militarnym przez wojska pod wodzą Żółkiewskiego, oddano „z ceremoniami” i zawieziono do Moskwy z wielką pompą.

Wróćmy jeszcze do kwestii Smoleńska, który Rzeczpospolita utraciła definitywnie w 1654 r. Wtedy to nasze wrota do Moskwy zostały zamknięte, a coraz bardziej otwierały się drzwi prowadzące do Wilna i Warszawy. Tak o tym pisze Mirosław Nagielski, wybitny znawca tematyki wojennych zapasów Rzeczypospolitej z Moskwą: „Zdobycie Smoleńska oddawało w ręce Moskwy obszar na wschód od Berezyny i stanowiło śmiertelne zagrożenie dla pozostałych prowincji litewskich wraz ze stolicą Wielkiego Księstwa – Wilnem. Następnym rok pokazał, że upadek stolicy Litwy był tylko kwestią czasu. Smoleńsk stanowił bowiem skuteczną zaporę dla wojsk moskiewskich i po 1654 r. stał się główną twierdzą w systemie obronnym Moskwy. Rzeczpospolita nie odzyskała tej kluczowej twierdzy pogranicza, co w styczniu 1667 r. potwierdził traktat andruszowski. Ostatecznie podpisany w 1686 r. »wieczny mir« z Moskwą oddawał w jej ręce Smoleńszczyznę ze Smoleńskiem”.

Ostatnie zwycięstwa nad Moskwą

Władysław IV w latach 1633–1634 powstrzymał ogromny napór wojsk moskiewskich i utrzymał Smoleńsk. Zapewne za nie mniejszy tytuł do sławy wojennej uważał udział w bitwie pod Chocimiem w 1621 r., mimo że chorował niemal przez cały czas długich zmagania. Niemniej jednak istnieją dowody na to, że się starał, m.in. do walki posłał nawet ludzi ze swojej osobistej ochrony. Na jednej z rycin z epoki widzimy go jako jeźdźca

na tle łuku triumfalnego. Na dwóch innych, będących kartami tytułowymi dzieł Jakuba Sobieskiego (ojca króla Jana III) i Stanisława Kobierzyckiego, Władysław IV przedstawiony jest jako triumfator w rydwanie wieńczony przez Wiktorię lub ukazany z wieńcem na głowie i palmą w prawym ręku. W tym drugim przypadku wydarzenie zostało umieszczone w Krakowie.

Jesienią 1660 r., już w czasach Jana Kazimierza, miało miejsce ostatnie polskie zwycięstwo nad Moskwą; była nim bitwa pod Cudnowem, w której wojskami Rzeczypospolitej dowodzili dwaj hetmani – Stanisław Potocki i Jerzy Lubomirski. O zorganizowanym w Warszawie triumfie tak doniósł „Merkuriusz Polski” pod datą 17 czerwca 1661 r.: „Żadna pompa i magnificencja bardziej oczu nie powabiła jako solenna kawalkada [...] hetmanów [...] prowadząc więźnie i znaki moskiewskie [...] przez Krakowskie Przedmieście do Zamku. W Izbie Senatorskiej, gdzie prezentowano królowi [Janowi Kazimierzowi] wodzów rosyjskich [...] insygnia zaś victoriae przed nogi IKMc i u baldachimem żołnierstwo rzucało”.

Niestety Smoleńsk nie został wtedy odzyskany, a sam triumf – o ile mi wiadomo – nie posiada żadnej ikonografii. Być może jednak pod jego wpływem powstał projekt Forum Wazów. Podstawowym źródłem informacji o nim jest rysunek Giovanniego Battisty Gisleniego (1600–1672), włoskiego architekta, rzeźbiarza, scenografa i muzyka. Kolumna Zygmunta, jednoarkadowy łuk triumfalny poświęcony Janowi Kazimierzowi i wysmukły, ustawiony na profilowanym cokole obelisk zwieńczony kulą ze stojącym na nim puttem ze snopem ponad głową – herbem Wazów. Kolumna, obelisk i łuk triumfalny miały upamiętniać m.in. wielkie zwycięstwa w wojnach z Rosją. Ustawiono jak wiadomo tylko kolumnę Zygmunta III, która dwukrotnie niszczona do dziś wznosi się dumnie w sercu Warszawy.

Od dnia bitwy pod Cudnowem do Cudu na Wisłę w sierpniu 1920 r. minęło 260 lat. Obecnie stajemy ponownie przed imperialnymi zakusami Rosji, która od dwóch dekad na oczach całego świata przygotowywała się do agresji, tak niewyobrażalnie bestialskiej jak ta wobec Ukrainy. Czy Ukraina będzie miała tyle hartu ducha, by powstrzymać Imperium Zła? Czy Polska pomna na krwawe wydarzenia sięgające bitwy pod Orszą poświęci wszystkie siły i środki na obronę swoich granic? ■

Średniowieczny komiks nicią malowany

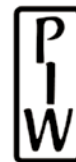


**MICHAŁ
KARPOWICZ**

Po raz pierwszy polscy czytelnicy mogą się zapoznać z pełną reprodukcją (znakomite, realistyczne zdjęcia pięknie wydrukowane), opisem i historią legendarnej tkaniny z Bayeux – jednego z najcenniejszych, najbardziej niezwykłych i tajemniczych dzieł sztuki światowej.

Pochodzący z XI w. zabytek, wpisany na listę UNESCO „Pamięć świata”, jest również unikatowym źródłem historycznym. Na prawie 70 metrach tkaniny lnianej wyhaftowano kolorowymi włóknami nićmi blisko 60 realistycznych scen przedstawiających jeden z najważniejszych punktów zwrotnych w historii średniowiecznej Europy – podbój Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Naturalistyczne i precyzyjnie odwzorowane

szczegóły, w tym blisko tysiąc postaci, przedmioty codziennego użytku czy zwierzęta, wreszcie bezpośrednio ukazana brutalność starć, mimo prawie tysiąca lat nadal uderzają siłą przekazu. Twórca nie łagodził drastyczności przedstawianych wydarzeń: wyhaftowano rany zadane toporami i włóczniami, agonię wojowników pod kopytami olbrzymich bojowych koni czy ich rozcłunkowane nagie ciała. Na tkaninie widać całą brutalność bitwy pod Hastings wraz z ostatecznym krwawym aktem. Choć śmierć w boju ostatniego anglosaskiego króla Anglii i zastąpienie go normańskim przeciwnikiem stanowią punkt kulminacyjny, to twórcy na blisko trzech czwartych długości przedstawili również przygotowania do bitwy i intrygi polityczne, które czynią z tkaniny także źródło do poznania życia codziennego. Obrazy nie narzucają interpretacji wydarzeń, a słowa użyte w inskrypcjach wyrażają dystans do przedstawionych scen. Przedstawienie historii spektakularnymi obrazami przy zwięzłości opisów czyni tkaninę

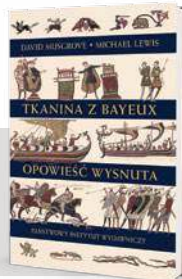


**Państwowy
Instytut
Wydawniczy**

z Bayeux jednym z najbardziej atrakcyjnych i przystępnych źródeł epoki.

Dziełu poświęcono setki lat badań i analiz, mimo to tkanina wciąż skrywa wiele sekretów. Eksperci nadal nie są zgodni co do części podstawowych kwestii, jak choćby kim był projektant, na czyje zamówienie dzieło powstało, kto je haftował i gdzie. Książka stara się zebrać te najlepiej udokumentowane i uargumentowane hipotezy, zostawiając czytelnikowi przyjemność własnej oceny.

David Musgrove, Michael Lewis, „Tkanina z Bayeux. Opowieść wysnuta”, Państwowy Instytut Wydawniczy 2022



Opowieść, którą potwierdza życie



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Są książki, do których wracamy, bo je lubimy, bo dobrze nam się kojarzą, bo przywołują wspomnienia. Ale czasem wracamy do lektur, bo stają się one aktualne i mimo upływu lat opowiadają współczesne nam historie. Tak jest z książką Barbary Gawryluk „Teraz tu jest nasz dom”.

To część serii „Wojny dorosłych – historie dzieci” Wydawnictwa Literatura. Pierwsze wydanie ukazało się kilka lat temu, a opowieść odnosi się do czasów, gdy wybuchła wojna w Ukrainie w 2014 r. Książka jest przepięknie ilustrowana przez Macieja Szymanowicza. Na wewnętrznej stronie okładki znajduje

się mapa, która pokazuje młodemu czytelnikowi położenie geograficzne miejsc opisanych w książce.

Bohaterowie opowieści to pięcioosobowa rodzina: mama, tata, Romek, Miłkołaj i Natalia. Mieszkają w Doniecku, wiodą spokojne życie, w które brutalnie wkracza wojna. Wojna, która przynosi zniszczenia, sieje niepokój i niepewność. Dlatego, kiedy robi się coraz niebezpieczniej, Baranowscy decydują się na organizowaną przez polskie władze ewakuację z Ukrainy. Rodzicom jest nieco łatwiej – tata z pochodzenia jest Polakiem, mama studiowała w Polsce, natomiast dla dzieci to podróż w nieznane, i to tylko z jednym plecakiem.

Po przybyciu do Polski trafiają do obozu przejściowego w Rybakach na Mazurach. Początkowo mają problemy z asymilacją, nie są rozumiani przez rówieśników. Nie pomagają im w tym tęsknota za dziadkami, którzy zostali, bo „starych

drzew się nie przesadza”, przyjaciółmi, własnym pokojem, no i... ulubionym rowerem. Z czasem sytuacja się zmienia, a dzięki zaangażowaniu wielu osób Baranowscy mają nowy dom i powoli odnajdują się w nowej rzeczywistości.

Historia z książki wróciła do nas, kiedy to po ataku Rosji na Ukrainę do Polski przybywają, szukając schronienia, ukraińskie rodziny. Książka Barbary Gawryluk, wydana teraz również w języku ukraińskim, pomoże rodzicom udzielić odpowiedzi na wiele pytań o to, co dzieje się u naszych sąsiadów. A opisane w niej reakcje i postawy wzmocnią u młodego czytelnika potrzebę pomagania i otwarcia się na drugiego człowieka.

Barbara Gawryluk, „Teraz tu jest nasz dom”, Wydawnictwo Literatura; Wiek 8+



GÓRNA PÓŁKA

Nowohucki krzyż



ANTONI
DUDEK

Nowa Huta zajmuje w najnowszej historii Polski miejsce szczególne.

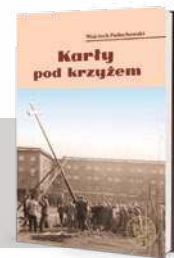
Po pierwsze, jako symbol gwałtownej industrializacji, proklamowanej przez kierownictwo PZPR w planie sześcioletnim. Po drugie, jako wielkie laboratorium społeczne, w którym władze komunistyczne starały się ukształtować nowego Polaka – wzorowego obywatela kraju budującego socjalizm. Po trzecie wreszcie, miasto zbudowane w ciągu kilku zaledwie lat wokół kombinatu, stanowi przykład zastosowania na masową skalę w budownictwie architektonicznego kanonu socrealizmu. I to w Nowej Hucie z niezwykłą siłą ujaw-

nił się paradoks ilustrujący podstawową sprzeczność systemu komunistycznego: sprzeciw robotników wobec dyktatury sprawowanej formalnie w ich interesie. Pierwszym tego spektakularnym objawem stały się zamieszki z kwietnia 1960 r., jakie wywołało usunięcie krzyża z miejsca niedosłej budowy świątyni.

O dramatycznej obronie nowohuckiego krzyża pisano już wielokrotnie, brakowało jednak całościowej monografii tych protestów. Lukę tę udało się właśnie wypełnić Wojciechowi Paduchowskiemu, który nie tylko pieczołowicie odtworzył genezę i przebieg demonstracji, ale w udany sposób wpisał ją w szerszy kontekst dziejów Krakowa oraz relacji państwowo-kościelnych w czasach Gomułki. Omówił też represje, jakich doświadczyło blisko 500 ludzi zatrzymanych przez milicję.

W maju 1960 r. w Nowej Hucie pojawił się Gomułka i w wygłoszonym przemów-

wieniu zapowiedział „usunięcie poza obręb miasta awanturników i darmozjadów”, którzy „podszczuci przez kleryków” zorganizowali „gorszące chuligańskie ekscesy”. Wytypowaniem osób do wysiedlenia zajęła się milicja, sporządzając wykaz 98 nazwisk. Później jednak się okazało, że brakuje podstaw prawnych do usunięcia osób zameldowanych na stałe w Nowej Hucie. Dobrze ilustruje to zmianę, jaka zaszła wówczas w PRL w stosunku do epoki stalinowskiej, kiedy takie wysiedlenia stosowano w wielu dużych miastach z Warszawą i Krakowem na czele. I dlatego w 1960 r. skończyło się na wysiedleniu zaledwie jednej osoby z owej czarnej listy. Był to robotnik zameldowany na pobyt czasowy w hotelu. Kilka lat później ten sam Gomułka zgodził się na budowę w Nowej Hucie pierwszego kościoła.



W. Paduchowski,
„Karły pod krzyżem”.
Nowohucki
Kwiecień '60", IPN,
Kraków 2021

POLSKIM OKIEM

List do synów



RYSZARD
CZARNECKI

Macie ojca z wykształcenia historyka, wszyscy pasjonujecie się historią i sporo o niej wiecie, dlatego nie będę pisał abstrakcyjnie o dziejach, bo nie mam na to czasu ani ja, ani wy, nie będę was pouczał, nie będę pisał banałów, że „historia magistra vitae est”. Wolę konkretnie.

Tuż za wschodnią granicą naszej ojczyzny jest wojna, spadają bomby. Nie jest to co prawda, jak niektórzy piszą z emfazą albo propagandowo, najbardziej krwawa wojna w Europie od II wojny światowej. Ludzie mają krótką pamięć, a propagandyści chcą ją mieć: na Bałkanach w latach 1990–1991 zginęło ok. 100 tys. ludzi,

a w Czeczenii w dwóch wojnach na przełomie XX i XXI w. – ok. 125 tys. (nie licząc strat Rosjan).

Ludzkie dramaty to niestety wizytówka naszego regionu Europy. Bo Rosja, bo Niemcy, ale przecież nasi rodacy ginęli też, i to na masową skalę, z ręki tych, którzy dziś są ofiarami. Przebaczenie to chrześcijańska powinność – ale wiedzieć i pamiętać trzeba. Ta pamięć o ludobójstwie Polaków na Wołyniu z rąk Ukraińców, ale przecież pod parasolem Niemiec, nie może mieć jednak wpływu na ocenę tego, co dzieje się dziś na tych samych ziemiach – i tych położonych dalej na wschód.

Pamiętajcie, że w interesie Polski jest, aby między nami a Rosją istniało realnie funkcjonujące państwo. Pamiętamy zły czas dla Rzeczypospolitej, gdy Kozacy zawarli z Rosją cara unię perejaśławską. Walkę naszych wschodnich sąsiadów trzeba zatem wspierać – pamiętając jed-

nocześnie o naszych polskich interesach. Uczulam was na to szczególnie. Mamy wiele wspólnych interesów z Ukrainą czy USA, ale to nie oznacza, że w stu procentach ich interesy są naszymi i odwrotnie. Na przykład teraz Ukrainie chodzi o maksymalne umiędzynarodowienie ich wojny. Oczywiście nie leży to w polskim interesie, bo to dla Polski zbyt wielkie ryzyko i konsekwencje z tego wynikające mogłyby być dramatyczne...

W ostatnich tygodniach nastąpił olbrzymi wzrost roli Polski. USA ponownie widzą w nas partnera numer jeden w regionie (bądź co bądź tylko my w NATO i UE graniczymy jednocześnie z Rosją, Ukrainą i Białorusią). Pamiętajmy jednak, że nasi przyjaciele zza oceanu mają pokusę wyjmowania kasztanów z ognia cudzymi rękami. Sojusz sojuszem, ale na to zgody być nie może.

Na koniec bowiem zawsze będzie rachunek interesów, korzyści i strat. Inne nacje tak kalkulują. A my, Polacy – moi kochani – wyciągając wnioski z dziejów, też tak musimy, patrząc przez pryzmat rozumu, a nie serca.


**RAFAŁ
ŁATKA**

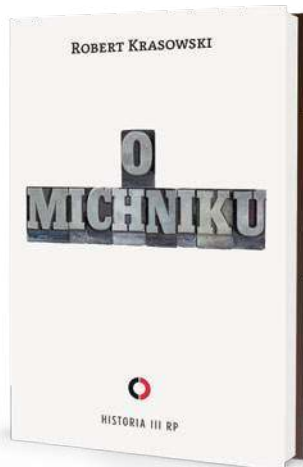
 Biuro Badań
Historycznych
IPN

W KRĘGU KLIO

O postaciach i wydarzeniach, o których tylko pozornie wiele wiemy...

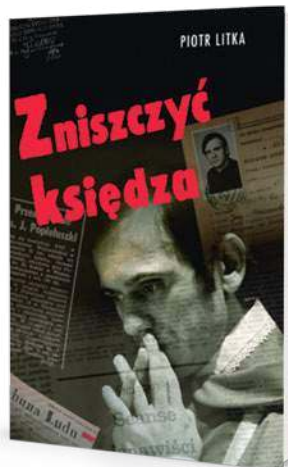
Robert Krasowski, „O Michniku”, Warszawa 2022, Wydawnictwo Czerwone i Czarne;
Piotr Litka, „Zniszczyć księdza”, Kraków 2021, Wydawnictwo AA

Adam Michnik to postać, która jeszcze kilka lat temu wzbudzała wielkie i skrajne emocje. Przed aferą Rywina, której redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” był ważnym uczestnikiem, znajdował się u szczytu potęgi. Mógł wpływać i rzeczywiście wpływał na realia społeczno-polityczne w Polsce, a imperium medialne, którego był główną twarzą, systematycznie się rozrastało. Wydarzenia, jakie miały miejsce w latach 2002–2003, zachwiały tą pozycją i stopniowo spowodowały, że „Gazeta Wyborcza” stała się cieniem dawnej potęgi, a Michnik zmienił się z „demiurga” (określenie Romana Graczyka) w „zrędliviego staruszka” (jak opisał go Rafał Ziemkiewicz). Książka Roberta Krasowskiego omawia wybrane elementy biografii Michnika, jej autor zwraca uwagę przede wszystkim nie tyle na konkretne fakty (trudno w niej poszukiwać informacji nieznanych), ile na jego rolę środowiskową, polityczną i wreszcie opisuje wpływ na rzeczywistość polityczną. Narracja Krasowskiego jest wciągająca, płynna, oryginalna i poznawczo interesująca. Autor omawia kolejne etapy życia i aktywności swojego bohatera przy pomocy i z perspektywy jego sojuszników i przyjaciół. Obraz to niezwykle ciekawy, gdyż doskonale udowadnia, że Michnik nie był osobą, którą zadowalała pozycja, jaką osiągnął – stale chciał więcej i więcej. Miał zamiar daleko idącego przekształcenia polskiej tożsamości w kierunku lewicowo-liberalnym, zwalczania „polskiego nacjonalizmu” i klerykalizmu (choć ten ostatni cel ujawnił dopiero po 1989 r., gdy Kościół nie był mu już potrzebny). Jego głównym i, jak się wydaje, najważniejszym dla niego osobiście celem po transformacji ustrojowej (co wnikliwie opisał Krasowski), było zbudowanie partii wielkiej zgody, czyli sojuszu „różowych” z „czerwonymi”. Miało być to wspólne ugrupowanie polityczne dla: Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego z jednej strony oraz dla Aleksandra



Kwaśniewskiego, Leszka Millera z drugiej. Promowaniu tej idei, jak udowadnia autor, Michnik poświęcił wiele czasu i energii. Próbował nie tylko przekonać do swojego pomysłu, ale także na różne sposoby zmusić niechętnych do tej koncepcji do jej realizacji. Potrafił być przy tym zadziwiająco brutalny. Dla mnie też bardzo interesującym elementem dzieła Krasowskiego jest przekonujący dowód, że bohater jego rozważań był człowiekiem wielkiej przesady we wszystkich działaniach, jakie podejmował. Klasycznym pod tym względem przykładem były ostentacyjne hołdy, jakie oddawał Lechowi Wałęsie w drugiej połowie lat 80. (wraz z klękaniem na kolana przed liderem Solidarności). Generalnie trzeba powiedzieć, że książka „O Michniku” doskonale uzupełnia wcześniejsze publikacje książkowe Ziemkiewicza i Graczyka, dając czytelnikowi świeże spojrzenie na rolę „nadredaktora” w polskim życiu politycznym (szczególnie po 1989 r.).

Na temat ks. Jerzego Popiełuszki powstała już ogromna liczba opracowań o różnym charakterze: biograficznym, źródłowym czy wspomnieniowym. Wydawać by się mogło, że bez dostępu do dokumentacji zgromadzonej w archiwach postsowieckich w Rosji ustalenie czegoś nowego w kwestii jego życia, działalności, a przede wszystkim okoliczności działań bezpieki przeciwko kapłanowi i jego śmierci, jest niemożliwe. Dzieło Piotra Litki zatytułowane „Zniszczyć księdza” pokazuje, że jest inaczej. Dzięki temu opracowaniu na jaw wychodzą nowe informacje dotyczące



aktywności komunistycznego aparatu bezpieczeństwa wobec niezłomnego kapelana Solidarności. Szczególne znaczenie mają ustalenia Litki w sprawie tzw. prowokacji na Chłodnej – czyli próby skompromitowania ks. Popiełuszki podjętej w 1983 r. Publikację uzupełnia ważny aneks źródłowy, który zawiera mniej znane lub zupełnie nieznane dokumenty dotyczące tej sprawy (za szczególnie interesujący uważam list Jerzego Urbana do gen. Jerzego Gruby).



Witold Szablowski, „Rosja od kuchni. Jak zbudować imperium nożem, chochlą i widelcem”, Warszawa 2022, Wydawnictwo WAB

Witold Szablowski od kilku już lat należy do grona najlepszych polskich reportażystów. Szczególnie warto sięgnąć po jego opracowania dotyczące Turcji czy książkę poświęconą sprawiedliwym Ukraińcom, czyli

członkom tego narodu zaangażowanym w pomoc dla Polaków mordowanych na Wołyniu. Tym razem autor ten podjął się ciekawego wyzwania, czyli opisanie historii Rosji od ostatniego cara do współczesności z perspektywy kuchni, a żeby być bardziej precyzyjnym – z perspektywy kucharzy gotujących dla kolejnych rządzących tym krajem. Jego książkę otwiera opis wizyty w dawnej letniej daczce Stalina znajdującej się w Abchazji, która stała się punktem wyjścia do dalszych rozważań (nie tylko zresztą kulinarnych, ale też kulturowych czy politycznych). Następnie Szablowski omówił, jak działała kuchnia ostatniego cara Rosji Mikołaja II – co jadła rodzina carska, kto dla nich gotował i w jaki sposób. Pewnym paradoksem jest to, że dopiero wybuch rewolucji spowodował, iż szefem kuchni został Rosjanin (wcześniej zawsze byli to Francuzi). Jeszcze

ciekawsze są rozważania autora (poparte kilkoma cennymi relacjami świadków), co jadł Józef Stalin i kto odpowiadał za przygotowywanie jego posiłków. W tym aspekcie najbardziej interesujące jest, że szef kuchni dyktatora i jego następców na Kremlu zostawał funkcjonariuszem NKWD – o tym, że on i jego rodzina byli dokładnie sprawdzani, nie ma nawet potrzeby nadmieniać... Okres największej prosperity kuchni I sekretarza KC KPZR przeżywała za Leonida Breżniewa. To wówczas organizowano największe uczy, a stoły ugięły się od rozmaitych przysmaków, które miały znamionować bogactwo Związku Sowieckiego i imponować obserwatorom. Za Michaiła Gorbaczowa przyjęcia nie były już tak okazałe, a podobnie jak całe imperium kuchnia kremłowska także odczuła mocno gospodarkę niedoboru. Do najciekawszych fragmentów reportażu Szablowskiego należy również opis spotkania przywódców Rosji, Ukrainy i Białorusi w Puszczy Białowieskiej z 1991 r., na którym zdecydowano o zlikwidowaniu Związku Radzieckiego. Uzupełnieniem, a jednocześnie atutem recenzowanej książki, są przepisy kucharskie najważniejszych dań ze stołów rosyjskich przywódców, które czytelnik może sobie samodzielnie przygotować (większość z nich nie jest specjalnie skomplikowana).



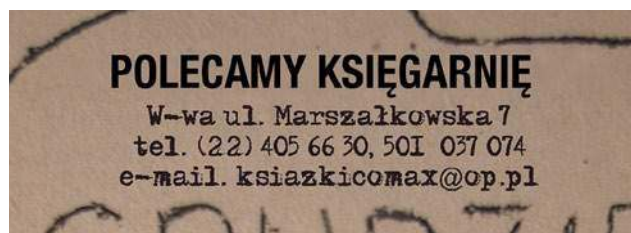
Wojciech Königsberg, Bartłomiej Szpyrowski, „Zlikwidować! Agenci Gestapo i NKWD w szeregach polskiego podziemia”, Kraków 2022, Znak

Funkcjonowanie polskiego podziemia w okresie II wojny światowej było już przedmiotem wielu studiów. Jednakże działalność niektórych, szczególnie zdrajców w nim aktywnych, nie została dotychczas wystarczająco opi-

sana. Dwóch już uznanych specjalistów w zakresie tej tematyki (szczególnie wysoko należy oceniać prace naukowe Bartłomieja Szpyrowskiego zajmującego się m.in. wymiarem sprawiedliwości działającym w polskich strukturach konspiracyjnych) podjęło problem działalności agentów Gestapo i NKWD zwerbowanych wśród członków podziemia niepodległościowego. Zaprezentowali oni sylwetki siedmiu zdrajców i na tych przykładach omówili metody stosowane przez wywiadowczy struktury obydwu okupantów. Należy wskazać, że ich praca opiera się na bogatym materiale źródłowym – autorzy wykorzystali zasoby ponad 50 archiwów, a każda właściwie informacja podana w książce została niezwykle solidnie udokumentowana. Ta ostatnia cecha pozytywnie wyróżnia książkę „Zlikwidować! Agenci Gestapo i NKWD w szeregach polskiego podziemia”,

gdyż wiele innych opracowań dotyczących podobnej tematyki opartych było na wąskiej podstawie źródłowej lub nawet ich autorzy nie podawali, skąd wzięli przywoływane (niejednokrotnie) kontrowersyjne informacje. Dla mnie najciekawsze okazały się rozdziały poświęcone Edwardowi Goli (ps. Rudy Antoni) oraz Józefowi Staszauerowi „Astonowi”. Warto dodać, że publikację uzupełnia obszerny aneks źródłowy zawierający reprodukcje wielu istotnych dokumentów i zdjęć – m.in. funkcjonariuszy gestapo. Należy mieć nadzieję, że ten duet autorów przygotuje kolejne publikacje poświęcone zdrajcom działającym w polskim podziemiu, gdyż nasza wiedza na ten temat jest wciąż niepełna.

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...**PROF. PATRYKIEM PLESKOTEM**, redaktorem tomu „Księża i dyplomaci. Spotkania pracowników amerykańskich placówek dyplomatycznych w PRL z przedstawicielami Kościoła, w świetle dokumentów (1974–1988)”

Panie profesorze, ukazał się właśnie w pana opracowaniu tom źródeł dotyczących spotkań pracowników amerykańskich placówek dyplomatycznych z duchownymi Kościoła katolickiego w dwóch ostatnich dekadach PRL. Proszę powiedzieć, jak wiele było tego typu rozmów i skąd wzięły się materiały źródłowe, które pan wydał?

Prof. Patryk Pleskot: W całym wspomnianym okresie liczbę takich spotkań należałoby mierzyć w setkach. Większość oryginalnych amerykańskich notatek z rozmów pozostaje tajna. Tak się jednak złożyło, że kontrwywiad PRL co najmniej od połowy lat 70. do 1990 r. potrafił systematycznie wykraść korespondencję dyplomatyczną USA, w tym dokumentację spotkań z duchownymi (i innymi środowiskami). Polskie tłumaczenia wykradzonych dokumentów można dziś odnaleźć w archiwum IPN. Prezentowany czytelnikowi tom dokumentów umożliwia więc nie tylko wniknięcie w meandry relacji polskich duchownych z amerykańskimi dyplomatami, lecz także jest dowodem jednego z największych sukcesów operacyjnych kontrwywiadu PRL. Operacja „Tajfun”, w której ramach sekretnie otwierano worki z pocztą dyplomatyczną na lotnisku Okęcie, jak również włamania do konsulatów amerykańskich w Krakowie i Poznaniu (ich liczba do dziś nie jest ustalona) pozostawały tajemnicą dla strony amerykańskiej przez cały ten czas.

Kto był najważniejszym rozmówcą Amerykanów?

Dyplomaci starali się rozmawiać dosłownie ze wszystkimi: od zwykłych wikariuszy i zakonników, przez biskupów z prowincji, po najważniejszych hierarchów z Episkopatu Polski, nie wykluczając kolejnych prymasów. Najtrwalsze chyba

kontakty Amerykanie nawiązali z biurem prasowym oraz Sekretariatem Episkopatu Polski, a także ze środowiskiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Spośród zakonników ich częstym rozmówcą był zasłużony duszpasterz akademicki, mocno wspierający Solidarność, o. Honoriusz Kowalczyk z Poznania (notabene ofiara tajemniczego wypadku samochodowego z 1983 r.). Jeśli zaś chodzi o hierarchów, główną rolę odgrywał biskup pomocniczy gnieźnieński Jerzy Dąbrowski (jak wiadomo, rozmawiał on nie tylko z Amerykanami, ale i funkcjonariuszami SB...) czy kard. Franciszek Macharski. Doszło również do kilku rozmów z prymasami Wyszyńskim i Glempem, choć miały one raczej formalny przebieg.

Jakie tematy poruszano?

Wbrew pozorom nie chodziło wyłącznie o wątki związane z wewnętrznym życiem Kościoła w PRL, choć i one rzecz jasna się pojawiały. Amerykanie chcieli również wy badać poglądy różnych przedstawicieli Kościoła na sytuację społeczno-polityczną w kraju – z uwzględnieniem zarówno kręgów władzy, jak i środowisk niezależnych. W tle często pojawiał się Watykan: polscy duchowni byli cennym „instrumentem” badającym bieżące zamierzenia Stolicy Apostolskiej względem PRL, co stało się szczególnie istotne po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Oprócz tego dyplomaci starali się poprzez rozmowy rozpoznawać codzienność przeciętnego Polaka – z całym bagażem jego problemów materialnych i duchowych.

Czego nowego dowiadujemy się z wydanych przez pana dokumentów?

Duchowni byli dla Amerykanów bardzo ważnym rezerwuarem wiedzy. Wyjątkowa



pozycja Kościoła katolickiego w PRL sprawiała, że z jednej strony jego przedstawiciele mieli bogaty zasób ciekawych wiadomości i świetną nieraz orientację w polskiej rzeczywistości, z drugiej zaś – cechowały ich niezależność i dystans wobec oficjalnych, państwowo-partyjnych źródeł informacji. Sami duchowni, kontaktując się z przedstawicielami Waszyngtonu, prowadzili również swoją grę. Na to wszystko nakłada się perspektywa kontrwywiadu, który pracowicie odnotowywał kolejne rozmowy i dyskusje... Prezentowane w tomie dokumenty umożliwiają śledzenie tych rozmaitych zależności, co może się okazać ciekawe dla czytelników i przydatne dla badaczy epoki.

„Księża i dyplomaci. Spotkania pracowników amerykańskich placówek dyplomatycznych w PRL z przedstawicielami Kościoła, w świetle dokumentów (1974–1988)”, IPN, Warszawa 2021



Ryszard Witkowski „Orliński” (1926–2022)

Za pomocą swojej nieodłącznej leiki uwiecznił świeże zgliszcza zniszczonej pod koniec II wojny światowej Warszawy. Stworzył podwaliny polskiego lotnictwa śmigłowcowego, a przyjaźnią z nim szczylicili się nawet operatorzy elitarniej jednostki GROM. W środę 23 marca w swoją ostatnią podróż wyruszył były żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej i Armii Krajowej, pasjonujący człowiek, Ryszard Witkowski „Orliński”.

Urodził się 9 maja 1926 r. w podwarszawskim Milanówku. Ponieważ jego matka Felicia prowadziła miejscowe atelier fotograficzne, szybko sam zaczął wykonywać zdjęcia. Wraz z nadejściem koszmaru niemieckiej okupacji to właśnie aparat stał się jego pierwszą bronią. Gdy dołączył do szeregów NOW, a następnie AK, fotografował jadące na front wschodni transporty wojskowe i dokumentował przejawy społecznego oporu. Przełomem w fotograficznej działalności „Orlińskiego” okazał się rok 1943, kiedy jego matka zakupiła od niemieckiego oficera, nowoczesny jak na owe czasy, aparat małoobrazkowy firmy Leica. Za jego pomocą wykonał zdjęcia, na których uwiecznił m.in. włoskich jeńców wojennych oraz stacjonujących w Milanówku węgierskich żołnierzy. Zwłaszcza te ostatnie okazały się unikatowe i zostały wielokrotnie wykorzystane w publikacjach poświęconych przyjacielskiej postawie honwedów względem polskiego podziemia i cywilów.

Niezależnie od pasji fotograficznej jako żołnierz AK służył na placówce podejmującej alianckie zrzućty. To właśnie dzięki niemu po latach kombinezon polskich skoczaków, cichociemnych, trafił do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Gdy w sierpniu 1944 r. stolica rozpoczęła walkę przeciwko niemieckiemu zniewoleniu, do Milanówka

zaczęto ewakuować powstańcze szpitale wraz z rannymi. Witkowski uwiecznił wówczas zdjęciami ich życie. Po upadku powstania warszawskiego w Milanówku znalazła się część członków Polskiego Państwa Podziemnego. To wtedy losy „Orlińskiego” splotyły się z byłym kierownikiem Referatu Fotograficznego Biura Informacji i Propagandy AK, Wacławem Żdżarskim „Kozłowskim”. Wykorzystując część ocalałego z Warszawy specjalistycznego sprzętu oraz leicę Witkowskiego, zdołali odtworzyć konspiracyjną komórkę zajmującą się odczytywaniem i wykonywaniem mikrofilmów dla poczty kurierskiej. Jak wspominał „Orliński”: „Interesujące było to, że dla Delegatury Rządu na Kraj [...] służyło urządzenie niemieckie. Zaczynając od leiki, przez soczewki reprodukcyjne i tabele do reprodukcji dokumentów sporządzone również w języku niemieckim. To był paradoks historii”. Jednak chyba najcenniejsze swoje zdjęcia wykonał na początku 1945 r., po przejściu frontu wschodniego. Wówczas jednym z pierwszych transportów kolejowych udał się do zniszczonej Warszawy, zapisując widok ruin stolicy, strzaskanych kościołów, obróconych w perzynę zabytków i figury Zygmunta III Wazy leżącej na bruku. Zdjęcia te, jak i zestaw do mikrofilmów oraz leica trafiły do Muzeum Powstania Warszawskiego, wydatnie wzbogacając jego zbiory. Nie sposób również nie wspomnieć o tym, że „Orliński” wraz ze swoją matką i siostrą uratowali trójkę ukrywanych przez siebie Żydów. Za ten czyn zostali nagrodzeni tytułem Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, a także Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Po wojnie studia i największą pasję jego życia, karierę lotniczą, brutalnie przerwało aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa. Następnie w wyniku represji nie mógł przez kilka lat podjąć pracy w upragnio-

nym zawodzie. Mimo to ukończył Szkołę Inżynierską im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, a następnie Politechnikę Warszawską. Doskonalił się również w lotach szybowcowych oraz pilotażu samolotów. Ostatecznie znalazł się w elitarnym gronie pierwszych pięciu Polaków, którzy zostali pilotami śmigłowców. W dziedzinie tej stał się niekwestionowanym autorytetem. Dzięki konsekwencji i talentowi w trakcie swojego bogatego i długiego życia ustanowił rekord świata, był pilotem doświadczalnym, niezależnym ekspertem lotniczym, pracownikiem naukowo-badawczym, wykładowcą, międzynarodowym sędzią sportów lotniczych FAI oraz autorem książek. Zdjęcia związane z podniebną częścią swojego życia przekazał do Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. W ostatnich latach, przez trzy kolejne edycje, wraz z najznamienitszymi polskimi fotografami zasiadał w jury konkursu rocznicowego Muzeum Powstania Warszawskiego „Pamięć »W« kadrze”. Również lotnictwo towarzyszyło mu do końca. W 2021 r. podczas swoich 95. urodzin odbył lot na pokładzie legendarnego black hawka. W marcu podczas jego pogrzebu niebo nad Starymi Powązkami przecięły lecące w szyku honorowym samoloty i śmigłowce.

Oprac. M. Komuda



FOT. MPW/EX



O mężu stanu, który dokonał zjednoczenia chrześcijańsko-narodowego



**MAREK
JUREK**

Mija dziesięć lat od śmierci Wiesława Chrzanowskiego, za rok będziemy świętować jego mijający wiek, stulecie urodzin.

W jednej ze swych oficjalnych mów sejmowych marszałek Chrzanowski cytował kardynała Ratzingera, usprawiedliwiając się, że Izba musi się przyzwyczaić, że w jego wystąpieniach będą nawiązania katolickie, bo – jak mówił z uśmiechem – taki już jest. I mimo ostrych sporów ideowych posłowie przyjmowali to z sympatią i życzliwością.

Wspominam tamtą mowę, bo z temperamentu był marszałek Chrzanowski dość podobny do papieża emeryta. Charakteryzując go, można właściwie sparafrazować słynne papieskie słowa: prosty, skromny pracownik w winnicy Rzeczypospolitej. Nie miał bowiem ambicji być charyzmatycznym przywódcą, choć miał charyzmę. Owszem, na pewno bardzo pragnął przywództwa intelektualnego. Po zakończeniu czynnej działalności politycznej mówił ze śmiechem, że cieszy się, mogąc być „w pozycji kwoki, która wysiedziała kurczęta, które płyną, a ona patrzy z brzegu”. I tu wymieniał różnych wychowanków politycznych, którzy odegrali istotną rolę w życiu publicznym.

Jego polityczne przemówienia (co nas, jego współpracowników, czasami irytowało) przypominały bardziej wykłady niż agitację. Nie znosił jakiegokolwiek pod-

burzania. Miał zawsze to doskonałe narodowe (choć niestety nie zawsze przyjmowane przez narodowców) poczucie, że przed nami byli inni i po nas inni przyjdą, a my jesteśmy tylko ogniwem w łańcuchu pokoleń, że zatem musimy wykonać swoją pracę, która z zasady jest częściowa. Nie głosił „narodowych przełomów”. Ale efekty tego, co zrobił, a jeszcze bardziej – co zainspirował i umożliwił, wykraczają daleko poza historię jednego pokolenia. Tak właśnie, dzięki poczuciu ciągłości, powstają rzeczy trwałe. Tak w istocie prowadzi się politykę skuteczną, czego zwolennicy doraźnej „skuteczności” z reguły nie wiedzą.

Węzły historii

W opublikowanych cztery lata przed śmiercią „Śladach na piasku” wyznawał, że „jest zawiedziony zanikiem ZChN”, zaznaczał jednak zaraz, że choć „ZChN jako czynnik w życiu publicznym to czas przeszły, ale nie ludzie, postawy, poglądy”. Nie dodawał jednego – pewnie przez skromność – że trwają nie tylko „poglądy i postawy”, lecz instytucje i ślady w życiu publicznym, bynajmniej nie „na piasku”.

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zapewniło bowiem w początkach niepodległości reprezentację opinii katolickiej, której właściwie miało nie być. Liberalna klasa rządząca, która wyłoniła się z kręgu doradców Solidarności, traktowała katolicką prawicę, owszem, jako rezerwuwar wyborczy, ale jednocześnie jako polityczną zawalidrogę „transformacji”, „modernizacji” i „powrotu do Europy”. Reprezentację opinii katolickiej wykluczano od początku, a to jako

„rozbijanie jedności”, a to jako „fundamentalizm”. Wiesław Chrzanowski zapewnił jej obecność. Żaden inny polityk nie zjednoczyłby katolickiej prawicy, nie zapewniłby jej zaufania (dość skłonnego do nieufności) episkopatu, siły społecznej po prostu.

Ale to kształt państwa, nie życia politycznego, był najważniejszy. To ZChN więc – jak napisał kiedyś Grzegorz Górny – odwrócił trend ustawodawstwa europejskiego, obalając peerelowskie ustawodawstwo aborcyjne, namiętne bronione przez środowiska lewicowo-liberalne. Oczywiście nie zrobił tego sam, co więcej – Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe nigdy (w odróżnieniu od późniejszej giertychowskiej Ligi Polskich Rodzin) nie chciało się przedstawiać jako wyłączny reprezentant sprawy. Wolało mówić, że to, o co walczy, jest dążeniem o wiele szerszej politycznej większości. Motorem jednak był. Potencjalna większość aktualizuje się dopiero wtedy, gdy ktoś z dostatecznym uporem stawia postulaty, które tę większość konstytuują. Podobną rolę odegrał ZChN w oparciu edukacji publicznej na zasadach kultury chrześcijańskiej czy w przyjęciu konkordatu ze Stolicą Apostolską. Szczególnie ważne było również przevorsowanie prawicowej większości w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, zagwarantowanie szerokiej obecności mediów katolickich oraz dekomunizacyjnych, konserwatywnych zmian w telewizji publicznej w latach 1993–1996. To wszystko nadało wyraźny chrześcijański charakter odbudowywanej Rzeczypospolitej. Ukonstytuował się konsens, który od tamtej pory stał się oparciem dla całej, najszerzej rozumianej, prawicy. Bez marszałka Chrzanowskiego konsens ten nie miałby siły sprawczej.

Demokracja chrześcijańska

Choć Wiesław Chrzanowski odegrał ważną rolę w życiu wielu konserwatywnych polityków i intelektualistów – konserwatyzmu nie lubił, mimo że pochodził z konserwatywnego, ziemiańsko-profesorskiego domu. Wprawdzie jego ojciec był wykładowcą politechniki, inżynierem i zdecydowanym zwolennikiem uprzemysłowienia Polski – mieli jednak parędziesiąt kilometrów od Warszawy mały majątek, gdzie trzymali kilkanaście

koni i spędzali wakacje. W domu, choć religijność była raczej powściągliwa, zachowywano, szczególnie dzięki matce, tradycyjne obyczaje katolickie.

Historyczny konserwatyzm dla Wiesława Chrzanowskiego oznaczał jednak pretensje wyizolowanej elity, niezdolnej do przywództwa narodowego w demokratycznym społeczeństwie. Kierunek narodowy natomiast traktował jako część procesu demokratyzacji, jako lepszą odpowiedź na jej wymogi niż socjalizm czy ruch chłopski. Często jednak wracał do swych zastrzeżeń wobec polityki Dmowskiego po 1905 r., zaznaczając, że były to błędy człowieka genialnego. Żałował, że Dmowski, dokonując koniecznej reorientacji geopolitycznej swego ruchu, przeprowadził ją tak apodyktycznie, że stracił najwartościowsze, zdaniem Chrzanowskiego, elementy ruchu: działaczy Narodowego Związku Robotniczego i Narodowego Związku Chłopskiego oraz niepodległościową zetową młodzież. Zawsze powtarzał, że można było ten zwrot przeprowadzić łagodniej.

Zwrot, którego sam był uczestnikiem – miał jednak charakter gwałtowny, był bowiem następstwem historycznej katastrofy, nie polityki. Wojna przyniosła przewartościowanie przekonań narodowej młodzieży. Pogłębienie religijności i wrażliwość demokratyczną, przeżywaną jako odpowiedź na totalitaryzmy – niemiecki i sowiecki. Ich ulubionymi filozofami byli w tamtym czasie, jak Wiesław Chrzanowski opowiadał – Maritain i Bierdiajew. Nawiązywali do napisanego w 1926 r. przez Dmowskiego studium „Kościół, naród i państwo”, uważali jednak, że to tylko punkt wyjścia procesu, który powinien pójść dalej. Katolicyzm, owszem, dla niewierzących – jak pisał Maurras – może być cywilizacją, dla wierzących jednak musi być prawdą. Tamte wojenne przemyślenia przez resztę życia były już podstawą poglądów i polityki Wiesława Chrzanowskiego.

Chrześcijańsko-narodowe zjednoczenie

Partia, którą założył, ZChN, zjednoczeniem była naprawdę. Francuski znajomy zwrócił uwagę Chrzanowskiemu, że nazwy naszej partii nie należy tłumaczyć jako Union chrétienne-nationale, nie jako połączenie zasad tylko, ale jako Rassemblement, czyli zjednoczenie reprezentujących te zasady sił społecznych.

Oczywiście zjednoczenie to miało swoje osobliwości, często przypominało syntezę romantyzmu kontrrewolucyjnego i oportunistu parafialnego, ale i to stanowiło jego siłę.

Wyróżnić w nim można było cztery dominujące postawy. Pierwszą, konserwatywno-katolicką (ktoś mógłby powiedzieć – integrystyczną), podkreślającą wagę chrześcijańskiego charakteru państwa, wierność Magisterium Kościoła, konieczność politycznego sporu z liberalizmem. Drugą, fundamentalistyczną, którą od poprzedniej różniło opieranie się nie tyle na Magisterium, ile na emocjach, społecznych przeświadczeniach i odruchach zaangażowanych katolików. Trzecią, pragmatyczną (niekiedy oportunistyczną), w przeszłości

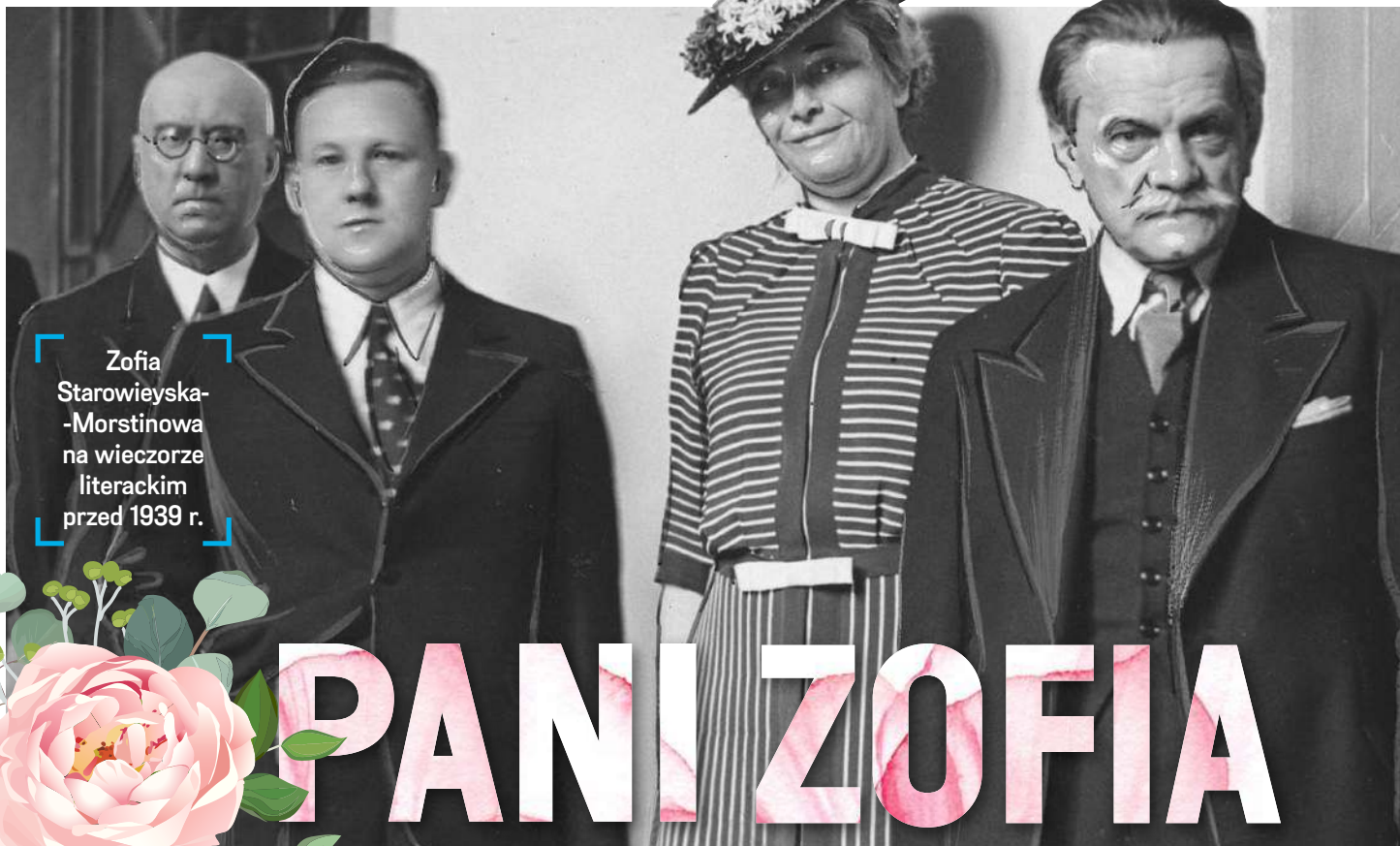
nie zawsze związaną z opozycją, w wolnej Polsce najbardziej prowałęsowską. Czwartą, chadecką (świadomie używam tej formuły), faktycznie akceptującą społeczeństwo liberalne, nastawioną na udział we władzy, ograniczającą konieczne spory ideowe.

Dramat Wiesława Chrzanowskiego polegał na tym, że choć jego założenia najlepiej rozumieli reprezentanci nurtu pierwszego – sam marszałek swą politykę chciał oprzeć na dwóch ostatnich. Uważał, że tego wymaga stabilizacja państwa, to odpowiada historycznemu sukcesowi, którym było odzyskanie niepodległości, to daje gwarancję umiaru. W dużym stopniu dlatego rola polityczna ZChN wygasła, ale kształt Rzeczypospolitej pozostał.



FOT. EAST NEWS/ADAM JAGIELAK

Marszałek Wiesław Chrzanowski nie miał ambicji być charyzmatycznym przywódcą, choć miał charyzmę



Zofia
Starowieyska-
Morstinowa
na wieczorze
literackim
przed 1939 r.

PANI ZOFIA



JOANNA
PUCHALSKA

Rodzinny dwór Zofia Starowieyska-Morstinowa będzie wspominać wiele lat później w autobiograficznej powieści „Dom”. Dowiemy się, że ojciec, Stanisław Starowieyski, nie czuł się dobrze w roli ziemianina, wołał siebie jako polityka i działacza. Był niekwestionowaną głową rodziny, dzieci go uwielbiały i mała Zosia traktowała to jak wielkie wyróżnienie, gdy zabierał ją ze sobą w pole. Opowiadał wtedy takie ciekawe rzeczy. I o drzewach, które kochał, i o Słowackim czy Fredrze, i o polityce. Kiedyś pochwaliła mu się, że jest mądrzejsza od fornała, bo ona mówi po francusku, a fornał nie. Wtedy ojciec spytał, czy ona umie siać siewnikiem. Po przeczącej odpowiedzi padło drugie pytanie, co jest ważniejsze: mówić po francusku czy umieć siać siewnikiem? „Leżałam na obie łopatki” – napisze dorosła Zofia.

DOM MIESZKALNY, WESOŁY I PRZYJAZNY, ROZRASTAŁ SIĘ W MIARĘ PRZYCHODZENIA NA ŚWIAT KOLEJNYCH DZIECI. NAJSTARSZA Z NICH, ZOSIA, LUBIŁA KWIATY I WIDOK Z OKNA NA ZMIANY PÓR ROKU. SZCZĘŚLIWIE UPŁYNNĘŁO JEJ TO DZIECIŃSTWO SPĘDZONE W BRATKÓWCE W ZIEMI KROŚNIEŃSKIEJ

Ta dziewczynka nie lubi lalek

Nie lubiła też wspólnych zabaw i obowiązkowych spacerów. Od lalek wołała budowanie z klocków, ale i tak najbardziej na świecie kochała książki. Nie bez wpływu były tu poważne rozmowy z ojcem, otrzymana od niego na gwiazdkę wielotomowa „Historia literatury polskiej” Stanisława Tarnowskiego i wieczorne rodzinne czytanie Trylogii Henryka Sienkiewicza. Uczyła się w domu i dopiero mając 16 lat, pojechała do prywatnego liceum żeńskiego urszulanek w Kołomyi, gdzie siostra matki, Zofia Łubieńska, była dyrektorką. Najbardziej przykładała się do literatury, toteż wkrótce zdarzało się jej zastępować wy-

kładającą ten przedmiot ciotkę. Po maturze chciała iść na studia, ale matka się nie zgodziła, uznając to za niepożądane dla panny z dobrego domu.

Życie wiejskie i literackie

W 1917 r. wyszła za Zygmunta Morstina, brata Ludwika Hieronima, i zamieszkała z mężem w jego Święcicach. Oboje chętnie zapraszali tam ludzi pióra. Gościli m.in. Józefa Wittlina, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Leopolda Staffa, Zygmunta Nowakowskiego. W salonie toczyły się długie rozmowy o literaturze, sztuce, teatrze.

Choć pani Zofia kochała życie na wsi, przede wszystkim spragniona była

intelektualnej strawy. Nużyły ją gospodarskie przyziemności, jak wydawanie dyspozycji służbie, wstawanie w nocy do cielącej się krowy albo objeżdżanie pól, by sprawdzić, czy chłopci nie pokradli snopków. Zimą wyjeżdżała odpocząć do Krynicy lub Zakopanego. Nie mogli pojechać oboje jednocześnie, bo ktoś musiał pilnować gospodarstwa. Gdy na świat przyszedł synek Andrzej, Zofia z fascynacją obserwowała jego rozwój i poświęcała dziecku wiele czasu. Z jej prze-myśleń powstała książka „Moje i twoje dzieciństwo”.

Pisać, pisać

Tak się stało, że święcicka dziedziczka została wziętą recenzentką literacką i teatralną. Po dopełnieniu porannych obowiązków czytała książki przysłane jej do omówienia, robiła notatki i pisała – dużo i szybko. Spod jej pióra wychodziły też wiersze, opowiadania, reportaże, artykuły, felietony, słuchowiska. Współpracowała z wieloma gazetami, w tym z konserwatywnymi: „Czasem”, „Przeglądem Powszechnym”, poznańską „Kulturą” i „Wiadomościami Literackimi”. Lubiła omawiać utwory budzące kontrowersje, jak „Przedwiośnie” czy „Soból i panna”. Fascynowały ją książki o tematyce religijnej, ukazujące ludzkie rozterki, pomyłki, wątpliwości. Doskonale czuła się w reportażu. Jej relacje z odbytych podróży do Włoch, Szwecji czy Jugosławii cechuje dbałość o szczegóły i dobre opisy realiów.

Dumna była, gdy znalazła się w gronie autorów tygodnika „Pion”, gdzie publikowali Gombrowicz, Miłosz, Witkacy, Czechowicz, Nałkowska, Przyboś, Borowy, Kleiner. A gdy rozgłosnie warszawska i krakowska Polska Radio zaczęły zamawiać u niej szkice obyczajowe i skecze, stwierdziła, że płacą lepiej niż w prasie, nie mówiąc o tym, że więcej niż za plody rolne.

Parnas u szwagra

Wiele jej dał zjazd poetów u Ludwika Hieronima Morstina w Pławowicach. Wśród gości znaleźli się Staff, Tuwim, Wittlin, Lechoń, Stonimski, Iwaszkiewiczowie, Jasnorzewska-Pawlikowska, Goetel, Horzyca i Szantroch. Deklamowano wiersze, dyskutowano o roli poety w społeczeństwie, o niezależności sztuki. Zaprzyjaźniła się wtedy z Wittlinem i Staffem, obaj

chętnie przyjęli zaproszenie do Świąć na wakacje i to u niej Wittlin pracował nad „Solą ziemi”. Część rękopisu ofiarował „Kochanym Państwu Zofii i Zygmun-towi Morstinom jako skromną pamiątkę mojego pobytu w ślicznych i tak mi drogich Świąćcach”.

W 1936 r. Morstinowie sprzedali majątek. Pisarka żałowała rozstania z wsią, ale z drugiej strony mogła teraz w pełni poświęcić się temu, co kochała najbardziej.

Kiedy runą żelaznym wojskiem...

Gdy zaczęła się wojna, ważniejsze od pisanania stało się zdobycie jedzenia, odzieży, węgla i dobrych dokumentów. Dopiero po kilku miesiącach wróciła chęć do pracy i na wiosnę 1940 r. pani Zofia zaczęła pracować nad „Kabałą historii”, esejami o historii i sztuce Włoch. Była to dla niej wewnętrzna ucieczka od grozy okupacji. Natomiast w tej okupacyjnej rzeczywistości brała udział w tajnych akcjach oświatowych, pomagała osobom zagrożonym. Czasy okrutne, niszczące. Jeden brat deportowany na wschód, drugi zginął w Dachau, bratankowie polegli w Warszawie, bratanicę wywieziono do Niemiec.

Obszarniczka w PRL-u

Starła się odnaleźć w powojennej rzeczywistości, co dla ziemian nie było łatwe. Od jesieni 1945 r. prowadziła dział literacki w „Tygodniku Powszechnym”. Pisała i do innych gazet: poznańskiego „Życia Literackiego”, „Dziś i Jutro”, „Przekroju”. W 1947 r. wyszła „Kabała historii”. Rozeszła się dobrze, ale ponieważ zaczęły się już polityczne rozgrywki, współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego”, w dodatku o niewłaściwym pochodzeniu klasowym, nie mogła liczyć na aplauz w prasie. Książkę pochwalili Aleksander Bocheński, bronił jej Stefan Kisielewski, ale reszta się bała – recenzje były nie-liczne i zdawkowe.

W krakowskim mieszkaniu Morstinów co najmniej od 1948 r. odbywały się spotkania i rozmowy o sytuacji Kościoła i Polski. Brali w nich udział Antoni Gołubiew, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Hanna Malewska, ks. Andrzej Bardecki, Jacek Woźniakowski, Józefa Golmont (później po mężu Hennel), Stefan Kisielewski, Jerzy Zawieyski, Jan Józef Szczepański. Nazywało się to KA-KA-DU, czyli Katolicki Klub Dyskusyjny.

W 1953 r. „Tygodnik Powszechny” zamknęto z powodu odmowy zamieszczenia na pierwszej stronie nekrologu Stalina. Rok później zmarł Zygmunt Morstin. Zofia została sama i w trudnej sytuacji materialnej. Zarabiała na życie tłumaczeniami z francuskiego, przepisywaniem na maszynie (choć bardzo tego nie lubiła), współpracowała trochę z „Przekrojem” i „Życiem Literackim”.

Awangarda? Raczej nie...

System pracy miała taki, że czytała kilka książek na tydzień, najchętniej beletrystykę. Po przeczytaniu i napisaniu recenzji zanosila książki do antykwariatu i za otrzymane pieniądze kupowała następne. Pisała o Dobraczyńskim, Bunschu, Wańkowiczu, Kossak-Szczuckiej. Nie podobali jej się odkrywani właśnie i modni Ionesco, Genet, Witkacy, Schulz, Gombrowicz. Od „Transatlantyku” wołała „Znaczy kapitan” Borchardta. Mówiła o sobie, że nie jest krytykiem wytyczającym kierunki, ale recenzentem mającym przede wszystkim na względzie dobro czytelnika. Jej opinie zaskakują świeżością i trafnością spostrzeżeń, a język zachwyca pięknem i bogactwem. W 1955 r. opublikowała szkice zatyłowane „Kalejdoskop literacki”, rok później „Fakty i słowa” – mądry i głęboki esej na temat Ewangelii. Wydany w 1959 r. „Dom” jest pisaną w trzeciej osobie autobiografią opowiadającą o szczęśliwym dzieciństwie w Bratkówce i naprawdę odważną w dobie kłamliwej propagandy pochwałą ziemiańskiego życia. Ostatnią jej książką były rozważania o starości „Patrzę i wspominam”. Już po jej śmierci wydano w 1973 r. „Szukam człowieka”, szkice o książkach i autorach.

Gdy po kilkuletniej przerwie wznowiono wydawanie „Tygodnika Powszechnego”, dołączyła do zespołu. Dla starszego pokolenia tygodnikowego była Zosią. Dla młodszych współpracowników – panią Zofią, w czym się wyrażał należyty jej szacunek, ale też koleżeńska serdeczność. Nie zdążyła napisać zaplanowanej książki o swoim krewnym gen. Franciszku Morawskim. Zmarła w lipcu 1966 r. Na pogrzeb do kościoła św. Anny i na Cmentarz Rakowicki przyszedł tłum. Jerzy Zawieyski pożegnał ją słowami: „Zofia Starowieyska-Morstinowa była człowiekiem wyciągniętej dłoni, wyciągniętych ramion do człowieka i otwartego serca dla świata”.

OBYŚ ŻYŁ W CIEKAWYCH CZASACH – TAK BRZMI PONOĆ STARE CHIŃSKIE PRZEKLEŃSTWO. NASZE CZASY – NIE DOŚĆ ŻE CIEKAWY, TO PEŁNE ZAWIROWAŃ. ZWŁASZCZA OSTATNIE LATA RACZĄ NAS SERIĄ ZDARZEŃ NAPĘDZAJĄCYCH POCZUCIE NIEPEWNOŚCI. TYM CHĘTNIEJ SIĘGAMY PO... PAPIEROSY

TRUJĄCE UKOJENIE



**KRZYSZTOF
ŻARYN**

Stres jest powodem wielu chorób oraz zaburzeń związanych z naszym zdrowiem. Jest on stale obecnym elementem dnia codziennego. Jeżeli chcemy utrzymać rodzinę, żyć w godnych warunkach czy podnieść swoją pozycję społeczną, musimy podejmować się wyzwań, które z reguły są źródłem stresu. Praca, kredyty, raty... – w koło same piętrzące się problemy. Nic dziwnego, że ludzie szukają ucieczki. Wyzwolenia od ciągłego poczucia zagrożenia. Jedni uprawiają sport, inni ulgi szukają w książkach lub filmach, a bardzo wielu z nas niestety ukojenie odnajduje w papierosach. Potkuje przekonanie, że papieros łagodzi

stres. Dlatego gros Polaków daje się złapać w pułapkę tego nałogu. Od jak dawna palenie tytoniu znajduje uznanie u człowieka? Skąd i jak rozpowszechniła się moda na papierosy? I czy one naprawdę odstresowują?

Dawno, dawno temu

Tytoń dotarł do naszych terenów z Ameryki. Nie powinno być więc zaskoczeniem, że pierwszymi miłośnikami tej używki byli rdzenni Amerykanie. Botanicy uważają, że roślina tytoniu mogła się pojawić osiem tysięcy lat temu. Poznanie jej i rozpoznanie właściwości użycia przez człowieka datuje się różnie – od pięciu do dwóch tysięcy lat wstecz. Niezmienna jest jednak formuła użycia. Palenie tytoniu służyło pierwotnym plemionom do obrzędów i rytuałów. Wierzano, że roślina ta ma moc i pozwala na łączenie się z duchami przodków. Największe uprawnienia mieli szamani, którzy poprzez palenie mieli doświadczać

**Generał
Franciszek
Morawski
(1783–1861)**

nadludzkich stanów świadomości. Tytoń żuto, wciągano, a nawet wypijano napary. Jednak podstawową formą użytku było palenie. Fajki indiańskie i związane z nimi rytuały były wciąż popularne w XIX w. Wystarczy wspomnieć o rozsławionej przez westerny fajce pokoju.

Do Europy tytoń przywiózł Krzysztof Kolumb. Słynne odkrycie Ameryki w 1492 r. spowodowało otwarcie Starego Kontynentu na dobra nowego świata. Czy tytoń zaliczać do dóbr, to już kwestia sporna, nie zmienia to jednak faktu, że od tego czasu wyroby tytoniowe coraz śmielej gościły na salonach europejskich.

Jednym z ojców rozpowszechnienia tej używki był Jean Nicot, francuski lekarz i dyplomata. Był on ambasadorem Francji w Lizbonie, gdzie też założył pierwszą plantację tytoniu. Jako doktor propagował lecznicze działanie



nowego specyfiku. Tak mocno przyczynił się do rozstawienia tytoniu, że od jego nazwiska nazwano substancję czynną rośliny – nikotynę. Legenda głosi, że proszek wykonany z rośliny tytoniu podany Katarzynie Medycejskiej skończył jej wieloletni problem z migrenami. Był to jeden z powodów coraz większego zainteresowania tą nową rośliną.

Pod koniec XVI w. tytoń dotarł także do Polski. Jednak nie odbyło się to drogą europejską – pośrednikiem stała się Turcja. Poseł polski w Konstantynopolu Zygmunt Uchmański przysłał siostrze Zygmunta Starożytnemu podarek w postaci rośliny tytoniowej. Oprócz zapoznania elit z nowym rodzajem używki historia ta ma swoje konsekwencje do dzisiaj. Nasze nazewnictwo tytoniu odbiega od innych narodowości właśnie dlatego, że pochodzi od tureckiego „tütün”, a nie hiszpańskiego „tabaco”.

Europejczycy upodobili sobie dwa sposoby palenia tytoniu. Pierwszy, dobrze już znany, to palenie za pomocą fajki. Drugi stanowił wstęp do powstania papierosów. Tytoń zawijano w liście lub wydrążone łaski trzciny, co można uznać za pierwsze cygara lub papierosy. Rosnący popyt na nowy rodzaj uciechy spowodował rozwój branży tytoniowej. XVII i XVIII stulecie to czas rozkwitu plantacji i fabryk na wielu kontynentach. Jednak tytoń pozostawał towarem deficytowym i trudno dostępnym dla mas. Jego wartość w tym okresie była zbliżona do wartości złota. W czasie wojny secesyjnej Jerzy Waszyngton nawoływał, by ci, którzy nie mogą wesprzeć armii finansowo, wysyłali na front tytoń, co będzie równie dużą pomocą.

Wojna, Rosjanie i wojna

I tu dotykamy zagadnienia, które jest bardzo mocno skorelowane z rozpowszechnieniem się papierosów. Główną przyczyną popularyzacji tego nałogu były wojny. To warunki wojenne rozpowszechniały przekonanie, że tytoń może być remedium na stres i cierpienia fizyczne. Oprócz tego rozpowszechniało się zróżnicowanie użytku nikotyny. Papierosy w znanej nam formie wymyślone zostały przez Rosjan. To oni zaczęli zawiązać roślinę w gazety, co mocno ułatwiło korzystanie z używki i doprowadziło do wykorzystania papieru. Od tego wzięła się polska nazwa tego wyrobu. Europa podpatrzyła ten pomysł w czasie wo-

jen z carską Rosją w XIX w. Pozwoliło to Francuzom na stworzenie pierwszej dużej fabryki papierosów, która mocno rozpowszechniła ten wyrób. Jednak przełomem było wymyślenie maszyny do produkcji papierosów, którą opatentował w 1883 r. Niemiec mieszkający w Wirginii, James Albert Bosnack.

Ogromny wpływ na nasze postrzeganie wyrobów tytoniowych miały dwie wielkie wojny światowe. Zwłaszcza druga spowodowała, że do dziś mierzymy się z wielkim problemem uzależnienia od nikotyny. W tym okresie nie znano określenia chorób odtytoniowych. Nieznane były negatywne skutki zdrowotne pale-



Wojciech Kossak, „W okopach”, 1931 r.

nia papierosów. Jedyne, co sądzono o tej używce, to to, że łagodzi stres, hamuje lęk, powoduje ograniczenie uczucia głodu oraz jest dobrym sposobem budowania relacji. Z tego względu racja papierosowa dla żołnierza walczącego na froncie była równie ważna, co racja żywnościowa. Wojujący mężczyźni byli mamieni iluzją odprężenia, jakie miała dawać im ta mała paczuszka. Co więcej, postronni obserwatorzy zaczęli postrzegać papierosy jako atrybut męskości i elegancji. Bohaterowie, żołnierze, dzielni mężczyźni zawsze byli przedstawiani z dymiącym papierosem. Przynosiło to przyzwolenie społeczne na palenie. Stało się po prostu modne. Można natrafić na-

wet na wiele zdjęć dzieci, które trzymają w palcach zawiniątko tytoniu. Co ciekawe, w okresie wojennym był tylko jeden przywódca, który widział w tym nałogu zło i nieprawość. Zakazywał swoim żołnierzom palić, przypuszczając, że musi mieć to negatywny wpływ na zdrowie. Tym przywódcą był nie kto inny jak kanclerz III Rzeszy Adolf Hitler. Istnieje pogłoska, jakoby przez ostatnie dni spędzone w bunkrze Ewa Braun, wybranka tego zbrodniarza, musiała się ukrywać, by puścić dymka na odstresowanie.

Jak za małe buty

I właśnie to postrzeganie uzależnienia, które przebiło się do opinii publicznej, jest powodem dzisiejszych problemów z chorobami odtytoniowymi. Powszechność nałogu powoduje, że nowotwór płuca, nadciśnienie tętnicze, POChP to choroby, z którymi zmagają się coraz więcej ludzi. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że problem ten wynika z pomylki i niewiedzy. Mitem bowiem jest odświeżające działanie nikotyny. Mechanizm ten bardzo dobrze opisał Allen Carr w swojej książce „Easy Way. Prosta metoda, jak skutecznie rzucić palenie”. Stres nikotynowy wynika tak naprawdę z braku nikotyny. Po wypaleniu papierosa podnosi się jej stężenie, jednak z biegiem czasu zaczyna ono spadać. To sygnał dla organizmu, że trzeba dostarczyć kolejną dawkę narkotyku. Gdy akurat nie możemy zapalić, zaczyna się stres i zdenerwowanie. Warto zwrócić jednak uwagę na to, że osoby, które nie palą, nie mają tego typu stresu. Autor książki porównuje mechanizm wdrażania się w palenie do noszenia za małych butów. Mężczyźni się kilka godzin, robimy odciski, otarcia tylko po to, żeby zdjąć buty na pięć minut i poczuć ulgę. A potem znowu zakładamy buty, ale tym razem jeszcze o jeden numer mniejsze. Sami wytwarzamy sobie stres, żeby potem go rozładować wypalaniem papierosem. Prawda jest taka, że uzależnienie naszego organizmu od nikotyny, takie fizjologiczne, trwa około trzech tygodni. Po tym okresie mechanizmy związane z odstawieniem narkotyku ustępują. Jednak uzależnienie psychiczne trwa, co bardzo utrudnia poradzenie sobie z tym strasznym nałogiem. A to postrzeganie papierosów tak mocno zakotwiczyło się w naszych głowach m.in. poprzez historyczne uwarunkowania.

PANCERNIKI,

CZYLI ORYGINALNOŚĆ PO FRANCUSKU

Francuska marynarka wojenna (Marine Nationale) od początków XX w. nie dotrzymywała kroku pozostałym mocarstwom morskim w kwestii rozwoju najcięższych okrętów. Budowane nowe jednostki nie wykorzystywały innowacyjnych rozwiązań technicznych, przez co już w momencie wejścia do służby były przestarzałe. Impulsem do zmian stała się dla Francuzów dopiero konferencja waszyngtońska z przełomu lat 1921–1922, nakładająca ograniczenia na rozbudowę flot wojennych największych mocarstw: USA, Wielkiej Brytanii, Japonii, Włoch i Francji właśnie.

Okres tzw. wakacji morskich został wykorzystany przez Paryż na rozwój i budowę mniejszych okrętów – krążowników, niszczycieli i okrętów podwodnych. Względny spokój przerwała w 1929 r. wiadomość o rozpoczęciu przez Niemcy budowy pierwszego z serii, popularnie nazywanych „pancerników kieszonkowych” typu deutschland. Aby należycie chronić swoje interesy na morzu, Francuzi musieli znaleźć adekwatną odpowiedź – okręty mające przewagę nad konstrukcją przeciwnika w każdej kluczowej kwestii, tj. siły ognia, opancerzenia i szybkości – przy jednoczesnym zachowaniu ograniczeń traktatowych i budżetowych.

Prace projektowe nad jednostkami nowego typu rozpoczęły się już w roku 1926. Początkowo zakładano budowę okrętów do zwalczania nieprzyjacielskich ciężkich krążowników – japońskich i włoskich, w tych państwach Francja upatrywała bowiem potencjalnych wrogów zagrażających liniom komunikacyjnym z kolonii do metropolii. Doniesienia wywiadu o niemieckich planach rozwoju marynarki wojennej, potwierdzone w 1929 r., sprawiły, że ostatecznie Marine Nationale postawiło na cięższe okręty. Jednak względy techniczne (brak pochylni odpowiedniej wielkości) oraz finansowe (obciążający budżet program rozbudowy mniejszych jednostek) sprawiły, że nowo projektowane konstrukcje i tak nie miały osiągać maksymalnej dopuszczalnej traktatowej wyporności 35 tys. ton standardowych.

Budowę pierwszego z okrętów, Dunkerque, rozpoczęto w grudniu 1932 r., drugiego, Strasbourg, w listopadzie 1934 r. Do służby weszły odpowiednio w drugiej połowie 1938 r. i pierwszej połowie roku następnego. Dunkerque miała niewiele ponad 215 m długości i 31 m szerokości. Uzbrojenie główne stanowiło osiem dział kal. 330 mm, pogrupowanych w dwóch wieżach po cztery działa umieszczonych w części dziobowej. Było to rozwiązanie charakterystyczne dla okrętów francuskich i części brytyjskich. Artyleria pomocnicza składała się z 16 dział kal. 130 mm – były to armaty uniwersalne, zdolne do rażenia celów zarówno morskich, jak i lotnictwa. Rozwiązanie to, wówczas absolutnie nowatorskie, stało się z czasem standardem. Opancerzenie



KACPER
GROCHOCKI

PANCERNIKI TYPU DUNKERQUE BYŁY CHŁUBĄ FRANCUSKIEJ FLOTY U SCHYŁKU OKRESU MIĘDZYWOJENNEGO

okrętowej cytadeli w nowoczesnym systemie „wszystko albo nic” osiągało grubość do 225 mm. Całość napędzana była sześcioma olejowymi kotłami zasilającymi turbiny parowe, które zapewniały moc ok. 133 tys. KM. Pozwalało to na osiągnięcie prędkości niespełna 31 węzłów (ok. 57 km/h). Przy prędkości 15 węzłów okręt miał zasięg 7850 mil morskich (ok. 14,5 tys. km). Załoga składała się z blisko 1,4 tys. ludzi. Wyporność wynosiła 26 tys. ton standardowych.

Na początku wojny Dunkerque i Strasbourg wraz z okrętami brytyjskimi polowały na niemieckie okręty na Atlantyku. W kwietniu 1940 r. zostały przerzucone na Morze Śródziemne, by neutralizować spodziewane zagrożenie ze strony Włoch. 3 lipca tego samego roku, już po kapitulacji Francji, obydwa okręty zostały ostrzelane w Mers el-Kebir przez jednostki brytyjskie w ramach operacji Katapulta. Pancernik Dunkerque został poważnie uszkodzony, Strasbourg uszedł do portu w Tulonie. Po kilkumiesięcznych naprawach pierwszy z okrętów również trafił do Tulonu. Tam, w listopadzie 1942 r., obydwa okręty zostały zatopione przez swoje załogi, aby nie dostały się w ręce niemieckie.

Pancerniki typu dunkerque były nowoczesnymi jednostkami dającymi początek nowemu rodzajowi okrętów – „pancerników uniwersalnych” lub też „szybkich pancerników”, przy swojej relatywnie niewielkiej wyporności były bowiem dobrze uzbrojone i opancerzone oraz dysponowały dużą szybkością i zasięgiem.



FOT. FOT HISTORY NAVY.MIL

OPERACJA „URAN”, CZYLI PREZYDENT DE GAULLE W POLSCE

Zabrze, 9 września 1967 r. W odkrytym samochodzie prezydenckim znajduje się gen. Charles de Gaulle w towarzystwie przewodniczącego Rady Państwa Edwarda Ochaba. Na czele eskorta motocyklowa. Kolumna jedzie przyozdobionymi w barwy polskie i francuskie ulicami Zabrze, dostojnie zmierzając w kierunku Bytomia. Wcześniej de Gaulle oglądał występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Był to czwarty dzień pobytu w Polsce prezydenta Francji.

Wizyta trwała od 6 do 12 września 1967 r. Pierwotnie planowano ją na czerwiec 1967 r. Wówczas nie doszła do skutku, co spowodowane było zaostrzeniem sytuacji politycznej na świecie w wyniku wybuchu konfliktu militarnego na Bliskim Wschodzie. W trakcie wizyty de Gaulle odwiedził Warszawę, Kraków, Nową Hutę, Oświęcim, Katowice, Bytom, Zabrze oraz Trójmiasto.

Władze PRL od lat zabiegały o przybycie prezydenta Francji. Istotnym celem politycznym dla peerelowskich dygnitarzy było uzyskanie formalnego potwierdzenia dla kształtu zachodniej granicy państwa. To w Zabrzu padły istotne w świetle całego pobytu słowa prezydenta: „Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, to znaczy najbardziej polskie miasto ze wszystkich polskich miast”. Wypowiedź natychmiast została wykorzystana przez propagandę PRL. Oficjalne stanowisko Francji w sprawie polskich granic potwierdzone zostało podczas wystąpienia w Sejmie 11 września 1967 r.

W celu ustalenia przebiegu wizyty w maju 1967 r. do Polski przybyła delegacja francuska. Operacji zabezpieczenia przez struktury MSW pobytu prezydenta Francji na terenie PRL nadano kryptonim Uran. Rozważano i przeciwdziałano możliwości zarówno zakłócenia przebiegu pobytu, jak i fizycznego ataku na de Gaulle’a. W związku z tym m.in. wzmożono inwigilację osób mogących być w nielegalnym posiadaniu broni palnej i mających dostęp do materiałów

wybuchowych oraz cudzoziemców. Zabezpieczono budynki i trasy przejazdu. De Gaulle niejednokrotnie w trakcie wizyty wyrażał życzenie zatrzymania auta, żeby nawiązać bezpośredni kontakt ze spontanicznie witającą go ludnością. Stwarzało to potencjalne ryzyko dla prezydenta. Powodowało także niebezpieczne rozciągnięcie kolumny samochodowej, co zdarzyło się w Krakowie i Katowicach. W Trójmieście rozwiązano ten problem, wyposażając dowódcę kolumny motocyklowej w nasobny radiotelefon zapewniający łączność z pilotem kolumny i oficerem BOR podróżującym w samochodzie A (prezydenckim). Warto podkreślić, że pobyt prezydenta Francji miał dla władz PRL olbrzymi potencjał propagandowy. W wyniku inicjatywy Komitetu ds. Radia i Telewizji szefostwo Komendy Głównej MO ułatwiło transport materiałów filmowych powstałych w aktualnym miejscu pobytu de Gaulle’a. Dzięki wykorzystaniu kolumn milicyjnych, a następnie wojskowego transportu lotniczego materiały te szybko trafiały do Warszawy, co umożliwiało ich sprawne wykorzystanie.

ARCHIWUM IPN
SEKCYJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

W świetle materiałów MSW podczas pobytu w Polsce prezydenta Francji w działaniach zapewniających bezpieczeństwo i porządek publiczny uczestniczyło w sumie 24 638 osób. Udziału największej liczby funkcjonariuszy wymagało zabezpieczenie tras przejazdu kolumny z autem prezydenckim. W ramach operacji „Uran” zaangażowano: 6 670 funkcjonariuszy mundurowych, 4 353 funkcjonariuszy operacyjnych, 11 765 członków ORMO i 1 850 żołnierzy WP (KBW).

JACEK SŁOMA

Przejazd kolumny prezydenta Francji gen. Charlesa de Gaulle’a z Zabrze na lotnisko w Mierzęcicach





Stefan Strutyński
i Marcin Lutomski



dy dzwonię do Marcina Lutomskiego, przecucie, że może mi pomóc przy realizacji sesji fotograficznej, graniczy z pewnością. Zanim jednak wsiądę do pociągu zmierzającego w kierunku Poznania, wolę się upewnić telefonicznie: „Marcin, czy znasz jakiegoś Kozaka?”.

„Tak i nawet jeden stoi teraz obok mnie” – zabrzmiał radiowy głos w słuchawce.

„No to jedziemy do was”.

Dwa dni później pędziłem taksówką na Dworzec Centralny. Niestety o siódmej rano to najgorszy środek komunikacyjny w zakorkowanej Warszawie. Strategiczna przesiadka na metro, a potem pięć minut galopu na stację kolejową wzdłuż Alei Jerozolimskich. Zdążyłem! Fotograf Andrzej Wiktor już czekał na miejscu przy pociągu, do którego wagonów wsiadały tłumy Ukrainek z dziećmi. Jak się później okazało, część z nich nie zatrzymywała się w Poznaniu, lecz kontynuowała podróż do Berlina. Na dworcu Poznań Główny mieliśmy okazję przyjrzeć się fantastycznej pracy wolontariuszy i szczodrości poznanaków, którzy zorganizowali punkt informacyjno-konsumpcyjny dla uciekinierów z kraju objętego wojną. Było tam wszystko: od gorącej kawy i herbaty poczynając, przez kanapki, owoce, ciastka i cukierki, z ciepłymi posiłkami łącznie, a na przyborach higienicznych kończąc. Obok stał duży czerwony namiot medyczny, gotowy przyjąć każdego potrzebującego. Zawsze i wszędzie, gdy widzę takie porywy dobrych serc, lzy cisną mi się do oczu.

W końcu przyjechał Lutom i mogliśmy załadować sprzęt fotograficzny do przestronnego samochodu. Po przejechaniu za ledwie 15 metrów zatrzymała nas policja. Ponieważ papiery były w porządku, pomknęliśmy przez korki do Muzeum Pyry, gdzie gościnność dyrektora placówki umożliwiła nam wykonanie sesji okładowej. Gościnność tym większa, że dyrektorem jest... Marcin Lutomski, który wcielił się także w rolę polskiego szlachcica. Z kolei Kozaka zagrał jego ukraiński przyjaciel Stepan Strutyński, człowiek o wielkim sercu i odwadze.

Jestem pewien, że wiele osób zadaje sobie pytanie, jak powstało Muzeum Pyry, dlatego głos oddaję Lutomowi: „Pomysł stworzenia placówki wziął się z potrzeby dołożenia cegiełki kulturalnej do miasta Poznań. Nie jest żadną tajemnicą, że w języku polskim używamy – jak ustalili językoznawcy – 168 określeń na ziemniaka, natomiast termin »pyra« kojarzy się wyłącznie ze stolicą Wielkopolski, tzw. krainy podziemnej pomarańczy, gdzie zresztą po raz pierwszy w naszym kraju zaczęto jej uprawę na skalę przemysłową. Informacja, że zwiedzanie naszego muzeum trwa ponad godzinę, jest dla wszystkich zaskoczeniem, iż można tak długo rozprawiać o pyrze. Trasa jest z przewodnikiem, który opowiada różne historie, m.in. o tym, jak ziemniak został odkryty w Ameryce Południowej, jak przyplłynął do Europy, potem trafił do Polski, a następnie w przestrzeń kosmiczną. Na koniec wycieczki jest degustacja własnoręcznie przyprawionej i upieczonej pyry”.

MICHAŁ KORSUN



Dyrektor artystyczny
Michał Korsun przykleja wosą



Fotograf Andrzej
Wiktor i technika



Kozak
i skórzany
bukłak



Współpraca polsko...



...ukraińska



Dyrektor Muzeum Pyry
w całej krasie...



...i podczas
spotkania
z młodzieżą



Joanna Wasilewska, autorka wąsów i oseledca



Czy te oczy...



...mogą kłamać?



Gablota przed polskim konsulem w Odessie

NOWY ROZDZIAŁ



**ANDRZEJ
SKWARCZYŃSKI**

Dotychczas w tej rubryce zajmowałem się opisywaniem okrucich historii. Przemierzałem Polskę, Europę i świat, odnajdywałem starsze i nowsze relikty. Docierałem do tych powszechnie znanych, ale pochylałem się też nad niemal zapomnianymi świadkami przeszłości. Starałem się opisywać miejsca, ich dzieje i związane z nimi postaci, wplatając w opowieść własne odczucia. Nie będąc historykiem z wykształcenia jestem jedynie poślednim uczniem Klio, nieustrudzenie od wieków patronującej historii. Z pokorą muszę przyznać, że na początku tworzenia Silva Rerum zdarzyło mi się popełniać błędy

– skorzystać z nie do końca sprawdzonych źródeł, wysnuć zbyt daleko idące wnioski. Nasi czujni czytelnicy za każdym razem to zauważali i za pośrednictwem listów do redakcji zwracali uwagę. Dziękuję bardzo – pozwoliło to ulepszyć mój warsztat, a tym samym jakość rubryki i całego magazynu.

Tym jednak razem artykuł nie będzie pochylem się nad konkretnym przypadkiem, wydobyć go spośród kart przeszłości i chwilowym oczyszczeniem ze szlachetnej patyny. Tym razem Silva Rerum będzie świadectwem osoby na własne oczy obserwującej poruszające się tryby historii, na własne uszy słyszającej łoskot zmian, jakie niesie ich ruch.

Dwa tygodnie marca spędziłem na ogarniętej wojną Ukrainie. Podróżowałem pociągami, autobusami, samochodami. Jeździłem tramwajami i marszrutkami, w wiele miejsc docierałem

na piechotę. Uczestniczyłem w pogrzebach ukraińskich żołnierzy, rozmawiałem z uchodźcami, mieszkańcami miast, żołnierzami, policjantami i z księżmi, z ludźmi z nizin społecznych i z doktor historii sztuki. Wielokrotnie byłem zatrzymywany i kontrolowany – ja i moje dokumenty. Raz zostałem oskarżony o szpiegostwo i aresztowany. Wiele widziałem, jeszcze więcej słyszałem, tylko niewielką część całości mogłem utrwalić – w wielu miejscach obowiązywał ścisły zakaz fotografowania.

Wszędzie, gdzie byłem, w oczy rzucała się zmiana. Wszędzie po oczach bił nowy rozdział historii. Absolutnie nie mam tu na myśli wojennej rzeczywistości. Wojna nigdy się nie zmienia, zawsze jest taka sama – okrutna, niszczycielska, straszna. To, co obecnie dzieje się na Ukrainie, to nie ugrzecznione kadry z amerykańskich filmów wojennych. To nie opowieść

o przystojnym bohaterze i jego pięknej kobiecie czekającej na niego w domu.

Wojna zmienia ukraińskie miasta w twierdze, rani ich piękno zasiekami, rozorywa parki okopami, przecina ulice barykadami, kaleczy drutami kolczastymi, blokuje zaporami przeciwczołgowymi. Rуска barbaria, sowiecka dzicz od lat nie zmieniła się ani o jotę. Sołdaci spod znaku zbrodniczej „Zetki” niczym nie różnią się od swoich poprzedników z sierpem i młotem na uniformach i – co gorsza – w głowach i sercach. Jedni i drudzy traktują wojnę jako możliwość puszczenia hamulców swym zwierzęcym instynktom. Podbitych traktują gorzej niż psy, wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, staje się, według nich, należnym im łupem. Minęło ponad 80 lat od kaźni polskich oficerów w Katyniu, a w mentalności ruskich zbrodniarzy nadal mieści się mordowanie bezbronnych, skępowanych jeńców. W Rosji takie metody rozwiązywania problemów zakorzeniły się znacznie wcześniej niż podczas drugiej wojny światowej. Bezlitosne czystki i rzezie były tam na porządku dziennym za panowania sekretarzy jak i Romanowów czy Rurykowiczów.

Zjesz beczkę soli, człowieka nie poznasz. Z Rosjaninem nie zjadłbym niczego, a wiedziałbym, że w głębi duszy gardzi mną, jak każdym nie-Rosjaninem, że według niego żyję tylko po to, by wypracować dobytek mający być później jego łupem. Ta bestialska natura Rosjan, wszystkich traktujących jak śmiertelnych wrogów, połączyła dotychczas niedarzące się wielką sympatią narody – polski i ukraiński.

Głęboko zakorzeniona w nas świadomość, do czego zdolni są najeźdźcy ze wschodu, nie pozwala stać z boku i biernie się przyglądać – miliony z nas spontanicznie ruszyły na pomoc napadniętym Ukraińcom. Zwyczajni ludzie używają naszym gościom, często niemówiącym po polsku, własnych mieszkań, żywią ich, pomagają w sprawach urzędowych i znalezieniu pracy. Harcerze pełnią służbę na granicy, na dworcach, oddają swoje ośrodki na tymczasowe punkty noclegowe. Straż pożarna przewozi uchodźców z granicy do miejsc, gdzie mogą się oni ogrzać, najeść, odpocząć. Wielu popychanych odruchem serca, w tym moja mama, wolontariacko pracuje w oddziałach PCK, PAH i innych organizacji zaopatrujących Ukraińców w artykuły niezbędne do życia. Jeszcze długo można by tak wymieniać, ale nie sposób wspomnieć o każdym działaniu pomocowym.

W przestrzeni publicznej pojawiają się głosy, że nie wszyscy nasi goście to doceniają, że nie wszyscy tej pomocy potrzebują, ale i tak z niej korzystają, że wybrzydzą, że się awanturują. Tak, przy takiej skali emigracji, Polska przyjęła ponad 2,5 miliona uchodźców z Ukrainy, będą zdarzały się różne przypadki, na pewno pojawiają się nieprzyjemne incydenty. Jednak lwia część Ukraińców jest nam niezmiernie wdzięczna.

Dwa tygodnie we Lwowie, w Odessie i Kijowie, dziesiątki poznanych ludzi, godziny odbytych rozmów, kontynuowanych obecnie przez internet, wiele wzruszeń, niejedna łza – nikt, abolutnie nikt z moich rozmówców na Ukrainie nie chciał zakończyć konwersacji bez usłyszenia zapewnienia z mojej strony, że przekażę wszystkim Polakom, jak bardzo na Ukrainie jest doceniane to, co Polacy robią dla uchodźców.



Nadchodzi Wielkanoc, czas odrodzenia. Miejmy nadzieję, że zmartwychwstały Jezus przyniesie pokój Ukrainie i pobłogosławi przyjaźń polsko-ukraińską. Na zdjęciu uszkodzony krucyfiks z jednego z nagrobków Łyczakowskim we Lwowie

„Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”. „Polacy to nasi bracia”. „Nikt nam tak nie pomaga jak Polacy”. Z takimi świadectwami spotykałem się codziennie. W głowie wyjątkowo utkwiła mi rozmowa z doktor historii sztuki spotkaną we Lwowie. – Jako historyk wiesz, że nasza historia nigdy nie była łatwa, jak teraz wyobrażasz sobie naszą przyszłość? – spytałem. – Zgłupiałeś?! Po tym, co dla nas wy, Polacy, robicie, nie może być mowy o żadnych sporach! Nasi jadą do was bez niczego, a wy ich, obcych ludzi, przyjmujecie do własnych domów. Dajecie jedzenie, ubrania, leki, pracę. Nie ma większego dowodu braterstwa. Razem już niedługo pokonamy tego bandytę! Żałuję tylko, że już nie zdążę sama rozpłoczyć żadnego ruskiego tanka! – rzuciła pani doktor. – Wiem, że przy takiej liczbie uchodźców będzie musiało dojść do tarć, ale w ogólnym rozrachunku będzie dobrze! – zakończyła.

W ogniu okrutnej wojny na wschodzie wykuwa się nowy sojusz – polsko-ukraiński. W relacjach pomiędzy naszymi narodami otwiera się nowy, dotychczas nieznany rozdział. Historia daje nam szansę na naprawienie popełnianych przez wieki koegzystencji błędów, od których żadna ze stron nie była wolna. Panowie bracia mieli swoje za uszami, ale i bractwo siczowe nie było wolne od grzechów.

Obecnie stoimy przed dziejową szansą, tryby historii są ewidentnie w ruchu. Postępując mądrze i rozważnie, wszyscy możemy wyjść z dramatycznej sytuacji, w której znajduje się Ukraina, jako zwycięzcy. Rodząca się przyjaźń polsko-ukraińska nie powinna pozostać jedynie miłym epizodem w stosunkach pomiędzy naszymi państwami. Powinny pójść za nią czyny. Jeżeli tak się stanie, jeżeli nie zaprzepaścimy danej nam szansy, z pewnością uda się nam w sposób zadowalający dla wszystkich rozwiązać wszelkie dotychczas sporne kwestie. Lwy na cmentarzu Orłąt Lwowskich w końcu zrzucą z siebie zakrywające je płyty październikowe, a nasi rodacy pozostali na zawsze na Wołyniu zostaną godnie pochowani. ■

PS. Na Zachodzie pojawiają się głosy, że Polska jako cały kraj zastrzyżyła na Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc dla uchodźców wojennych. Chętnie bym zobaczył miny tych, którzy oskarżali nas o nieludzkie zachowanie w sprawie „uchodźców” szturmujących naszą granicę z Białorusią.

Makieta Gazowni Miejskiej
na wystawie „Warszawa
wczoraj, dziś i jutro” w Muzeum
Narodowym, 13 października 1938 r.

„GOTUJCIE NA GAZIE!”

Pierwszą gazownię w Warszawie otworzyło Towarzystwo Gazowe z Dessau w 1856 r. Usytuowana została przy ul. Ludnej na Powiślu i dostarczała gazu dla ulicznych latarni oraz silników przemysłowych. W gazowni produkowano tzw. gaz świetlny, powstały w wyniku ogrzewania węgla w wysokiej temperaturze. Szybki wzrost zapotrzebowania na gaz spowodował konieczność budowy nowej, bardziej wydajnej gazowni. Ta powstała w latach 1886–1888 przy ul. Dworskiej (dziś Kasprzaka) na Woli. O lokalizacji zadecydowała bliskość torów kolei warszawsko-wiedeńskiej, umożliwiającej dostarczanie węgla. Zabudowania gazowni zajęły kwartał między ulicami Dworską, Brylowską, Prądyńskiego i Kościelną (obecnie Bema). Wśród budynków wyróżniały się wieża ciśnieniowa oraz dwa monumentalne zbiorniki gazu.

Neogotyckie rotundy były obudowami dla metalowych cylindrów, otwartych od dołu i posadowionych na basenach z wodą. Miały za zadanie przechowywanie wyprodukowanego gazu i utrzymanie jego ciśnienia. Oprócz gazu jako produkt uboczny powstawały smoła pogazowa, amoniak, benzol i koks, przerabiane w działającej przy gazowni fabryce chemicznej. Po długim sporze prawnym z pierwotnymi właścicielami gazowni w 1925 r. przeszła na własność m.st. Warszawy i stała się Gazownią Miejską. W latach 1927–1930 otwarto najnowocześniejszą w Europie piecownię systemu Glover-West, pracującą w ruchu ciągłym. Dobudowano też trzeci zbiornik gazu, już bez ozdoby ceglanej obudowy.

Gaz reklamowany jako wygodniejszą i tańszą alternatywę dla pracochłonnych trzonów kuchennych opalanych drewnem i węglem, które wymagały uciążliwego noszenia opału, rozpalania, usuwania sadzy

i popiołu. Oprócz kuchenek, piecyków łazienkowych czy grzejników gazem zasilano też żelazka, lokówki czy lodówki. Były to chłodziarki typu absorpcyjnego, z układem stosowanym obecnie w lodówkach turystycznych na gaz z butli. W wielu miastach pojawiały się neony reklamowe ze słynnym „Gotujcie na gazie” na czele. Organizowano także kursy gotowania, gdzie uczono racjonalnego i oszczędnego wykorzystania nowego paliwa.

Powszechne zastosowanie gazu powodowało też liczne wypadki. Gaz miejski zawierał tlenek węgla (czad), stąd przypadki śmiertelnych zatrąć, którym ulegały nieraz całe rodziny. Szczególnie narażone były służące, zwykle śpiące w kuchniach z braku osobnych pomieszczeń dla służby. Ulatniający się gaz po wymieszaniu z powietrzem tworzył niezwykle wybuchową mieszaninę, której eksplozja mogła zniszczyć kilka pięter kamienicy. Mimo tych zagrożeń aż do wybuchu wojny liczba odbiorców gazu stale rosła.

Niemieckie bombardowania podczas oblężenia stolicy w 1939 r. nie oszczędziły też gazowni. Pomimo pożaru zbiorników nie doszło na szczęście do wybuchu dziesiątków tysięcy metrów sześciennych przechowywanego gazu. Zdjęcia z niemieckiego filmu „Feldzug in Polen”, przedstawiające płonące elewatory zbożowe przy ul. Prądyńskiego, są często mylnie identyfikowane jako pożar zbiorników gazowni, które w rzeczywistości znajdują się poza kadrem.

Gazownia podjęła pracę po zakończeniu walk, choć z powodu uszkodzonych zbiorników nadwyżki gazu musiały być wypuszczane do atmosfery, szczególnie w nocy, gdy spadało nań zapotrzebowanie. W czasie powstania warszawskiego zakład udzielił schronienia kil-

Neon

„Gotujcie
na gazie”

w Al. Jerozolimskich
w Warszawie, grudzień 1935 r.

kudziesięciu uciekinierom z terenu walk, fikcyjnie zatrudniając ich jako robotników. Po upadku powstania gazownia została zaminowana, a maszyny wywiezione. Mroźna zima 1944/1945 spowodowała dodatkowe uszkodzenia ocalałych urządzeń. Odbudowę prowadzono siłami załogi od razu po wyzwoleniu miasta, stopniowo przywracano też do użytku poprzerywaną sieć gazową. W zakładzie dokonano nowych inwestycji i kontynuowano produkcję gazu do 1970 r., następnie stopniowo aż do 1978 r. przechodzono na bezpieczniejszy gaz ziemny. W okresie przejściowym wytwarzano tzw. gaz miejski, będący mieszaniną gazu świetlnego i ziemnego.

Po zakończeniu produkcji w budynku aparatowni otwarto Muzeum Gazownictwa, funkcjonujące do chwili obecnej. Wśród eksponatów znajdują się maszyny do wytwarzania gazu, jak również urządzenia zasilane gazem, wyeksponowane w odtworzonym kompletnym wnętrzu mieszkalnym. Niestety z Muzeum wydzielono zbiorniki gazu, sprzedawane następnie kolejnym inwestorom. Monumentalne rotundy do chwili obecnej pozostają niezagospodarowane, pomimo ogromnego potencjału adaptacyjnego – analogiczne obiekty w Wiedniu zamieniono w luksusowe lofty.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

OBRĄCZKI Z ŁUSKI PO NABOJU



**KATARZYNA
UTRACKA**

**MIMO CODZIENNYCH TRUDÓW I LUDZKICH TRAGEDII
W POWSTAŃCZEJ WARSZAWIE BYŁY TEŻ CHWILE
WYTCHNIEŃ I RADOŚCI. NIEPEWNOŚĆ JUTRA SKŁANIAŁA
BOWIEM MŁODYCH LUDZI DO ZAWIERANIA MAŁŻEŃSTW**

Skromne ceremonie ślubne, w otoczeniu przyjaciół i znajomych z oddziału, odbywały się w prowizorycznych kaplicach, szpitalach, a nawet w piwnicach. Młodzi, nierzadko w wojskowych mundurach albo w ubraniu, w którym poszli do powstania, ślubowali sobie miłość aż do śmierci. Kółka od zaston, nakrętki albo zrobione z łusek po naboju obrączki lub miedzianego drutu pęteli zastępowały im złote obrączki, zamiast dzwonów kościelnych słyszeli wybuchy bomb. Śluby udowadniały, że nawet w okrutnej wojennej rzeczywistości jest miejsce na miłość i nadzieję. Podobnie dzieje się dzisiaj u naszych sąsiadów z Ukrainy. Pojawiające się w mediach zdjęcia z ceremonii ślubnych odbywających się w bunkrach czy na froncie do złudzenia przypominają te sprzed blisko 80 lat.

Chęć zawarcia związku małżeńskiego narzeczeni musieli zgłosić dowódcy oddziału, który następnie informował kapelana. W przypadku osób niepełnoletnich wymagana była również zgoda dziekana lub rodziców. Ze względu jednak na trwającą walkę nie zawsze było to możliwe. Szacuje się, że podczas powstania nawet 300 par powiedziało sobie sakramentalne „tak”; niektóre publikacje podają, że było ich jedynie kilkadziesiąt. Niestety nie zachowała się żadna ewidencja pozwalająca zweryfikować te liczby.

Najśłynniejszy ślub powstańczy utrwalił na zdjęciach Eugeniusz Lokajski „Brok”, olimpijczyk i żołnierz AK, który zginął

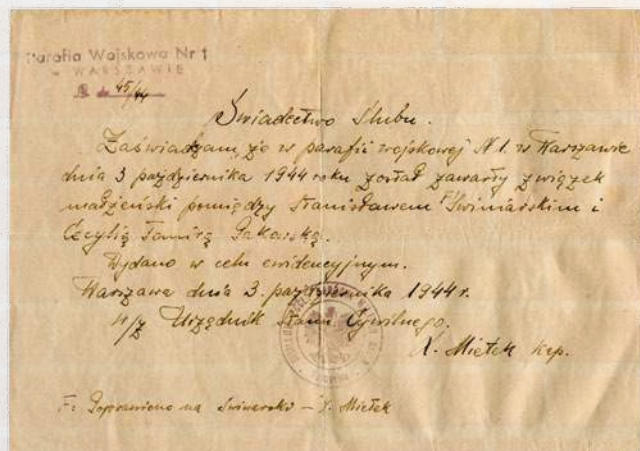


**Ślubne obrączki wykonane w rusznikarni przy
ul. Poznańskiej 12, fot. Katarzyna Stefanowska**

25 września 1944 r. w zbombardowanym domu przy ul. Marszałkowskiej 129. Głównymi bohaterami uroczystości byli Alicja Treutler „Jarmuż” i Bolesław Biega „Pałak”, którzy 13 sierpnia 1944 r. ślubowali sobie miłość w powstańczej kaplicy przy ul. Moniuszki 11. Ceremonię ślubną utrwalił również operatorzy powstańczej kroniki filmowej, następnie nagrania wyświetlono w powstańczym kinie Palladium przy ul. Złotej. Zdjęcia Eugeniusza Lokajskiego i ujęcia filmowe stały się jednymi z symboli powstania.

O historii innego ślubu powstańczego przypominają obrączki z łuski po naboju znajdujące się w zbiorach MPW. To wyjątkowe eksponaty – w zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego jest ich zaledwie kilka par. Nietypowe obrączki, wykonane w rusznikarni przy ul. Poznańskiej 12, należały do ppor. Stanisława Swinarskiego „Sułtana” i Tomiry Pakowskiej „Mirki”. Podporucznik „Sułtan” (rocznik 1917) w konspiracji był żołnierzem II Obwodu AK Żoliborz. W pierwszym dniu powstania został ranny na pl. Bankowym i nie dotarł na miejsce koncentracji macierzystego oddziału. Początkowo przebywał w Szpitalu Maltańskim przy ul. Senatorskiej, następnie w szpitalu przy ul. Długiej 7. Po ewakuacji kanałami do Śródmieścia był żołnierzem Batalionu „Iwo”. Dzień po kapitulacji powstania wziął ślub ze swoją narzeczoną z okresu okupacji 21-letnią Tomirą, w powstaniu sanitariuszką „Mirką” na Starówce, a następnie w sztabie VII Obwodu AK „Obroza” w Śródmieściu. 5 października 1944 r. młodzi małżonkowie opuścili Warszawę i trafili do niewoli niemieckiej. Po wojnie przebywali w Anglii, a następnie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Podporucznik „Sułtan” zmarł w 1990 r. w Warszawie, jego żona w 2021 r. w wieku 98 lat.

Oprócz obrączek w zasobie muzeum znajduje się świadectwo ślubu Stanisława Swinarskiego i Tomiry Pakowskiej z 3 października 1944 r., potwierdzające zawarcie związku małżeńskiego w Parafii Wojskowej nr 1 w Warszawie. Pod dokumentem podpisał się ks. kpt. Mieczysław Mielecki „Mietek”, kapelan 3. Batalionu Pancernego „Golski”.



**Świadectwo ślubu Stanisława Swinarskiego i Tomiry
Pakowskiej z 3 października 1944 r.**

**Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego**



**Muzeum Powstania
Warszawskiego**

Do czytania i słuchania



e-prenumerata

SIECI

50% taniej

+ **3** audiobooki
GRATIS!



Chwile przełomu
SŁUCHAJ →



Skrzydłata
ferajna
SŁUCHAJ →



Życie prywatne e
II Rzeczypospolitej
SŁUCHAJ →



Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ